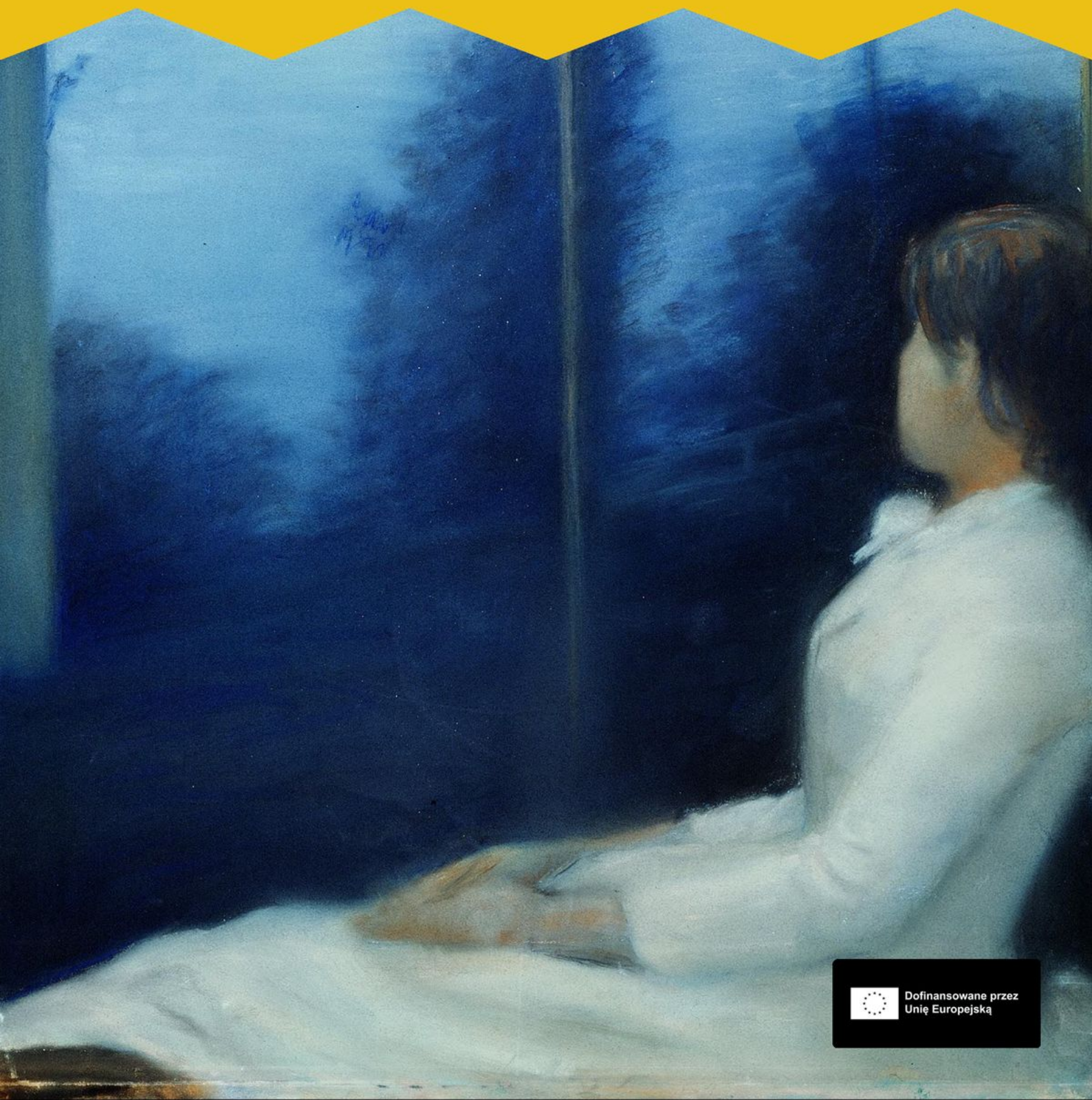


# Profesor Hieronimus



AMALIE SKRAM

# Profesor Hieronimus

TŁUM. KATARZYNA TUNKIEL

## I

O Boże, nie — nie dawała rady — nie *dawała* rady! Był wieczór w atelier w mocnym świetle lamp.

Pani Else Kant stała zrozpaczona przed sztalugami z płótnem zamalowanym w szarościach. Pracowała nad nim noc i dzień przez ponad rok, duszę sobie wypruwała, aby pokazać, co leży jej na sercu. Ale im dłużej to trwało, tym było gorzej. Ta postać w rogu, która miała symbolizować egzystencjalny lęk — ha, ha! Marny błazen z doklejonymi czarnymi skrzydłami — figura z maskarady.

O Boże, Boże, co miała począć? Ona, która kiedyś przecież coś potrafiła, która wzbudzała rozkoszną wściekłość wśród „eleganckiej” publiczności. Aż się skończyło. Nagle się skończyło.

Owszem, mogłaby zająć się malowaniem słodkich, sielskich obrazków z radosnymi krajobrazami i blichtrzem. Ale nie *potrafiła*.

Gdyby tylko umiała odłożyć farby na półkę, nigdy więcej nie dotykać pędzla. Jaki ogarnąłby ją wtedy spokój. Wiodłaby swoje życie, zajęta powracającymi codziennie drobnymi obowiązkami, których wypełnianie powodowało zadowolenie u niej samej i jej najbliższych. Gdyby tak pozbyć się tego nieznośnego ciężaru, który zawsze, dniem i nocą, kładł się na niej jak mara. Gdyby tylko miała jeszcze to jedno — mogła oddawać się swojej pracy, nie zważając na inne kwestie. Ale kiedy nie wszystko w domu — czy chodziło o dziecko, jedzenie, porządek albo służące — układało się, jak należy, straszliwie cierpiała i to sobie zarzucała niedbałość i opieszałość.

Potężnych sił trzeba było, by zadośćuczynić tak wielu różnym obowiązkom. Świętą rację miał Paweł<sup>1</sup>, zakazując kobietom publicznych wystąpień. Powinien był mówić o mężatkach, chociaż nie — te, które żonami nie *były*, mogły wszak nimi *zostać*.

Och, cóż za niedola. Patrzyła na ten okropny bohomasz, który palił jej duszę jak płomień. Wyraźnie, jako żywo widziała, jak *miał* wyglądać, a teraz...

Walka między tym, co *chciała* namalować i co malowała, wywoływała u niej mętlik bóleści, który wgrzyzał się w jej umysł, wplątywał we wszystko, co słyszała i przeżywała, pozbawiał ją energii i łamał jej wolę. Czynił ją do tego nieprzystępną i trudną w obyciu. Jej biedny mąż... Taka była wytrącona z równowagi i zrozpaczona — zrozpaczona na śmierć, ponieważ musiała, *musiała* ukończyć swą pracę, i z każdym mijającym dniem coraz straszniej, coraz bardziej bezradna.

Usiadła na pufie, pochylona, z łokciami na kolanach i twarzą schowaną w dłoniach, i kołysząc się w przód i w tył, zanosiła się stłumionym, zawodzącym szlochem, niekiedy przerywanym napadami ostrego kaszlu.

Na cóż miałoby się zdać, gdyby na jakiś czas wyjechała, o czym rozmawiała czasami z mężem. Zabrałaby przecież ze sobą swe wnętrze, swoją mękę i żal z powodu niedokończonej pracy, swoją tęsknotę za mężem i dzieckiem — cudownym chłopczykiem, bez którego nie mogłaby spędzić choćby dnia, nie odczuwając dokuczliwego braku. Poza tym

Artysta, Klęska, Rozpacz,  
Praca

Konflikt wewnętrzny

<sup>1</sup>św. Paweł a. Paweł z Tarsu, (ok.5/10-ok.64/67) — Żyd z Tarsu, święty chrześcijański, męczennik za wiarę; sprzeciwiał się zdecydowanie publicznym wystąpieniom kobiet, w szczególności w zakresie nauczania („Niech niewiasty na zgromadzeniach milczą, bo nie pozwala się im mówić; lecz niech będą poddane, jak i zakon mówi”: 1 Kor 14, 33-34, cytata za *Biblią Warszawską*). [przypis edytorski]

nie stać jej było na podróż, w ogóle na nic, odkąd nie udawało jej się niczego ukończyć ani sprzedać.

Nagły ból przeszył ją z tyłu głowy i gwałtownie się wyprostowała. Następnie, zaciskając powieki, przesunęła ostrożnie dłoń od karku w górę.

Nic w tym dziwnego, skoro od blisko roku tak mało spała. Przez całe lato, które spędziła z dzieckiem w Szwajcarii, nie przespała dobrze ani jednej nocy. Często nie mogła zmrużyć oka od wieczora do rana, ponieważ mały, którego ze względu na nierzetelność nianki musiała trzymać u siebie, wiercił się niespokojnie w metalowym łóżeczku, skrzypiąc przy każdym ruchu. Dlatego czytała przy świetle lampy przez całą, długą noc; a rankiem, gdy chłopczyk, wykąpany i ubrany, wychodził z nianką, znowu się kładła, żeby spróbować zasnąć, chociaż najczęściej przeszkadzały jej w tym dźwięki codziennej krzątany. I jeszcze ta niedająca spokoju mordega nad wielkim obrazem, który oczywiście ze sobą przywiozła i nad którym nie udawało jej się dalej pracować, nad którym nie *potrafiła* dalej pracować. Stała nad nim ślęczała; myśl o obrazie wisiała nad nią, gdyż nieprzerwanie ją do siebie przyciągał i ponieważ cierpienie jej duszy, wywołane przez ten bezowocny znój, tylko się powiększało, gdy uciekała od pracy. Bezsensowność zaś utrzymywała się przez całą zimę w domu. Przyzwyczała się do braku snu, choć zawsze potrzebowała go wiele. Bez nocnego wypoczynku na dłuższą metę nikt sobie nie poradzi. Nawet najsilniejszy człowiek będzie musiał się ugiąć. Dlatego tak teraz jej było źle. O Boże, te napady bólu, rozdzierającego głowę na pół — aż czasem czuła potrzebę, żeby obwiązać ją taśmą. Nie mogła tego zmienić ani od tego uciec. Musiała żyć przybita do pala męki, którym coraz bardziej stawała się jej praca.

Wytarła twarz i siedziała bez ruchu, ze wzrokiem z frasunku<sup>2</sup> utkwionym sztywno przed siebie. Wtedy wrócił napad kaszlu, długi, męczący, aż oczy zaszyły jej łzami.

Takim stała się wrakiem.

A miała kiedyś odwagę występować wobec innych jako sędzia i oskarżyciel. Wobec Kirsten, którą odprawiła za kradzież i do końca życia unieszczęśliwiła, bo ta zaczęła pić, żeby zagłuszyć żal. Jej rozdzierający serce płacz, gdy dowiedziała się, że się wydało... Słyszała go i widziała białą, spiętą twarz służącej, która nie znalazła sobie innego miejsca. Co z nią teraz będzie? Oczywiście się stoczy i to z jej winy. Och, biedna, biedna Kirsten... Proszę cię, wybacz mi, wybacz...

*Dokądkolwiek* się zwracała i o *czymkolwiek* myślała, wszystko zdawało się ciężkie i złe. Synek, którego nie mogła skłonić do jedzenia i który wieczorem leżał godzinami, nie chcąc spać. Cudze dzieci spały i jadły, lecz ona oczywiście niewłaściwie się z nim obcho-dziła. I tak ciągle ze wszystkim. Żadnej jasnej chwili — choćby jednej, jedynej. A było tylko coraz gorzej. Przecież nigdy nie znajdzie czasu, żeby odzyskać siły, skoro ma ten nerwowy kaszel, szczególnie dokuczliwy w nocy, męczący ją tak, że ledwie dawała radę wstawać rano. Umysł nigdy nie odpoczywał. Stałe gotował się od ciągle tych samych myśli. Pozostawało jej tylko umrzeć. Zakończyć walkę. Zniknąć z życia, które było tylko boleścią i które ona czyniła boleścią także dla innych. Niemoralnym byłoby pozostać przy życiu, kiedy do niczego się nie nadawało, kiedy wiedziało się, że tylko jest się ciężarem i utrapieniem dla tych, którym chciało się dawać najwięcej, najlepiej, a poza tym wiedziało się, że nigdy nie będzie inaczej.

A jednak to dziwne, jak długo człowiek, nawet najniezszczęśliwszy i najbardziej udre-czony, potrafił wahać się i zastanawiać, kiedy chodziło o zrzucenie z siebie ciężarów przez wymazanie się spośród żywych. Głęboko zakorzeniony musiał być strach przed wniknięciem w wieczny mrok unicestwienia, skoro wciąż wlokła się przez dzień i przez noc — co dzień i co noc.

No, ale ta ostatnia droga ratunku nikomu nie ucieknie.

Wstała pośpiesznie, podeszła do sztalug i zaczęła malować ze ściągniętymi brwiami i mocno zacisniętymi wargami. Wnet musiała powstrzymać kaszel. Bolało ją w piersi, dokuczały łopatki, kolana się uginały. Ona jednak na nic nie zważała, tylko pracowała dalej.

Sen, Noc

Kradzież, Sędzia

Samobójstwo, Śmierć

<sup>2</sup>frasunek (daw.) — zmartwienie. [przypis edytorski]

Wtem mina jej się rozpogodziła, w oczach ukazała się żywa radość, cała twarz rozpromieniała. Dawała radę — nareszcie, nareszcie! Odłożyła paletę, cofnęła się na krok i oglądała obraz.

Nagle drgnęła. Czy to synek? Chwilę nasłuchiwała i prędko przeszła przez jadalnię do pokoju dziecięcego, w którym paliła się lampka nocna. Niańka chrapała, usta miała otwarte, a w łóżeczku pod drugą ścianą chłopczyk siedział i wymachiwał rączkami.

— Mój słodki, mały Tage. — Else pochyliła się nad nim i szybko rozbudziła pocahunkiem. — Co się stało, synku? Mam ci zaśpiewać?

— Tak, o kotku, mammo.

Else położyła chłopczyka na poduszkę i go przykryła. Następnie zaśpiewała na powolną melodię:

„Kotek chory pod piecem leży,  
Narzeka raz po raz.  
Główka tak bardzo go boli,  
Umierać już mu czas”.

— Umierać? Co to, mammo?

— To tak jak dziadek, on umarł.

— To wtedy, jak już nie można iść do łóżka wieczorem i pić kakao rano, mammo?

— Tak, bo się umarło.

— Ci, co umarli, mają dobrze. Naprawdę, mammo.

— Nie mów już więcej, tylko szybko śpij. Pamiętaj, że jest środek nocy.

— A co to noc, mammo?

„Pora cieszyć się, myszki małe,  
Na kotka przyszła śmierć.  
Możecie do spiżarni pójść  
I kromki chleba zjeść”.

— Zjadły z serem, mammo?

— Nie. Ale znowu mówisz.

Otworzyły się drzwi do jadalni i do środka wszedł wysoki mężczyzna o szerokich ramionach, ciemnowłosy i lysiejący.

— Tatus! — zawołał chłopczyk i natychmiast usiadł prosto w łóżeczku. — Tage jest głodny. Dwie kromki chleba z paszтетem, jedną z pieczenią i jedną z serem!

Kant podszedł do łóżka, schylił się nad dzieckiem i powiedział pieszczotliwie:

— Głodny jesteś, kotku? Idź się połóż — zwrócił się do Else. — Że też jeszcze tu siedzisz. I nie dajesz spać chłopcu.

— Jak możesz tak mówić, Knut. Przecież taka ogarnia mnie rozpacz, gdy dziecko nie śpi.

Tage, stojąc w łóżeczku, zarzucił ojcu rączki na szyję.

— Chcę iść z tobą do jadalni — powiedział przymilnie.

— Nie rób tego — poprosiła Else.

— Może i dobrze go zmęczyć. Lepiej będzie potem spał.

Kant otulił chłopczyka kocem, wziął go na ramię i poszedł z nim do jadalni. Tam usiadł przy stole z dzieckiem na kolanach i dał mu jeść.

Else udała się za nimi i usadowiła się przy synku.

Tage był w znakomitym nastroju. Ciągnął Kanta za brodę, bez ustanku gawędząc, a czasem odgryzał kawałek kromki, który następnie wkładał ojcu do ust. Później uwolnił jedną nóżkę z koca i nagle podstawił ją pod twarz Kantowi, równie zachwyconemu jak dziecko.

Else uśmiechnęła się zmartwiona i pokręciła głową.

— Przecież widzisz, że on nic nie je — powiedziała.

Ale zaraz Tage chwycił kromkę z zapewnieniem, że jest bardzo, bardzo głodny i że wszystko zje.

Dziecko, Śmierć

— Możesz już pójść się położyć, Else? — poprosił znów Knut. — Nawet nie wiesz, jak wyglądasz.

— Pójść się położyć... Tylko na co miałoby się to zdać? Przecież i tak nie zasnę. Zwłaszcza teraz, kiedy z nim tutaj siedzisz!

— Czemu mama płacze?

— Mama jest chora. Biedna mamusia.

Else wróciła do atelier i z powrotem zaczęła malować, co chwilę odsuwając się nieco, by spojrzeć na obraz niespokojnym, pytającym wzrokiem.

„Bóg jeden wie”, myślała z powątpiewaniem, „chyba wcale nie jest lepiej”. Tak bardzo była zmęczona, że trzęsły jej się ręce. I jeszcze ten kaszel. Ale musiała pracować dalej. *Musiła*. Jutro, gdy wstanie, będzie przecież jeszcze bardziej zmęczona; i cały dzień minie tak samo...

Do tego Knut nie przychodził! Siedział teraz i czekał, aż dziecko zaśnie, zamiast spokojnie sobie pójść albo przynajmniej obudzić niańkę! O niej samej mówił, że za bardzo cacka się z dzieckiem, ale w ogóle nie był lepszy, raczej gorszy.

Och, te skurcze ust, te okropne, nieznośne skurcze ust...! Ostoniła dłonią oczy i zobaczyła, co namalowała. Wysła jej prawdziwa maska mumii. Z pędzlem i paletą w rękach drobila, zawodząc, tam i z powrotem. I znów malowała, głowę miała rozpaloną, a pot wystąpił jej na czoło.

— Ależ, Else... — Wszedł do niej Knut. Spojrzał na nią przerażony, zbliżył się i chciał wyjąć jej pędzel z dłoni.

— Muszę korzystać z nielicznych chwil, w których mogę pracować, czy to w nocy czy w dzień. — Wykręciła nadgarstek spomiędzy jego palców. — Tęże śpi?

— Tak.

Knut przeszedł się parę razy tam i z powrotem ze spuszczoną głową. Nagle zatrzymał się za Else, która wciąż malowała. Uniósł głowę i zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale dał za wygraną i dalej chodził tam i z powrotem.

— Jest wpół do drugiej, Else. Przecież wiesz, że ten nocny zapal zawsze przychodzi, gdy jest ci najgorzej. Przestań już, na miłość boską. Proszę cię, Else.

— Idź się już położyć i zostaw mnie samą. Zresztą wcale nie jestem chora. Dużo gorzej jest z Tagem, który nie je i nie śpi. Porozmawiasz o tym poważnie z Tvedem?

— Proszę, Else. — Knut łagodnie, lecz stanowczo zabrał jej paletę. — Wyniszczasz się i mnie także wyniszczasz — mówił cicho, a ściągnięte brwi wyrażały głęboką troskę. — Chodź już — ciągnął, kiedy Else patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem, bez odpowiedzi. — Musisz spróbować na chwilę zasnąć... Dam ci proszek.

— Och, na co zdadzą się proszki — wymamrotała Else. — Choćbyś dał mi ich sto. Porozmawiasz poważnie z Tvedem o dziecku?

Knut odwrócił się i znów zaczął chodzić po pomieszczeniu. Else powtórzyła pytanie.

— Przecież dziecku nic nie jest — powiedział zbolalym głosem.

— A więc *nie chcesz* z nim rozmawiać?

— Nie, porozmawiam. Tylko się uspokój.

— Jutro z rana?

— Tak. Położysz się już?

Else usiadła na szeszlougu.

Knut patrzył na nią przez chwilę. Następnie sam usiadł przy niej.

Nagle Else wstała i znów zaczęła malować.

Knut podniósł się i opuścił pokój. Zamierzał iść do siebie i się położyć. Nie mógł patrzeć, jak się wykańcza.

Po półgodzinie znowu się do niej zakradł w szlafroku i kapciach. Else wciąż malowała.

— Och, ale żeś mnie przestraszył — odezwała się i nagle się odwróciła. — Czy chcesz wprawić mnie w rozpacz, skoro chodzisz tak po nocach, nie chcąc, bym dała ci wypocząć?

Knut pokręcił bezradnie głową.

— Popatrz, co teraz namalowałam — dodała po chwili Else — i powiedz, co myślisz.

— Nie teraz. Żeby coś obejrzeć, muszę być przytomny, a umieram ze zmęczenia.

— Kiedy tak usilnie cię proszę. Zaraz potem pójde odpocząć.

— Ale właśnie tego nie robisz — westchnął Knut, po czym podszedł do obrazu i przyglądał się mu, mrużąc oczy; Else czekała w napięciu.

Artysta, Praca, Sztuka,  
Kłęska

— No, nie wiem. Mówię ci przecież, że o tej porze nocy nie mogę niczego oglądać. Na pewno namalowałaś coś dobrego.

— Na pewno... Myślisz, że cię nie znam? Miałaś wyrazić opinię. O Boże, o Boże, a więc wszystko jest i *będzie* na marne. — Płakała, chodząc bez celu po atelier; Knut kroczył za nią, mówił i prosił, ale ona go nie słuchała.

— Pójdę odpocząć — powiedziała wreszcie i wytarła twarz. — Nie mam już więcej pracy. Ale to dobrze, że powiedziałeś, co uważasz. Dzięki ci za to.

Wyjęła z szuflady stołu małą buteleczkę.

— Po co ci to? — zapytał Knut, przyglądając się jej uważnie.

— Po nic. Zostaw mnie już.

— Nie, Else! Natychmiast oddaj mi buteleczkę. Wiem, co knujesz.

Else posłała mu chłodne spojrzenie. Stał spokojnie z wyciągniętą ręką i wzrokiem, który zdawał się przepelniony smutkiem, a przy tym zmęczony i przybity.

Dziwny mężczyzna z tego Knuta. Przecież podzielał jej zdanie na temat dopuszczalności samobójstwa. Często o tym rozmawiali. Kiedy jeden jego młody krewniak bezradnie się staczał, a ona wyraziła swoją obawę, że może w końcu się zastrzelić, Knut spokojnie odparł: „To nie byłoby jeszcze najgorsze”. Ale gdy przyszło co do czego, jak teraz w jej przypadku, zachowywał się jak zwykły policjant. Już raz kiedyś tak zareagował, gdy kilka lat temu uznała, że nie ma innego wyjścia niż śmierć.

Czy to dlatego, że tak bardzo ją kochał?

Tak, *kochał* ją, ale nie dość, by pozwolić jej umrzeć. Nie miał też odwagi, aby być biernym widzem, gdy chodziło o ten ostatni krok. „Trzeba uciec się do koniecznych środków”, myślał pewnie teraz, „bo ani na chwilę nie zaznam spokoju!”.

Gdyby tylko te środki na coś mogły się zdać, gdyby mogła znów być jak dawniej — spać, pracować, ukończyć coś, być szczęśliwa. Ale Knut w to nie wierzył, podobnie jak ona. Nie, nie, nie! Poznawała po jego zachowaniu, że w to nie wierzy. Jednak nikczemnie postąpił, że nie zamknął oczu i uszu i nie pozwolił jej zrobić tego, co chciała.

— To podle z twojej strony — powiedziała.

— Daj mi buteleczkę — odparł Knut z nieugiętą miną.

— Ale dlaczego? Nie pomyślałbyś sobie w duchu, kiedy już by było po wszystkim: „No cóż, trudno, że tak musiało się skończyć, ale było to jedyne i najlepsze wyjście”?

— Nie — powiedział Knut.

Else drgnęła na dźwięk tego słowa. W tonie jego głosu i w wyrazie twarzy było mnóstwo bólu, miłości i niewzruszonej pewności. Czy naprawdę nie sądził, że najlepiej byłoby, gdyby umarła? Miała wrażenie, jakby twarda klucha w jej gardle zaczęła się rozpuszczać.

— A więc nie zrobię tego — rzekła powoli. — Ale musisz okazać mi zaufanie, nie zabierając mi buteleczki.

— Nie mogę. Przypomnij sobie te *liczne* noce, kiedy walczyłem wręcz z tobą o twoje życie. Skąd miałbym i skąd ty miałabyś wiedzieć, co teraz cię dopadnie?

— Ale *musisz* mi wierzyć — wyrwało się z pasją Else. — Nie *wytrzymuję* już tego, że mi nie wierzysz!

Padła plackiem na podłogę i zaniosła się głośnym szlochem.

— Już dobrze, Else. W imię boże, wierzę ci.

Else wstała i się uspokoiła. Buteleczkę odłożyła do szuflady, którą zamknęła na klucz.

— Pójdiesz teraz odpocząć?

Chciała odpowiedzieć, ale wtedy wrócił jej kaszel. Wstrząsał nią, jakby miał ją rozetrwać na strzępy.

— Nie smuć się tak — odezwała się.

— Nie uważam, żeby była teraz okazja ku czemu innemu — wymamrotał Knut i potarł czoło.

— No tak, biedaczyno.

Ostatecznie Knutowi udało się skłonić ją, by się położyła. Rozbierała się z przestraszoną miną i co chwilę się rozglądała, nasłuchując z lękiem. Knut dał jej proszki i poszedł do siebie.

Ledwie jednak Else się położyła, znów dopadł ją kaszel. Siedziała wyprostowana na łóżku, na końcu zaś brzmiała, jakby łapały ją urywane, jęklive skurcze.

Wtem na schodach i w wejściu rozległy się ciężkie uderzenia wbiegających pod górę

Samobójstwo

Miłość

Wyobraźnia

kopyt. Rytm był szybki, miarowy. Drzwi do sypialni uchyliły się i do środka powoli wkroczyła procesja gniadych, pięknych koni, które Else często ostatnio widywała. Łby i tułowia miały sztywne i bez życia, w miejscu oczu zionęły wielkie, czarne dziury; lecz ładne, szczupłe pęciny unosiły się i wyciągały, przemieszczając stado do jadalni i atelier, a stamtąd przez sień do sypialni — miarowo, upiornie i niewzruszenie. Ciągle i znów. A Else siedziała na łóżku, kaszląc; wpatrywała się przed siebie i dziwiła, lecz się nie bała.

Nagle zjawił się Knut, a pochód koni jakby zapadł się pod ziemię.

— Powinnaś wziąć krople z opium — powiedział. — Jest ci coraz gorzej.

Ale Else nie chciała. Brała je poprzedniej nocy i obawiała się zażywać zbyt wiele.

— Nie widziałeś koni? — zapytała. — Kiedy przyszedłeś, salon był ich pełen. Smutne, że nie widzisz ich ani nie słyszysz... Idź już — ciągnęła Else, kiedy Knut nie odpowiedział. — Przywykłam tak leżeć.

— Tak, *muszę* — odparł. — Padam ze zmęczenia, a jutro mam dużo pracy.

— Obietnica, jaką ci złożyłam, że nie skorzystam z buteleczki, dotyczy jedynie tej nocy — zawołała za nim Else. — Tylko ci mówię.

Knut jak lunatyk dotarł po omacku do swojej sypialni i się położył. Ciasno owinął się kocami, odwrócił do ściany i zaraz zapadł w drzemkę, przez którą przebijał się dźwięk kaszlu Else i kładł się ciężko na jego piersi.

Nagle podskoczył przerażony, wypadł z łóżka i otworzył drzwi do sieni. Else stała tam i wkładała swój długi płaszcz.

— Co znowu? — zapytał Knut ostro i chwycił ją za ramiona.

— Nie mogę zaznać spokoju — jęknęła Else. — Bezustannie myślę o Kirsten, którą przepędziliśmy. Chcę pójść do jej matki i o nią zapytać.

— O tej porze?

— Przecież jest środek dnia.

— Nie ma mowy. Natychmiast marsz do łóżka.

Else ciągnęła:

— Stale słyszę te słowa: „*Ślugo zły! Wszystek tamten dług darowałem ci, boś mnie prosił. Czy i ty nie powinienesz być...*”<sup>3</sup>.

Knut zdjął z niej ubranie i wreszcie skłonił ją, by się położyła.

A wtedy w końcu zasnęła.

## II

O godzinie dziesiątej nazajutrz rano Knut odwiedził ich lekarza domowego i przyjaciela, doktora Tvedego.

— Musisz mi powiedzieć, co robić — rzekł Knut, gdy rozmawiali już przez chwilę o stanie Else.

Doktor Tvede zrazu nie odpowiedział, tylko popatrzył na niego łagodnymi, głęboko osadzonymi oczami filozofa.

— Na razie da się zrobić tylko jedno — odezwał się następnie. — Musimy zapewnić jej spokój. Ona musi wyjechać z domu do szpitala. Gdzie indziej nie zazna takiego spokoju, jaki jest jej potrzebny.

— Do jakiejś prywatnej kliniki? — zapytał Knut żartobliwie.

— Myślisz, że twoja żona zechce mieszkać z gromadą histeryczek?

— Och, nie... Oczywiście...

— Mamy przecież profesora Hieronimusa. On jest najlepszy, a ona ma dla niego szacunek. Czytała jedną z jego rozpraw i wielokrotnie mi o nim mówiła.

— Powinna zatem trafić do szpitala, pod jego opiekę?

— Tak. Kiedy on już ją uspokoi i potrzyma u siebie z osiem, dziesięć dni, powie ci, co robić dalej. Nie mogę poradzić ci nic innego. Napiszę liścik, idź z nim do szpitala, do Hieronimusa. Zastaniesz go tam teraz. Porozmawiaj z nim, a potem z żoną. Oczywiście sama musi tego chcieć.

Knut zabrał pismo i poszedł.

Jednak była jakaś nadzieja.

<sup>3</sup>*Ślugo zły! Wszystek tamten dług darowałem ci, boś mnie prosił. Czy i ty nie powinienesz być...* — Mt 18, 32-33, cytata za *Biblią Warszawską*. [przypis edytorski]

### III

Kantowie siedzieli przy drugim śniadaniu.

— Nie będę teraz jadł, mam — zapewnił Tage, który siedział naprzeciwko Else z wielkim śliniakiem na szyi i dłuwał w jajku sadzonym i pokrojonym w drobne kawałeczki mięsie na swoim talerzu. — Jednak nie będę. Nie *będę*.

— Jeśli nie chcesz jeść, możesz odejść od stołu — powiedział Knut, wykonując ruch, jakby właśnie się obudził.

Wcisnął dzwonek na stole, a wtedy zjawiła się nianka, której wydano polecenie, żeby wyszła z Tagem na spacer.

— Rozmawiałem dziś z Tvedem — powiedział Knut. — Czy masz coś przeciwko temu, żeby pójść do szpitala do profesora Hieronimusa?

— Czy Tvede naprawdę sam na to wpadł? — zapytała Else, a jej spojrzenie nabrało nieomal wrogiego wyrazu.

— Owszem. Pytanie tylko, czy sama chcesz?

— Tak, chciałabym — odparła, a jej oczy powoli zaszyły łzami. — Trzeba przemocą oderwać mnie od mojego obrazu, inaczej źle się to może skończyć. Bo nie *jestem* przecież normalna.

— Zostań tam na kilka dni — podjął Knut. — Najwyżej półtora tygodnia. Chyba tyle dasz radę wytrzymać?

— Wszystko wytrzymam, bylebym miała spokój. Jakąś drobną pracą mogłabym chyba zawsze ze sobą wziąć. Na przykład szkice do *Bożonarodzeniowej książeczki dla dzieci*?

— Naturalnie. A potem wysłuchamy jego opinii, czy powinnaś wybrać się do Szwajcarii czy może trochę wypocząć na wsi.

— Dobrze będzie porozmawiać z takim człowiekiem jak Hieronimus. Dokładnie mu wyjaśnić, jak się czuję. Musisz do niego iść jeszcze dzisiaj.

— Już byłem.

Else lekko pobladła na policzkach.

— I co powiedział?

— Nie miał czasu, ale poprosił, żebym wrócił o trzeciej, z tobą. Wywarł na mnie znakomite wrażenie, był spokojny i taktowny. W swoim wytartym płaszczu przypominał świeckiego kaznodzieję. Chociaż był to pewnie jego szpitalny strój. Bądź gotowa punktualnie o wpół do trzeciej.

Else poszła do atelier i popatrzyła na swój wielki obraz. Wszystko było i pozostawało złe, niemożliwe... Skurczyła się z bólu, trawiącego ją przez własną bezradność, która stale wypełniała jej wnętrze i która, ilekroć Else stawała przed obrazem, odbierała jej siły. Był nijaki, bez życia, bez sensu. Czowała się, jakby jakaś wielka, wilgotna dłoń chwyciła jej serce, przez co z trudem łapała oddech.

Gdyby spróbowała raz jeszcze, teraz, w ostatniej chwili, kiedy wszystko już zarzuciła i miała uciec... Pomyśleć, gdyby się udało! Wydawało jej się, że czytała albo słyszała o podobnym przypadku. Może dałaby radę *cokolwiek*... Na przykład wyraz oczu? Zyskałaby wtedy nadzieję, odwagę i nowe siły.

Pospiesznie zaczęła malować, ale niedługo potem rzuciła paletą i się odwróciła. Tak było zawsze. Ile to już razy myślała, wiedziona szaloną potrzebą, by wylać z siebie smutek i odzyskać nadzieję, że właśnie *teraz* jest moment, kiedy spłynie na nią natchnienie — lecz zawsze jej wysiłki okazywały się próżne. Nie, musiała wyjechać, oddalić się od wszystkiego, od pracy, od wspomnienia biednej Kirsten, od widoku marniejącego Tagego. Naprawdę dobrze będzie pojechać do Hieronimusa.

Gdyby tylko przestała myśleć o obrazie, że nie będzie tam malować, i wyobrazić sobie, jaki *powinien* być, palić się do tego, by zacząć od nowa. Chciała jednak zrobić wszystko, aby odsunąć od siebie myśli, wypać się dla zdrowia i sił, w spokoju i ciszy, jakie tam panowały. Osiem-dziesiąt przespanych nocy zdziała cuda.

Zdjęła blejtram<sup>4</sup> z wielkim płótnem ze sztalug i oparła go o ścianę, tyłem na zewnątrz. Następnie weszła do pokoju dziecięcego i przeglądała ubrania Tagego. Bluzeczce, nad którą pracowała, brakowało guzików i sznureczków. Skończyła ją, zebrała bieliznę

Lekarz

Artysta, Sztuka, Nadzieja

<sup>4</sup>blejtram — podobrazie, drewniana rama obita płótnem. [przypis edytorski]



i skarpetki, które miała zacerować niańka, i wszystko ładnie ułożyła; po czym usiadła przy stole z ciężką głową podpartą na dłoniach. Oczy piekły ją od długiej bezsenności, w głowie szumiało, nagle się w niej zakręciło. Else bezwiednie spróbowała znaleźć oparcie. Wyczerpana i na śmierć niewyspana opuściła ręce na stół, a twarz na złożone dłonie.

Otaczały ją dziwne dźwięki, ciężkie westchnięcia i jednostajne zawodzenie, zmieszane z szelestem zwiędniętych liści. Chciała unieść głowę, żeby sprawdzić, co to, ale nie mogła jej oderwać, choć bardzo się starała. Wreszcie się udało. „Co to ma być?”, pomyślała. Przestrzeń wokół niej była taka rozległa, do sufitu wysoko, światło zaś było szarawo blade, niby odległy, zamglony blask księżyca. A wzdłuż ścian szeregami stały łóżka, pościelone białymi prześcieradłami i wciśniętymi w ramy kocami, pod którymi leżeli ludzie, sztywno wyciągnięci i pojękujący. Niekiedy unosili głowy i rozdzierającymi serce głosami prosili, by poluzowano te ciasne koce, ale nikt nie odpowiadał. Obok wysokich, wąskich drzwi naprzeciwko stała postać ze związanymi rękami w długim, lśniącym białym kitlu, przytwierdzona do ściany grubym, ciemnym sznurem, którym była owinięta w pasie. Oczy miała wytrzeszczone, bez źrenic, białka wyraziste, a z ust zwisał długi język w kolorze smoły. Else chciała wstać, ale nie mogła ruszyć żadną kończyną. Sztywna ze strachu wpatrywała się w drzwi. Dotrzeć do nich mogłaby w kilku susach. Ale jeśli były zamknięte na klucz, który nie tkwił w zamku... Tak, *były* zamknięte, bez klucza, widziała wyraźnie. Wtedy poczuła, że jej ciało zmienia się w bezwładną masę, i zaczęła osuwać się z krzesła, ale w tej samej chwili drzwi otworzyły się bezgłośnie i po cichu do środka weszło czterech mężczyzn, niosąc między sobą długą, jasną trumnę z łukowatym daszkiem nad głową. Otwór pod daszkiem z przodu zasłaniała szybka, przez którą Else ujrzała ludzką głowę, przekrzywioną, z zapadniętą, apatyczną twarzą, której barwa zdawała się ołowiana na tle białej poszewki trumiennej poduszki. W tej samej chwili zrozumiała, że to Knut i że on nie żyje. Walcząc o głos, wydała z siebie krzyk, twarzą w dół padła na podłogę i się przebudziła.

Zerwała się z krzesła i pobiegła do salonu, gdzie zatrzymała się i rozglądała zdezorientowanym wzrokiem.

Drzwi jadalni cicho się otworzyły i do środka zajrzał jej mąż. Nie posiadając się z radości, z rękami w górze i z głośnym szlochem Else popędziła ku niemu, otworzyła drzwi na oścież i rzuciła mu się na szyję.

Knut z trudem ją uspokajał. Chciał, by położyła się na szezlongu w atelier — zostało jeszcze pięć kwadransów do ich wyjścia, ale Else uczepiła się go roztrzęsiona i błagała, aby ani na chwilę jej nie opuszczał. Wreszcie zdołał uspokoić ją na szezlongu, na którym leżała z szeroko otwartymi oczami, ciągle wpatrzona w senną zjawę, wokół siebie czując świat strachu i beznadziei. Często myślała, że jest najbardziej umęczonym człowiekiem na ziemi. Teraz w jej wyobraźni pojawiła się także myśl, że ludzkim dzieciom zsyła się cierpienia i męki innego, straszniejszego rodzaju aniżeli jej własne. Na każdy, najdrobniejszy dźwięk podskakiwała i przestraszona wyciągała rękę do Knuta, który siedział z książką w fotelu tuż obok.

## IV

Koło szpitala byli już kwadrans przed trzecią, przez co chodzili tam i z powrotem boczną uliczką, oboje zdenerwowani i podekscytowani, nie rozmawiając.

— Która godzina? — zapytała Else.

— Minęło tylko siedem minut.

— Nie może być!

Chodzili dalej, przerywając milczenie jedynie wówczas, gdy Else powtarzała swoje pytanie o godzinę. Knut odpowiadał stale to samo, że minęło tylko kilka minut.

— Nie wiedziałam, że kwadrans trwa aż tak długo — odezwała się Else. — A może twój zegarek stanął?

Knut pokręcił głową, a Else zaczęła po cichu odliczać. Ilekroć dochodziła do sześćdziesięciu, mijała minuta, a wtedy zaczynała od początku.

— Teraz już wiem, że jest trzecia — powiedziała nagle i się zatrzymała.

Zostały jeszcze cztery minuty, ale zdaniem Knuta mogli już powoli wchodzić do środka.

Przeszli przez szpitalną bramę i minęli duże, wysypane żwirem dziedzińce z odgrodzonymi klombami czarnej ziemi i brązowymi, nagimi zimową porą drzewami. Kiedy dotarli do ostatniego podwórka, Knut wskazał mniejszy, dwukondygnacyjny dom, położony nieco na uboczu od pozostałych, długich budynków, i rzekł:

— To tam.

Else rzuciła Knutowi spojrzenie, które pytało, czy nie jest jego zdaniem odważna, po czym prędko weszła po schodkach na korytarz, gdzie na drzwiach po prawej wypisano cytat biblijny, który Else pilnie studiowała.

— Zapukamy?

Knut zapukał, a kiedy nikt nie odpowiedział, otworzył drzwi i wpuścił Else przodem do środka.

Pokój był podłużny i straszny, z nagą podłogą, żółtymi ławkami wzdłuż ścian i ustawioną pośrodku dużą spluwaczką. W pomieszczeniu znajdowało się dwóch mężczyzn: chłop, który siedział pochylony, z dłońmi między kolanami i mocno opuszczoną głową, oraz młodszy jegomość, podobny do rzemieślnika albo szkolnego nauczyciela o żółtawej, chorowitej twarzy, z grzywą nieobciętych, przesuszonych włosów.

Knut i Else usiedli na ławce naprzeciwko rzemieślnika, pochłoniętego, zdaje się, gazetą, którą trzymał rozłożoną. Mężczyzna zerknął po chwili spłoszony znad czasopisma, a napotkawszy wzrok Else, która mu się przyglądała, uśmiechnął się trochę bojaźliwie, a trochę tryumfalnie, jakby chciał powiedzieć: „Chyba rozumieją państwo, że nie siedzę tutaj z własnego powodu”.

W pomieszczeniu było cicho. Jedynymi dźwiękami, jakie się w nim rozlegały, były głębokie westchnięcia pochylonego chłopca za każdym razem, gdy spluwał, a robił to często. I chociaż nie zmieniał pozycji ani nie unosił głowy, zawsze trafiał do środka spluwaczki, stojącej co najmniej łokieć od niego.

Drzwi na korytarz otworzyły się i do środka wkroczył wysoki mężczyzna w ręcznie szytym, półwełnianym płaszczu, o wąskiej, krótko ostrzyżonej głowie i w szalu na szyi. Serce Else zabiło mocniej; popatrzyła pytająco na Knuta, ale zaraz pojęła, że to nie Hieronimus. Mężczyzna stał chwilę i się rozglądał, po czym powoli oddalił się na palcach do najodleglejszego kąta i mocno wcisnął się weń plecami.

Minęło jeszcze kilka minut. Rzemieślnik czytał czasopismo, chłop wzdychał i spluwał, a mężczyzna w kącie siedział sztywny i milczący jak posąg.

Wtedy na stopniach na zewnątrz rozległy się lekkie kroki biegnącej osoby, które następnie przeniosły się do korytarza. Drzwi szybko się otworzyły i do środka weszła drobna postać — roztargniony pan o zimnej, bladej twarzy bez zarostu, z gładko zaczesanymi włosami. Mężczyzna przeszedł przez pomieszczenie, nie rozglądając się na prawo ani na lewo, w przelocie dał znak pochylonemu chłopcu, który wyprostował plecy i wstał, by podążyć za roztargnionym panem do pomieszczenia obok.

— A więc *tak* wygląda — szepnęła Else. — Moim zdaniem nie miał wytartych ubrań.

Knut uśmiechnął się i odpowiedział szeptem:

— Teraz nie.

Nieco później chłop wyszedł z pomieszczenia obok, a w progu stanął Hieronimus. Chwilę popatrzył ostro na Else, a następnie prawie niezauważalnie skinął głową do Knuta, który wstał i do niego podszedł.

Kogo przypominało Else spojrzenie Hieronimusa? Zastanawiała się nad tym, aż oczyma duszy ujrzała człowieka, zasmuconego i przemawiającego z zapalem, po chwili zaś biały krawat poniżej ostrego podbródka i lekko ulizane włosy, a wreszcie ambonę. Ambonę? Tak, już wiedziała! Młody teolog, którego poznała wiele lat temu na plebanii wuja i który raz wygłaszał za niego kazanie, gdy ten był przeziębiony. To właśnie on — ów pobożny fanatyk, którego oczy miały wyraz, jakby smucił się przez grzechy świata; ale nie tylko się smucił, bo zarazem pełen był żarliwości i gniewu w imię Pana. Często rozmawiała z nim o sprawach religii i go polubiła, gdyż był taki szczerzy, a jego duch taki czysty. Bogu dzięki, Hieronimus nie wyglądał jej na niesympatycznego człowieka, w ogóle nie był podobny do jej wyobrażeń. I Bogu dzięki, że ustaliła, *kogo* jej przypominał, bo nie będzie musiała i nad tym się zastanawiać.

Knut wrócił, a następnie Else weszła do Hieronimusa. Ten siedział bokiem przy biurku, odchylony w fotelu, z jedną nogą zarzuconą na drugą, a w rękach trzymał mały przed-

Spotkanie, Lekarz

miot, który obracał i przekręcał. Lekkim ruchem głowy dał znać Else, żeby zajęła miejsce na krześle przy rogu biurka.

— Chyba nie czuje się pani dobrze — zaczął Hieronimus ostrym, bezbarwnym głosem i przyglądał się jej badawczo.

— Zgadza się — wydobyła z siebie z trudem.

— Dokuczają pani bezsenność — ciągnął profesor, po czym na chwilę przerwał. — Jest pani bardzo przybita. — Znowu przerwał. — Według pani męża... No, krótko mówiąc, nie ma się pani dobrze. Tak?

Else chciała odpowiedzieć, ale nie mogła przez płacz; pochyliła się nad mufką<sup>5</sup>, którą przycisnęła do oczu.

— Państwa lekarz domowy twierdzi, że powinna pani spędzić trochę czasu w szpitalu. Chyba nie ma pani nic przeciwko?

Ostatnie zdanie padło szybko; jednocześnie Hieronimus wyprostował się w fotelu.

Else pokręciła głową.

Profesor wstał, otworzył drzwi i machnął do Knuta.

— Pańska żona może przyjść tutaj dziś po południu. Na przykład za godzinę.

— Och, nie, najwcześniej wieczorem — poprosiła Else.

— Regulamin szpitalny nie zezwala na wpisy po godzinie szóstej.

— Ach tak, w takim razie o szóstej.

— Może zabrać ze sobą worek podróżny z niezbędnymi przyborami toaletowymi i bielizną — zwrócił się Hieronimus do Knuta. — Nic więcej. W biurze dowie się pan, jakiej wysokości kaucja należy się za opiekę o wyższym standardzie.

Else zastanawiała różne rzeczy, o których chciałyby się więcej dowiedzieć, ale Hieronimus otworzył już drzwi do poczekalni i się z nim pożegnali.

— Och — westchnął Knut, kiedy mijali dziedzińce. — Obyśmy postępowali właściwie.

— Dlaczego byśmy nie mieli? — odparła Else śmiało, lecz w tej samej chwili dziwnie zmieszana się na widok z wątpienia na twarzy męża.

— Miejmy nadzieję — powiedział Knut i znowu westchnął.

Zjedli obiad, po czym Else poszła do sypialni spakować swój worek.

Knut przyniósł parę książek.

— Starczy na początek — powiedział.

— Dziękuję. Zawsze możesz donieść więcej podczas odwiedzin... Choć na tak krótki czas...

— Najwyżej osiem do dziesięciu dni — westchnął Knut. — Gotowa?

Nieco później Else ubrała się do wyjścia. W kuchni pożegnała się ze służącymi i poprosiła, by były miłe wobec Tatego. Gdy przyszła z powrotem, posadziła sobie chłopca na kolanach i, walcząc z płaczem, obiecała niedługo wrócić, żeby opowiadać mu historie i się z nim bawić.

— Musisz już iść, Else.

Ona jednak w kółko całowała dziecko. Potem odstawiła je i szeptem się pożegnała.

Dorożka wjechała przez szpitalną bramę, minęła wielkie dziedzińce i zatrzymała się przed ostatnim podłużnym budynkiem. Zadzwonili do drzwi od ulicy, ale od kobiety, która im otworzyła, dowiedzieli się, że zabłądzili. Był to oddział męski, oni zaś musieli udać się do następnego wejścia za rogiem i wejść na górę.

Tam nie napotkali żadnych przeszkód. Drzwi od ulicy nie były zamknięte, a przestronną klatkę schodową oświetlały lampy gazowe. Na górze znajdowały się tylko jedne drzwi, do których zadzwonili. Wkrótce rozległy się kroki i dzwonenie kluczy. Knut ścisnął dłoń Else. Był nieco błądy i się nie odzywał.

Klucz w zamku przekręcił się i drzwi się otworzyły. Stała w nich rosła kobieta o ładnej, bladej twarzy, w schludnym stroju pielęgniarki i z wielkim pękiem kluczy, zwisającym z szarawego, gumowego fartucha.

— Pani Kant? Proszę. Ja to wezmę — wyciągnęła rękę po worek podróżny.

— No, to do zobaczenia, Else — powiedział Knut drżącym głosem i ją pocałował.

<sup>5</sup>mufka — futrzany rulon pełniący funkcję rękawiczek. [przypis edytorski]

— Nie chcę tam wchodzić. Przecież zamykają drzwi jak w więzieniu. — Else niechętnie wycofała się kilka kroków.

— Tym się nie przejmuj. Drzwi od zewnątrz muszą być zamknięte.

— Przyjdiesz jutro?

Z oporem zbliżyła się do drzwi.

— Tak, Else.

— Na pewno?

— Tak. Do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Posłała mężowi ostatnie spojrzenie i odwróciła się do kobiety, która stała w progu z workiem w ręku.

## V

Else szybko minęła kobietę i weszła do długiego korytarza, oświetlonego lampami gazowymi, umieszczonymi wysoko na ścianie. Wtem drzwi zamknęły się z trzaskiem, pęk zadzwonił i dwukrotnie przekręcono klucz.

Else się wzdrygnęła.

— Tutaj są wszystkie inne drzwi wejściowe — wyjaśniła kobieta i popatrzyła na nią badawczym wzrokiem.

Else ruszyła w milczeniu przez wyłożony matą korytarz. Po jednej stronie pod wysokimi oknami stały żółte, podłużne stoły, żółte drewniane krzesła, gdzieś roślina doniczkowa na prostych stojakach. Na niektórych krzesłach siedziały kobiety w luźnych, białych, bawełnianych ubraniach. Jedna miała skrzyżowane ręce i patrzyła tępo przed siebie. Inna gapiała się na Else z zaciekawieniem i niechęcią, trzecia zaś siedziała pochylona nad robótką. Po drugiej stronie korytarza w szerokich odstępach ciągnęły się drzwi.

Else szła dalej, aż dotarła do szerokich podwójnych drzwi na końcu korytarza.

Wtedy odwróciła głowę i zapytała kobietę, która zatrzymała się nieco dalej:

— Gdzie mam być?

— Profesor twierdził, że tutaj.

Kobieta otworzyła jedno z drzwi na korytarzu.

Else zawróciła i wkroczyła do przestronnego, skąpanego w półmroku pomieszczenia z szerokim oknem pośrodku.

— Dlaczego są tutaj dwa łóżka? Będzie tu mieszkać ktoś oprócz mnie?

— Jedna starsza, spokojna pani. Tak cicha, że nie wiadomo, czy w ogóle tam jest.

— To w ramach opieki o wyższym standardzie nie dostaje się własnego pokoju? — zawołała Else. — Ja nie *mogę* z nikim spać.

Chodziła śpiesznie tam i z powrotem po pomieszczeniu. Ogarnęła ją przykra obawa. Te istoty na korytarzu, których ubrania przypominały stroje więzienne, okna, których wysokie okiennice kojarzyły się z takimi, jakie widziała w tureckich haremach, wysoko umieszczone lampy gazowe, do których można było dosięgnąć z długiej drabiny, brzęczący pęk kluczy zawieszony na zimnym, gumowym fartuchu rosłej kobiety — wszystko to niepokoiło ją i drażniło.

— Nie — nalegała usilnie. — Nie mogę z nikim spać. *Muszę* mieć pokój tylko dla siebie. — Wędrowała tam i z powrotem po słomianej macie, prowadzącej od drzwi do okna, i stale powtarzała to samo, coraz bardziej wzburzona: — *Muszę* mieć pokój tylko dla siebie.

Nagle zauważyła wciśniętą w róg szelongu za stołem, maleńką, wąską i skuloną kobiecą postać, która wodziła za nią zgaszonym wzrokiem.

— Czy to ona? — zapytała nagle Else i zatrzymała się przed rosłą kobietą, która przyglądała się jej uważnie. — Chcę stąd natychmiast wyjść! W tej chwili, słyszy pani?

W międzyczasie weszła młodsza pielęgniarzka. Przez chwilę patrzyła na Else, po czym zamieniła kilka słów z rosłą kobietą, którą nazwała panną Stenberg.

— Może być pani sama — powiedziała panna Stenberg spokojnie.

Opuściła pokój i poszła, a za nią Else, do szerokich podwójnych drzwi, przed którymi Else poprzednio się zatrzymała. Wetknęła w nie klucz, przekręciła go w zamku, pchnę-

ła skrzydło do ściany, zrobiła krok, po czym stanęła przed kolejnymi takimi drzwiami, których jedno skrzydło tak samo otwarła, i powiedziała do Else:

— Proszę wejść.

Else prędko przeszła przez oboje drzwi, które panna Stenberg starannie zamknęła na klucz. Znajdowały się na korytarzu tej samej szerokości i długości co poprzedni. Takie same wysokie okna, takie same żółte stoły i krzesła, takie same postaci w luźnych, niebieskich, bawełnianych ubraniach. Było tam tylko więcej drzwi — wszystkie otwarte. Gazowe lampy pod sufitem znajdowały się w drucianych obudowach, umieszczonych w czworokątnych zagłębieniach w ścianie, po jednej nad każdymi drzwiami. Nie było tam roślin doniczkowych ani mat na podłogach. Else odniosła wrażenie, że korytarz jest jeszcze bardziej nagi i podobny do więziennego niż poprzedni.

Na jednym z żółtych krzeseł siedziała nieduża, starsza pani w białym czepku nocnym; miała błękitne oczy i pogodną, bladą twarz. Zaszuszone dłonie ścisnęły kawałek białego, złożonego materiału, do tego dobrotliwie mamrotała pod nosem. Dość młoda dziewczyna o pożółkłej, śmiertelnie zmęczonej twarzy szła w białych wełnianych skarpetach, powoli się zataczając. Brązowe, ścięte włosy sterczały we wszystkie strony, a ręce miała schowane w rękawach koszuli. Jej wielka głowa kiwała się to w przód, to na boki, jakby była zbyt ciężka. Dziewczyna groźnie popatrzyła z ukosa na Else, w ogóle się nie zatrzymując. Gdy napotkała jej wzrok, zaczęła się krzywić i schowała twarz za podniesioną ręką. W jednych z otwartych drzwi na palcach stała równie młoda dziewczyna i unosiła ręce, które otaczały półokręgiem jej głowę.

— Słowik — szepnęła, kiedy mijała ją Else.

Nagle wydała z siebie kilka wysokich, czystych tonów, po czym zaniósła się histerycznym szlochem.

— To tutaj — powiedziała panna Stenberg i weszła przez jedno z otwartych drzwi.

Else udała się za nią, po czym stanęła i uporczywie wpatrywała się przed siebie. Pośrodku podłużnego pokoju stało metalowe łóżko, a przy jego wezglówiu mały żółty stolik nocny. Poza tym nic więcej. Okno było umieszczone wysoko w ścianie.

— Tutaj może pani być sama — podjęła kobieta.

— Ale przecież wygląda tu jak w więziennej celi! — zawołała Else, kiedy wreszcie odzyskała mowę. — Żadnych mebli ani nic. Nawet krzesła do siedzenia.

— Nie potrzeba — odpowiedziała panna Stenberg. — Będzie pani leżeć.

— Leżeć! — Else prawie się roześmiała. — Czy trzeba leżeć, gdy człowiekowi nic nie dolega?

— To dlaczego pani tu przyszła? — zapytała panna Stenberg surowo.

— Leżeć — powtórzyła Else i naprawdę się zaśmiała. — A jak długo, jeśli wolno zapytać? Może cały dzień?

— To zależy. Jeśli będzie pani bardzo spokojna, wystarczy może tydzień.

Else w oburzeniu odwróciła się do niej plecami. Panna Stenberg przecież z niej kpiła.

— To nie macie lepszego pokoju? — zapytała, wychodząc na korytarz, by zajrzeć następnie do pozostałych sal o otwartych drzwiach.

Wszystkie były dokładnie takie same — łóżko pośrodku i mały stolik nocny. W jednym z łóżek leżała stara, wychudzona istota o pergaminowo żółtej twarzy mumii i zapadniętych oczach. Kiedy Else pokazała się w progu, ta powoli uniosła ręce i coś wyjąkała; brzmiało to jak wołanie o litość. Na innym łóżku siedziała młodsza kobieta o dzikim, przestraszonym spojrzeniu i obejmowała podciągnięte kolana. Kołysała się, wydając z siebie głuchy dźwięk.

„To cele”, zdała sobie nagle sprawę Else. Znajdowała się na oddziale dla obłąkanych. Ale przecież nie miało to sensu.

— Jak pani widzi, wszędzie jest jednakowo — rozległ się za nią głos panny Stenberg. — Otrzymała pani jedyną salę, która nie jest zajęta.

— Ale chyba nie może mnie tutaj pani umieścić — powiedziała Else. — Przecież to cele, a ja nie jestem umysłowo chora.

— No cóż, to się okaże.

— Czy nie mogę porozmawiać z profesorem?

Szaleństwo, Szaleniec

— Owszem, jutro rano. Wieczorem przyjdzie zastępca ordynatora. Ale proszę już iść do siebie, nie może tu pani stać. — Panna Stenberg wzięła Else pod ramię i zaprowadziła ją do celi. — Musi się już pani rozebrać.

— Chodzi pani o płaszcz?

— Nie, ma się pani położyć.

— O godzinie szóstej?! Dlaczego?

— Taki jest regulamin.

— Przywykłam kłaść się nie wcześniej niż po dwunastej. Och, proszę nie kazać mi leżeć.

— To niemożliwe. Musi być pani w łóżku, aż do obchodu.

Panna Stenberg podeszła do Else i zdjęła jej kapelusz. Wtem rozległ się hałas i brzydki krzyk, a przed otwartymi drzwiami przeleciała postać w halce i koszuli nocnej, o bosych stopach wydających odgłosy młASNięcia na podłodze.

Panna Stenberg wybiegła na korytarz i mocno chwyciła jakąś osobę, która kopała, krzyczała i biła. Młoda pielęgniarka przybyła z pomocą. Była przysadzista, o mocnych kończynach, miała rumiane, krągłe policzki i przyjemną twarz.

— Dam sobie z nią radę sama — powiedziała do panny Stenberg i zaśmiała się zadowolona. — Już, *madame*<sup>6</sup> Hoff, spokojnie, proszę już do łóżka... Już, już, bez sztuczek.

Ostrożnie, lecz zdecydowanie objęła chorą kobietę i pociągnęła ją przez korytarz.

— Panno Stenberg! — zawołał skądś przestraszony głos i pielęgniarka śpiesznie wyszła.

Else wróciła do swojej celi i zaczęła się po niej przechadzać. Cóż to za miejsce, do którego trafiła? Przycisnęła dłonie do rozpalonych gorączką skroni, a oczy zaszyły jej łzami złości. Tutaj miała spędzić całą noc, wśród obłąkanych. Wśród obłąkanych! Knut miał przyjść dopiero jutro i trzeba było do tej pory wytrzymać. Bo nie zapowiadało się na to, by mieli ją stąd wypuścić. Chociaż może gdy zjawi się zastępca ordynatora? Oczywiście natychmiast stwierdzi, że doszło do nieporozumienia i zaprowadzi ją gdzieś indziej. Gdyby tylko przyszedł sam profesor! Och, jak pragnęła z nim porozmawiać. Cała noc w tym miejscu! Jak to z nią będzie? Bogu dzięki, że zabrała krople na kaszel, więc uda jej się może zmrużyć oko. Gorączkowo przeszukała kieszeń sukni i znalazła buteleczkę, którą odkorkowała i przytknęła do ust.

W tej samej chwili wpadła do niej przysadzista pielęgniarka, którą panna Stenberg nazwała Thorgren, chwyciła Else od tyłu za rękę i przemocą próbowała otworzyć jej dłonie. Pani Kant stawiała opór. Wtedy zjawiła się też panna Stenberg. Zdecydowanie położyła rękę na ramieniu Else i powiedziała władczo:

— Musi się pani natychmiast i w mojej obecności rozebrać. Natychmiast!

Thorgren rozpięła płaszcz pacjentki, który gorączkowo z niej zdzierała, szepcząc coś do panny Stenberg, z zapalem obmacującej ubrania Else. Ona zaś, niepostrzeżenie wsunąwszy buteleczkę do kieszeni, spoglądała przerażona to na jedną, to na drugą, szarpiąc się i próbując się bronić.

— Dlaczego mi to robicie? — zapytała oburzona.

— Co miała pani w dłoni? — krzyknęła Thorgren głosem drżącym ze złości, prędkimi ruchami palców rozpinając stanik sukni Else, jakby próbowała wymacać coś na jej piersi. — Co pani z tym zrobiła?

— Czy nie mogę rozebrać się sama? — zapytała Else i się rozplakała. — Nie przywykłam, że ktoś tak zdziera ze mnie ubrania.

— Tylko bez żadnych sztuczek — odpowiedziała panna Stenberg. — Co to był za korek, który pani wyjęła?

— Od moich kropli na kaszel — wyszlochała Else. — Chciałam wziąć kilka na sen.

— No tak, wiadomo. Proszę w tej chwili je oddać. — Panna Stenberg zacisnęła dłonie, obejmując Else.

— Nie mogłabym ich zatrzymać, panno Stenberg? Tyle kaszlę w nocy. Dał mi je mój doktor.

— Tutaj dostanie pani wszelkie potrzebne leki. Proszę natychmiast oddać buteleczkę. Else podała jej flakonik.

<sup>6</sup>*madame* (fr.) — pani. [przypis edytorski]

— Widzi pani.

Thorgren skinęła głową i wreszcie ją puściła.

— Proszę rozebrać się do końca — powiedziała panna Stenberg.

— Ale czy nie mogłyby panie wyjść? Wolalabym być sama.

— Proszę wyjść, Thorgren, ja jej przypilnuję.

Znów rozległy się krzyki i raban na korytarzu i Thorgren prędko wyszła.

Panna Stenberg ustawiła się plecami do ściany. W jednej ręce mocno ścisnęła butelkę Else.

— Jestem zmuszona tu zostać, aż będzie pani w łóżku, pani Kant — mówiła łagodniejszym tonem. — Skoro jest pani taka... Bardzo niedobrze przynosić tutaj ukryte krople z opium.

— Dlaczego one się tak na mnie gapią? — Else zwróciła się ku otwartym drzwiom, gdzie kilka kobiet w luźnych, bawełnianych strojach ustawiło się i spoglądało z zaciekawieniem.

— To tylko pacjentki.

— Czy nie mogłaby pani zamknąć drzwi, panno Stenberg?

— To wbrew regulaminowi.

Else się rozebrała i odłożyła ubrania w nogach łóżka. Następnie poprosiła o swój worek.

Panna Stenberg przełożyła sobie ubrania przez ramię i wyszła z nimi, Else zaś kulila się na skraju łóżka, trzęsąc się i kaszląc w samej bieliźnie. Z łokciami opartymi o kolana i twarzą w dłoniach, płakała zrozpaczona. Wtem usłyszała powolny ruch i czyjś przyjemny głos. Uniosła twarz. Stojąc krok od niej, przyglądały jej się schludna starsza pani oraz młoda dziewczyna w białych wełnianych skarpetach i z ciężką głową. Gdy Else podniosła wzrok, dziewczyna skrzywiła się jak poprzednio i schowała twarz za ręką, z urazą obracając się, by pokazać jej plecy. Ale schludna starsza pani podeszła blisko Else, schyliła się do niej i wyszeptwała wesoło:

— Mój zięć tak bardzo lubił kapustę, a miałam pilnować dzieci, bo nazywam się babcia... Naprawdę, kapusta pyrkła na piecu, ale ja nigdy nie dawałam rady zjeść więcej niż trzy, cztery łyżki. Nigdy więcej. Mam za to trochę pieniędzy na książeczce oszczędnościowej, mój zięć z niej wybierał... Ile zostało jeszcze do jedenastego?

— Dopiero co był — powiedziała Else.

— Och, tak. Bo mój zięć tak bardzo lubił kapustę, ale tutaj mamy tak czysto i miło. To wspaniałe miejsce, tylko nie dostajemy kawy.

Wtedy wróciła panna Stenberg i podała Else koszulę nocną.

— A pani co tutaj robi, babciu? — powiedziała, wzięła starszą panią pod ramię, a młodą dziewczynę za rękę; i wyprowadziła je na korytarz, po czym zaraz wróciła pilnować Else, gdy ta wkładała koszulę nocną i położyła się w pończochach.

— Nie dostanę mojego worka? — zapytała pani Kant.

— Nie, pozostanie pod moją opieką.

— Kiedy jest w nim tyle rzeczy, z których zamierzam korzystać... Mój klucz do nakręcania zegarka... Wzięła też pani mój zegarek?

— Zabrania się posiadania tu czegokolwiek.

— W nocy też drzwi będą otwarte?

— Dzień i noc. Tak każe regulamin — odparła panna Stenberg i wyszła.

Else wsunęła dłonie pod kark i wyjrzała na korytarz, gdzie młoda dziewczyna z ciężką głową wciąż powoli i chwiejnie chodziła tam i z powrotem, i skąd co chwilę dobiegało trzaskanie zamykanych drzwi i okien, zmieszane z tupaniem, które pojawiała się i znikało. Światło migoczącej lampy gazowej w drucianej obudowie zadawało ból oczom Else, czasami nachodziły ją ataki kaszlu.

Nagle rozległ się przesywający krzyk, następnie wściekły stukot, któremu towarzyszył przenikliwy potok słów. Else podniosła się na łóżku; serce biło jej głośno ze strachu i zawołała pannę Stenberg. Wtedy usłyszała na korytarzu szybkie kroki, dźwięk zamykanych drzwi i zgrzyt otwieranego zamka, zarazem powtórzył się wściekły stukot, po nim zaś nieprzerwany potok wyzwisk.

Nieco później weszła Thorgren.

— Kto tak hałasuje? — zapytała Else.  
— Proszę się tym nie przejmować. Niech się pani spokojnie położy. Ale to muszę zabrać — Thorgren chwyciła jej wstążkę do włosów i chciała ją rozwiązać.

— Ale dlaczego... — Else usiłowała odsunąć dłoń Thorgren. — Włosy zasłonią mi uszy, będzie mi od nich ciepło w głowę.

Thorgren jednak nalegała, by zabrać wstążkę. Pani Kant walczyła i prosiła.

— Niech pani poczeka, aż przyjdzie panna Stenberg — powiedziała wreszcie Thorgren.

— Czy ona tu rządzi? — zapytała Else.

— Tak, to siostra przełożona.

— Pani Kant nie chce zdjąć wstążki do włosów — powiedziała Thorgren pannie Stenberg, która w tej samej chwili wkroczyła do środka.

— Ale chyba mogę ją zatrzymać?! — zawołała Else.

— To wbrew regulaminowi. Ale możemy poczekać, aż przyjdzie zastępca ordynatora.

Pani Kant położyła się na poduszce i rozmyślała. Co to miało znaczyć? Zarówno panna Stenberg, jak i Thorgren sprawiały wrażenie, jakby z wielkiej łaski zostawiły jej tę nieszczęsną wstążkę do włosów. A gdy panna Stenberg wyszła, Thorgren została z dłonią na jej poduszce, ułożoną tuż obok wstążki. Albo bawiło je takie drażnienie się z nią, albo były z nich istne idiotki.

Później z korytarza zniknęły niebiesko ubrane postaci, ktoś inny przyszedł przywracać porządek.

Wreszcie zjawił się zastępca ordynatora, wysoki trzydziestolatek o cerze w ciepłym złotym odcieniu, jasnych, flegmatycznych oczach i z ciemną brodą, odziany w długi, biały, płócienny kitel, z młodym towarzyszem w takim samym stroju. Życzliwie się przywitał i usiadł na krześle, które podstawiła panna Stenberg, młody zaś stał z poważną miną.

Else zaczęła narzekać; z oburzeniem opowiedziała, jak zdarto z niej ubrania.

Zastępca ordynatora wymienił spojrzenia z panną Stenberg, po czym rzekł:

— Spokojnie, pani Kant.

— I to kategoryczne traktowanie! Dlaczego mam być wśród obłąkanych?

Lekarz uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie możemy zaraz tak indywidualizować.

— Wszystko mi zabrały — zapaliła się Else. — A teraz mówią, że nie mogę nawet zatrzymać wstążki do włosów!

Zastępca ordynatora zastanowił się i znów spojrzał na pannę Stenberg.

— A jaka jest długa? — zapytał po chwili.

Else rozwiązała wstążkę i mu podała.

— Przetniemy ją na pół. Chyba wystarczy pani połowa?

— Proszę bardzo, jeśli to pana zadowoli! — odparła Else pogardliwym tonem; ten lekarz nie był jej zdaniem ani trochę mądrzejszy od pozostałych.

Wstążkę przecięto, a Else oddano krótszy kawałek, którym owinęła swój warkocz, zastępca ordynatora zaś przepisał jej miksturę na sen, po czym wyszedł, a za nim jego poważny towarzysz.

Else leżała, pełna złości i bolesnego zdumienia faktem, że lekarz nie polecił jej przemieść ani nie okazał krzty oburzenia tym, jak została potraktowana. Jutro jednak przyjdzie profesor i... Knut. Och, Boże, Boże, byle tylko przetrwać noc.

— Nazywam się panna Hansen... Jestem pielęgniarką i zmierzę pani temperaturę — odezwał się stłumiony głos.

Else, która zamknęła powieki, by nie patrzeć na migotanie lampy gazowej nad drzwiami celi naprzeciwko, otworzyła je teraz szeroko i ujrzała parę dużych, pięknych, niebieskich oczu w pochylonej nad nią łagodnej twarzy madonny, otoczonej burzą złotych włosów.

— Och, byle nie to... — prosiła. — Taka jestem zmęczona.

— Nie, droga pani, muszę to zrobić. Zajmie to tylko chwilę i nie będzie bolało.

Else miała ochotę objąć szyję panny Hansen i poprosić, żeby została z nią przez całą noc. Jej łagodna twarz i delikatność dobrze na nią wpływały. Ale panna Hansen skinęła przyjaźnie głową i wyszła.

Potem zjawiła się panna Stenberg, która podała jej rękę na dobranoc.

Lekarz



— Wszystko dla pani zrobię, pani Kant. — Poglaskała ją po włosach. — Byle była pani spokojna.

— Dziękuję — wymamrotała Else, patrząc zacięcie przed siebie.

Było całkiem cicho. Lampy gazowe zostały wyłączone, a młoda, drobnej budowy kobieta z wielkim blond kokiem podała Else miksturę nasenną.

— Jak dużo tu pielęgniarek — powiedziała pani Kant zdumiona. — Czy to z panią będę mieć najwięcej do czynienia?

— Tak, w nocy, o ile będę mieć akurat dyżur. W dzień będzie to Thorgren, którą widziała pani wcześniej.

— Czy w nocy jest tutaj cicho?

Pielęgniarka się uśmiechnęła.

— Nie, pani Kant. Na tym oddziale nigdy nie jest cicho. Sama pani słyszy.

Dobiegły je silne trzaski, jakby na podłogę z mocą ciśnięto coś ciężkiego i pielęgniarka wybiegła.

Te odgłosy zadawały Else fizyczny ból. Z załamanymi rękami usiadła na łóżku i nasłuchiwała biadolenia, które rozlegało się po trzaskach. Zawodził stary, łamiący się, piskliwy głos; niekiedy słychać było uspokajające uciszanie pielęgniarki.

— Miała się pani położyć, pani Kant — powiedziała pielęgniarka nieco marudnie, kiedy po chwili wróciła. — Trzeba tutaj pogodzić się z tym, co się dzieje.

— Ale, dobry Boże, dlaczego mam tutaj być?! — Else uniosła zaciśnięte dłonie nad głowę.

— A dlaczego tu pani trafiła? — zapytała pielęgniarka obojętnie.

Else zaczęła z zapalem opowiadać, jak do tego doszło, lecz zauważyła, że kobieta jej nie słucha, więc przerwała pytaniem:

— Jak się pani nazywa?

— Panna Suenson.

— Kto tam tak hałasował?

— To nazywa pani hałasem? — Panna Suenson lekko się zaśmiała. — To tylko barrierki z łóżka, które zrzuca na podłogę jedna starowina, tak mizerna, że nie znosi pościeli. Taka jest zresztą miła, stale fantazjuje o małej Almie. To pewnie jej córka.

— O Boże, o Boże! — zawołała nagle Else przerażona i prawie spadła z łóżka, żeby chwycić pannę Suenson, która odwróciła się plecami do drzwi; wysoka, biała postać, owinięta w wełniany koc, z ciemnymi puklami zwisającymi spod czepka nocnego, stała tam i robiła miny.

— Co znowu — powiedziała panna Suenson poirytowana i pośpieszyła do kobiety, którą następnie odprowadziła.

Else położyła się z powrotem na łóżku i cicho płakała.

Nieco później przyszedł krępy, czarnowłosy stażysta w białym płóciennym kitlu i usiadł koło Else. Zaczął ją wypytywać i badać.

— Czy ktoś chce panią skrzywdzić?

— Nie — odparła Else, zagryzając wargę, żeby stłumić płacz. Nie rozumiała, co miał na myśli, ale podjęła: — Nikt nie chce mnie skrzywdzić. Chodzi panu może o kogoś tutaj?

— Czy ktoś panią śledzi, czyha na panią? Nie? — ciągnął lekarz pełnym zrozumienia tonem.

„On myśli, że jestem szalona”, pomyślała Else i odwróciła głowę.

Potem stażysta ostukiwał i osłuchiwał jej pierś, stale o coś wypytując. Wreszcie skończył.

— Jest pani tam, panno Suenson? — zapytała Else półgłosem, gdy dźwięk kroków młodego lekarza ucichł na korytarzu.

— Tak, siedzę tutaj i czytam. — Jasna główka pielęgniarki pojawiła się na chwilę w drzwiach. — Musi pani już spać, pani Kant.

„Spać”, pomyślała Else. Jak miałoby jej się to udać — jej, która nawet w najkorzystniejszych warunkach miała z tym takie trudności i która ciągle czuła cierpkie laskotanie z tyłu gardła, prowokujące kaszel.

Gdyby Knut wiedział...

Sen

Ogarnęła ją dokuczliwa tęsknota za mężem i dzieckiem. Odczuwała ją niczym bolesne klucie w sercu i duszący ciężar na piersi. Trudno jej było oddychać.

Wtedy nagle rozległ się dudniący łomot, po nim dzikie wrzaski i wściekłe wyzwiska. Else zdawało się, że dźwięki dochodzą dokładnie spod jej łóżka. Poderwała się, zdjęta potężnym lękiem.

— Panno Suenson, panno Suenson! — zawołała.

— Cii, to tylko tamci na dole — powiedziała pielęgniarka, ziewając od progu. — Wszystko się tutaj niesie. Proszę się spokojnie położyć, nic pani nie zrobią.

— Na dole też są obłąkani?

— Tak, oddział dla mężczyzn. Są dziś mocno wzburzeni.

Krzyki i łomot stawały się coraz głośniejsze, bardziej rozwścieczone. Ktoś mówił przenikliwym głosem i stale przeklinał.

Else przywarła do panny Suenson, chowając twarz.

— Nie ma nikogo, kto miło by do nich mówił, jak tutaj?

— Na nic by się to nie zdało. Oni mają *delirium*<sup>7</sup>, muszą wyładować złość. Już, pani Kant, proszę się nie bać, chyba pani rozumie, że żaden z nich nie może tu przyjść.

— Tak, wiem... Wiem... — Else odchyliła głowę złęknioma i zaczęła nią kręcić. — Oczywiście, są zamknięci jak my. Ale nic na to nie poradzę. Tak się boję! O Boże, Boże!

Rzuciła się w objęcia panny Suenson.

— Gdyby tylko pani zasnęła, pani Kant. Proszę posłuchać, jest już trochę spokojniej.

— Ale on wciąż tak strasznie mówi!

— W końcu przestanie. Niech się pani położy. W ogóle nie jest pani senna po zażyciu mikstury?

— Ani trochę.

Panna Suenson przykryła Else kocami.

— Ma pani na sobie pończochy — powiedziała zaskoczona. — Jak to się mogło stać? Chciała je zdjąć.

— Wolałabym je zostawić, bo tak marzną mi stopy.

— Nie wolno, pani Kant. Nie rozumiem... I podwiązki... Długie, czarne podwiązki...

Pielęgniarka wydawała się przerażona.

Else usiadła na łóżku i przyciągnęła do siebie stopy.

— Tak, podwiązki — powiedziała. — Co w nich złego?

Panna Suenson popatrzyła na Else, a na jej młodej, jasnej twarzy pojawiła się niepewna mina.

— Nie... — odezwała się wreszcie — nie mogę inaczej. To mój obowiązek mieć podejrzenia.

Szybko chwyciła podwiązki.

— Podejrzenia? — Else się zamyśliła. — Cicho, kto idzie?

— Zastępca ordynatora ma obchód nocny. — Panna Suenson przykryła Else. — Proszę nie wspominać o podwiązkach — szepnęła. — Thorgren będzie nieszczęśliwa, jeśli to się wyda.

Wyszła na korytarz, skąd Else słyszała cichą rozmowę.

Wtedy do środka zakradł się zastępca ordynatora i wyraził swe zasmucenie faktem, że Else nie śpi, chociaż było już po jedenastej.

— Dopiero!

— Proszę spróbować się uspokoić. Dostanie pani więcej leków nasennych.

Po wyjściu zastępcy ordynatora panna Suenson podała Else kolejną porcję rudobrunatnej, niesmacznej mikstury, a potem stanowczo zażądała oddania podwiązek.

— Ale dlaczego, dlaczego?

Odpowiedź była wymijająca. Aż nagle Else doznała olśnienia. Bali się, że odbierze sobie życie.

— Chciała też pani opróżnić buteleczkę opium — powiedziała panna Suenson. — Poinstruowano nas, żeby pani pilnować.

<sup>7</sup>*delirium* a. *delirium tremens* (łac.) — ostra psychoza występująca u osób uzależnionych w okresach abstynencji. [przypis edytorski]

Else odebrało mowę. A więc *dlatego* panna Stenberg i mała, przysadzista Thorgren rzuciły się na nią jak na przestępczynię. I stąd ta scena ze wstążką do włosów i spojrzenie posłane przez stażystę pannie Stenberg. A więc Knut powiedział o tym Hieronimusiowi. Tak, oczywiście. Chociaż mógł się, na litość boską, powstrzymać. Czuli się oburzona i upokorzona, jakby wymierzono jej niezasłużoną karę w miejscu publicznym.

— Może mi pani wierzyć, że różne rzeczy przytrafiają się tu w ciągu roku — ciągnęła panna Suenson. — A jeśli stanie się coś złego, to my, pielęgniarki, ponosimy odpowiedzialność. Thorgren była aż biała z przerażenia na myśl, co mogło się wydarzyć.

— Tak, teraz wszystko rozumiem — wymamrotała Else. — Zresztą jest mi to obojętne, bo jutro już mnie tutaj nie będzie.

— Tak pani myśli? — Panna Suenson spojrzała na nią z powątpiewaniem.

Wtem dobiegł je przesywający, dziki krzyk.

— Znów ma konwulsje! — zawołała pielęgniarka i wypadła na korytarz, gdzie, jak słyszała Else, z kimś się zmagala, a krzyki tylko się nasilały, aż przypominały rżenie.

Else nie mogła uleżeć w spokoju. Zeszła z łóżka i, walcząc z potrzebą, by też krzyknąć, wydostała się na korytarz, gdzie zobaczyła, jak panna Suenson ciągnie za sobą wyjąca kobietę, której sztywne ciało w poszarpanej halce wlokło się po podłodze. Wreszcie obie zniknęły w jednej z cel.

Else usiadła na skraju krzesła i przycisnęła dłonie do serca, które waliło, jakby chciało wyskoczyć jej z piersi. Trwało to długo, aż krzyki ucichły i znów pojawiła się panna Suenson. Nieco podskoczyła na jej widok i powiedziała z oporem:

— Ależ Boże, to pani, pani Kant? Nigdy nie wolno pani wstawać z łóżka, nigdy. Jeśli pani to zrobi, będę zmuszona złożyć na panią skargę, a wtedy zostaną poczynione odpowiednie kroki.

— Niech się pani nie złości — prosiła Else, wyciągając rękę. — Nie wiedziałam, że to zabronione, a byłam tak przełęczniona, że *musiałam*... Myśli pani, że będzie teraz cicho? — zapytała już z łóżka.

— Powiedziałam pani, że na tym oddziale nigdy nie jest cicho.

Ledwie skończyła mówić, na dole znów zaczęły się wyzwiska i wrzaski, jeszcze gorsze i dziksze niż poprzednio.

Else zaczęła rozpaczać.

— Och, proszę tu zostać, miła panno Suenson! Proszę tu wreszcie zostać.

— Nie, teraz idę zjeść kolację. Po nocnych dyżurach w dzień śpimy, więc jeść musimy w nocy.

— Co dziś pani zje?

— Zupę i mięso.

— Och, niech mi pani trochę przyniesie.

— Nie śmiałybym.

— Ale jestem tak strasznie głodna. Nie byłam w stanie spróbować kanapki, którą wcześniej mi podano. Zjadłam tylko okruszek. Przecież nikt się nie dowie.

Jednak na próżno. Panna Suenson zapewniała zasmucona, że jej nie wolno.

Nie było jej też wolno tyle przebywać u pacjentek, dodała.

## VI

Noc wlokła się naprzód. Mniej więcej co pół godziny panna Suenson zaglądała do Else, którą ciągle zastawała z szeroko otwartymi oczami.

— Cicho tu już od prawie półtorej godziny — powiedziała pielęgniarka, kiedy znów do niej weszła. — A jednak pani nie zasnęła.

— Która jest teraz godzina?

— Nieco po piątej.

Na korytarzu zrobił się ruch. Drzwi i okna zaczęto otwierać z trzaskiem i brzękiem, odsuwano na bok stoły i krzesła, myto coś mlaskającymi od wilgoci szmatami. Else każdy dźwięk odczuwała jak nagły skurcz serca, a lampa gazowa nad drzwiami migotała w ciągu jeszcze bardziej niż przedtem, klując ją w rozbudzone oczy.

Panna Suenson przyniosła Else ręcznik i wodę oraz malutką miednicę.

Szaleniec, Przemoc

Głód, Jedzenie

— Proszę oddać mi moje ubrania, żebym mogła wstać — poprosiła pani Kant. — Zmęczyłam się już leżeniem.

— Żeby dostało mi się od profesora? — zbyła ją panna Suenson.

— A moje mydło, grzebień i szczoteczka do zębów?

— Ma je panna Stenberg. Dzisiaj poradzi sobie pani bez nich.

Panna Suenson długim drągim otworzyła okno w celi i zaczęła z zapalem szorować parapet, boazerię i drzwi; Else zaś, aby osiągnąć miednicy, klęczała na łóżku, marznąc w przeciagu, aż szczykała zębami.

Potem musiała zejść z łóżka, żeby panna Suenson mogła je pościelić. Następnie dostała herbaty i parę bułek z masłem, po czym przysła babina z wiadrem i umyła podłogę. Lamy gazowe zgaszono, a celę wypełniło szare światło dnia. Wreszcie panna Suenson zaczęła sprzątać podłogę miotłą na długim kiju.

— Czy sama czyści pani wszystkie cele? — zapytała Else.

— Tak — odparła pielęgniarka, z trudem łapiąc oddech i dalej zamiatając. — Nie musimy jedynie myć podłóg. Pacjentkom trzeba podać herbaty, większość musimy umyć, wyszykować i we wszystkim pomóc.

Panna Stenberg robiła poranny obchód cel.

— Mam nadzieję, że się pani wyspała — odezwała się do Else, ale nie słuchała odpowiedzi. — Chciałabym życzyć pani miłego poranka, pani Kant.

Panna Suenson podała jej rękę.

— Ależ musi być pani zmęczona.

Else przyglądała się jej młodej, ładnej twarzy, szarej, o zapadniętych policzkach.

— Tak, bardzo. Nie śpię od siedmiu nocy, zostało mi jeszcze siedem. Nasze zmiany trwają po czternaście dni.

Ogarnięta obezwładniającą niemocą, Else zapadła w letarg, z którego co chwilę wyrwała się, czymś przestraszona. Pacjentki były spokojniejsze, lecz nieustannie rozlegały się odgłosy otwieranych drzwi, brzęczących i trzaskających okien, tupiących albo skrzypiących kroków, dzwoniących kluczy i ludzkich głosów — a każdy dźwięk był przeszywający i brutalny w tym pustym pomieszczeniu, w którym niesło się echo, i sprawiał, że przez ciało Else przelewały się to lodowate, to ogniste strumienie.

Po kilku godzinach wreszcie przyszedł Hieronimus — szybko, lekkim krokiem, w białym, długim, płóciennym kitlu i w towarzystwie pięciu czy sześciu stażystów oraz studentów, którzy w swych białych strojach przypominali czeladników piekarskich. Profesor zajął miejsce na krześle przy łóżku, podczas gdy jego biała świta ustawiła się w półkoło krok od niego. Za nimi stały panna Stenberg i mała Thorgren z rękami na brzuchu — wyglądały jak uroczyście zaprzysiężone świadkinie.

Hieronimus zbadal Else puls i zadał jej kilka zwyczajnych pytań, na które ona odpowiadała półsłówkami, cierpiąc z powodu ciekawskich spojrzeń mężczyzn w bieli.

— Dlaczego musi tu stać tylu ludzi? — zapytała niechętnie.

— To lekarze — rzekł Hieronimus. — Czy dokuczają pani zatwardzenia?

Zamiast odpowiedzieć, Else zaczęła narzekać na przeżycia tej nocy i powiedziała, że tu nie wytrzyma.

— Nie spała? — Profesor zwrócił się do panny Stenberg.

— Spała? — powtórzyła Else oburzona.

— No cóż, może pani spać teraz — skwitował Hieronimus i wstał.

— Nie, nie *mogę!* Zabrały mi też ubrania i zabroniły mi wstawać!

Profesor podszedł do drzwi, a jego świta z szacunkiem ustąpiła mu miejsca.

— Nie mogę z panem porozmawiać? — zawołała Else.

Hieronimus na wpeł się odwrócił.

— Nie tak od razu — powiedział i rozłożył ręce.

Następnie opuścił celę, tak samo szybko i lekko, jak przyszedł, a za nim jego wierni trabanci<sup>8</sup>.

Else liczyła minuty, godzina za godziną wytrwale oczekując profesora. Thorgren przyniosła jej herbaty i bułki z masłem — te same, które dostała rano — i z rękami

Lekarz, Sen

Jedzenie

<sup>8</sup>*trabant* — dawniej członek straży przybocznej monarchy lub dostojnika. [przypis edytorski]

wetkniętymi między kolana pochyliła nad nią swoje rumiane, zawsze uśmiechnięte policzki.

— Nie będzie tak źle, pani Kant. Byle była pani spokojna. Jeszcze się zaprzyjaźnimy, zobaczy pani. A teraz musi pani coś zjeść.

— Nie *mogę*.

— Ależ tak, trochę... Nie?

Przekrzywiła głowę i jeszcze bardziej się uśmiechnęła.

Również panna Stenberg przyszła i uprzejmie do niej mówiła, prosząc Else, by jadła. Ona jednak kręciła głowę i tylko czekała na profesora.

Na korytarzu, przy żółtym stole, stojącym tuż przed drzwiami Else, jeden z panów w bieli zajmował się wysokimi, przezroczystymi zlewkami, które napełniał cieczą w różnych kolorach. Młoda dziewczyna z ciężką głową i w białych wełnianych skarpetach wędrowała jak poprzedniego wieczoru, zataczając się tam i z powrotem, a stara, schludna babcia pojawiała się niekiedy, gawędząc i kiwając głową.

Czas mijał, ale Hieronimus się nie pokazywał. Knut też nie. Else gorączkowo nasłuchiwała kroków, czy nie rozpozna tych należących do jej męża.

Chore już dawno znów zaczęły hałasować. Co chwilę przedzierały się do niej przeraźliwe krzyki, dzikie zawrozczenie, kopanie, tupanie, wyzwiska i trzaski. Pani Kant zaczęła rozróżniać charakterystyczny sposób biadolenia poszczególnych pacjentek.

Przyniesiono obiad i Else dowiedziała się, że jest godzina trzecia. Zrozpaczona wybuchła płaczem. A więc Knut już nie przyjdzie. Pora odwiedzin była między jedenastą a dwunastą.

Kiedy płakała, zjawiła się panna Hansen o twarzy madonny i zapytała ją o zdrowie. Thorgren miała tego popołudnia wolne, panna Hansen ją zastępowała. Else zaczęła głośno narzekać. Pielęgniarka ujęła obie jej dłonie, czule je ścisnęła i wyszeptwała:

— Tak mi przykro z pani powodu, pani Kant, i chcę dla pani tak dobrze, dlatego nalegam, by zachowała pani spokój. Im cieplejsza i cichsza pani będzie, tym prędzej się pani polepszy. *Tutaj* nie ma sensu narzekać. Od tego robi się tylko gorzej.

— Ale nie chcą chyba, żebym spędziła tutaj kolejną noc? — płakała Else. — Przecież to wpędzi mnie w obłąd.

Panna Hansen popatrzyła na nią zasmucona swoimi wielkimi, pięknymi oczami, które przypominały małą Karin ze szwedzkich ludowych piosenek, i się nie odezwała.

— Nie myśli pani, że profesor na pewno poleci mnie przenieść, kiedy z nim odpowiednio porozmawiam?

Panna Hansen pokręciła głową.

— Proszę też nie czekać na męża, pani Kant. Na tym oddziale nikt nie ma odwiedzin. Cii...

Zasłoniła usta palcem wskazującym i wyszła, kiedy do środka wkroczyła panna Stenberg.

Chciała, żeby Else coś zjadła. Nie mogła leżeć tak, nie przyjmując pożywienia. Stawczo chwyciła Else pod rękę i posadziła ją na łóżku, po czym położyła jej tacę na kolanach.

Był tam kleik na wodzie bez cukru, do tego mleko i malutka, cienka gładzica<sup>9</sup>, płynąca w roztopionym maśle.

Else nabrała kilka łyżek kleiku, ale ryba brzydko pachniała i kiedy wzięła kęs do ust, musiała go wypłuć. Niedobrze smakował, do gotowania zaś nie użyto soli.

Popołudnie się wlokło. Pani Kant leżała w ciężkiej rozpacz, znów ogarnięta tęsknotą za mężem i dzieckiem. Nie sądziła, że to uczucie może wywołać tak silny fizyczny ból. Czuli się, jakby Knut i Tage leżeli niewidzialni na jej piersi, przygniatając ją całym ciężarem. Malutki Tage! Ciekawe, jak teraz się miewa? Ach, gdyby tylko mogła przelotnie go zobaczyć, chociażby z największej oddali...

Na korytarzu i w celach z trzaskiem otwarto okna. Else skuliła się pod kocem, żeby osłonić się przed przeciągiem.

Po półgodzinie okna zostały zamknięte, po czym ktoś z tupotem wszedł na korytarz i w krótkich odstępach czasu odstawiał coś mocno uderzającego w ścianę. Jednocześnie

Rozczarowanie, Rozpacz,  
Łzy

Współczucie

Jedzenie

Tęsknota

<sup>9</sup>gładzica – rodzaj flądry, występującej w wodach Oceanu Atlantyckiego. [przypis edytorski]

zamknięto okiennice i do środka wlało się żółte światło. Chwilę później wyjaśniło się, skąd to tupanie i uderzenia. Był tam mężczyzna z drabiną, który zapalał lampy gazowe nad drzwiami cel.

Wtem do środka wpadł profesor Hieronimus. Miał na sobie płaszcz i w ręku łaskę, a widząc jego pośpiech, Else zaraz poczuła się nieswojo. Mimo to przeszył ją promień nadziei.

— Bogu dzięki, że pan przyszedł — powiedziała.

— Mam nadzieję, że ma się pani już lepiej — zaczął Hieronimus swoim słabym, bladym głosem.

— Nie — odparła Else. — Niby jak? Tak tutaj strasznie.

— Strasznie! Wręcz przeciwnie, jest tutaj bardzo przyjemnie — mówił profesor poruczającym tonem. — Musi pani tylko *uznać*, że jest tu przyjemnie, a będzie przyjemnie. Żle się pani ostatnio czuła... Prawda?

— Tak — odparła Else. — Ale tutaj mi się nie polepszy.

— Niezbyt dobrze układało się między panią a pani mężem. Nie ma pani na co narzekać, czego mu zarzucić?

— Nie — szepnęła, przytłoczona płaczem.

— Czy dobry z niego małżonek, sumienny ojciec? Nie dawał pani powodów do zażdrości?

— Nie. To pod każdym względem znakomity mąż — wyjąkała Else. — Ale obiecał, że dzisiaj przyjdzie.

— Pytał też o panią — Hieronimus mówił jeszcze szybciej niż zwykle.

— To dlaczego do mnie nie przyszedł?

— Ja mu nie pozwoliłem. Dostaje pani coś na sen, prawda?

Profesor podszedł do drzwi.

— Nie pozwolił pan... Ale dlaczego? Czy przyjdzie jutro?

Siedziała wyprostowana na łóżku i wołała za wychodzącym Hieronimusem.

— Jutro nie — uciął zimno profesor.

— A kiedy?

— Zobaczymy.

I już go nie było.

## VII

„Zobaczymy, zobaczymy” dzwoniło w uszach Else, która nieustannie splatała i rozplatała palce. Och, jak bolało ją w piersi.

— To wspaniałe miejsce.

Babcia stała przy łóżku, w czystych, chudych dłoniach ściskając białą, złożony materiał, po czym pokręciła starą głową w czepku nocnym, jakby w pełnym wdzięczności zdziwieniu.

— Tak tu czysto i dobrze, tylko nie dostajemy kawy... Nie dostajemy.

„Zobaczymy, zobaczymy”. Nie, to musiał przecież być żart. Tak, oczywiście, oczywiście. Else tak mocno splatała palce, że aż chrupało w stawach.

Ale żartować w takim miejscu? Na tym oddziale, jak go nazywali. Hieronimus nie wyglądał też, jakby żartował. Zresztą przecież wiedział, że leżenie tutaj nie może jej dobrze zrobić i... Nie, to nie był żart.

Choć może chciał wystawić ją na próbę — sprawdzić, na ile starczy jej cierpliwości? Och, nie, przecież nie przyszła do placówki wychowawczej.

Ale jeśli Hieronimus tak właśnie traktuje swą pracę? Jeśli odczuwa palącą potrzebę, żeby pomagać i reformować, uzyskiwać wyniki, które wprawia ludzi w podziw, dla niego zaś będą bodźcem i dowodem na to, że zasłużył na swoją renomę? Jego sposób bycia i wygląd dziwnie kojarzyły się z dydaktyzmem... I teologią. Nie, nie był przecież *aż tak* młody, by jego działania napędzane były marzeniami i teoriami. Życie i jego musiało nauczyć, że jedyne, co warto wiedzieć, to że człowiek nic nie wie.

„Zobaczymy, zobaczymy”. Nie, już wiedziała! Chciał zaskoczyć ją jutro nagłą wizytą Knuta w jej celi. Tak było, tak było.

Ale, dobry Boże, jakież to jednak nieodpowiedzialne tak ją traktować. Gdyby powiedział, że Knut przyjdzie jutro, może mogłaby tej nocy zasnąć, a teraz... Nie, Hieronimus nie był aż tak mądry, jak wcześniej myślała.

A teraz miała przed sobą noc. Noc... Noc. Kolejną noc w tym miejscu.

— No, pani Kant, jak się mamy?

Else poczuła, jak zastępca ordynatora jowialnie klepie ją w ramię.

— Niezadowolona z życia, co?

„Jacy brutalni są ci ludzie”, pomyślała Else, ale wtedy spostrzegła cień współczucia we flegmatycznym spojrzeniu zastępcy ordynatora i milcząco go przeprosiła.

— Sprawimy, żeby dziś pani zasnęła — powiedział lekarz. — Dostanie pani podwójną dawkę.

— Wczoraj wieczorem też dostałam!

— No to potrójną. Tylko niech pani sobie nie wmawia, że nie da rady spać. Co miałyby stać na przeszkodzie? Leży pani przecież wygodnie i pod każdym względem ma się znakomicie. Zajrzę do pani podczas nocnego obchodu.

Panna Hansen zabrała tacę z kolacją — herbatą i kanapką z masłem, których Else nie tknęła.

— Jaka szkoda, że nic pani nie je — powiedziała.

— Nie mogę nic przelknąć — odparła Else.

Potem zaczęto przygotowania do nocy i wszystko odbyło się dokładnie jak poprzedniego wieczoru. Ubrane na niebiesko postaci zniknęły z korytarza. Lampy gazowe wyłączone, panna Stenberg obesła cele, a panna Suenson stawiała się na nocną służbę.

— Jak dziś pani było? — zapytała.

— Okropnie.

Else chwyciła obie jej dłonie.

— Taka była pani pewna, że dziś jej tutaj nie będzie — rzekła pielęgniarka i uśmiechnęła się smutno. — Widzi pani? Myślałam zresztą, że panią przeniesiono.

— Jak pani myśli, jak minie noc, panno Suenson?

— Oczywiście jak zwykle. Tutaj jest pani mikstura na sen.

— Czy mogłabym jej nie brać? Przecież i tak nie zasnę.

Pielęgniarka przytknęła miksturę do ust Else.

— Nie wolno tu pani niczego odmawiać. Tak będzie dla pani najlepiej.

Później zaczęły się okropności z poprzedniej nocy. Te same wycia i jęki, te same trzaski i uderzenia, te same wściekle, rozzierające, nieludzko wrykiwane wyzwiska i przekleństwa tych z *delirium* na dole. Else co chwilę siadała na łóżku, zmagając się z lękiem. Ilekroć zaglądała do niej panna Suenson, pani Kant czuła ulgę i prosiła ją, by od niej nie odchodziła.

Nieco po godzinie jedenastej przyszedł zastępca ordynatora.

— Nie śpi pani?

— Profesor powiedział, że mój mąż nie przyjdzie też jutro — rzekła Else. — Myśli pan, że to był żart?

— Proszę się uspokoić, pani Kant. Skąd takie niezadowolenie?

— Niezadowolenie? To nie rozumie pan, że męczę się tutaj na śmierć?

— Proszę spać, to nie będzie się pani męczyć.

— Spać! Niech pan posłucha, jak wyją. A jak na chwilę robi się cicho, wtedy z kolei kaszlę.

— Co też pani wymyśla? Proszę zresztą pozwolić się zbadać.

Zastępca ordynatora wyjął stetoskop, identyczny jak ten, którego używał poprzedniego wieczoru krępy stażysta.

— Ma pani znakomite płuca. Nic im nie dolega. Proszę przestać wmawiać sobie kaszel.

— Niech pośle pan zatem do domu i zapyta mojego męża! Albo pannę Suenson. Myśli pan, że kłamię?

— Już, już, już, nikogo nie chciałem urazić. Dostanie pani więcej środka na sen.

Zastępca ordynatora się oddalił.

— Nie, *nie* chcę! — zawołała Else. — Proszę zapewnić mi jedynie spokój, a zasnę. Od mikstury tylko mi gorzej!

— Całkiem niezrównoważona — wymamrotał zastępca ordynatora i śpiesznie się oddalił.

Ciężka jak kamień rozpacz ścisnęła Else w piersi. Spojrzała na wysokie okno, które, poprzecinane gęstymi szprosami<sup>10</sup>, wyglądało jak zakratowane; pomyślała też o wszystkich zamkniętych drzwiach, odgradzających to więzienie. Nie mogła płakać, nie miała siły mówić do panny Suenson, która znów u niej była, wlała w nią miksturę nasenną i łagodnie, czule ją przykryła. Gdyby tylko była wierząca i mogła modlić się do Boga ze swego dzieciństwa i młodości — przyniosłoby to jej spokój i pocieszenie. Serce rosło jej na wspomnienie licznych sytuacji, kiedy w przeszłości odnajdywała pociechę i siłę w modlitwie. Do oczu napłynęły jej gorące, pokrzepiające łzy i bezwiednie złożyła ręce. Och, dlaczego Jezus zniknął z jej życia? Przypomniła sobie, co Jezus wycierpiał, jak bez utyskiwania przyjął najbardziej haniebną śmierć, przypomniała też sobie, jak wzniosłym przykładem cierpliwości w cierpieniu dla wszystkich ludzi — wierzących czy nie — były jego życie i śmierć.

Ogarnął ją usmierzający spokój. Oczy zamknęły się i właśnie miała przysnąć, kiedy przeraził ją piskliwy krzyk. Dźwięk przeszył ją na wskroś jak ostry, lodowaty nóż. Zeskoczyła na podłogę i zawołała pannę Suenson; wtem jednak przypomniała sobie, że wstawanie było zakazane, więc śpiesznie wróciła do łóżka.

Jazgot trwał. Gdy jedna przestawała, zaczynał druga, a tamci na dole byli jak opętani. Else czuła się stopniowo doszczętnie miażdżona. Miała wrażenie, jakby cały ten hałas, wszystkie krzyki rozlegały się w niej samej. Męczyły jej ciało, wirowały, kipiały w głowie, a niekiedy, przy nagłym lub wyjątkowo przesywającym wrzasku, zdawało jej się, jakby tonęła w głębinie i powoli podnoszono ją na powierzchnię. Dobra była tylko jedna rzecz — dopóki targały nią te fale lęku, nie kaszlała.

Jak poprzedniej nocy pacjenci trochę uspokoili się nad ranem, wtedy jednak Else natychmiast zaczęła kaszleć.

I myślała o profesorze. Nie potrafiła zrozumieć, że on, lekarz, do którego zwróciła się po radę i pomoc, kazał jej tutaj leżeć, by narażała się na te rozdzierające wstrząsy. Wiedział wszak o jej bezsenności i wiedział, jak bardzo potrzebowała spokoju, by zasnąć. Traktowano ją dokładnie w ten sam sposób, co obłąkanych, a dla niej, która obłąkana *nie* była, okazało się to gorsze niż pobyt w zakładzie karnym.

— Ależ, pani Kant, myślałam, że pani śpi.

Panna Suenson zakradła się do środka i stanęła przed Else.

— Chociaż jest chwilę cicho, dokucza mi kaszel — odpowiedziała Else.

— Nie zauważyłam. Przecież taki tutaj harmider.

— Profesor przyjdzie jutro z rana?

— Nie, będzie zastępca ordynatora. Profesor przyjdzie dopiero pod wieczór.

Else znów przygniotła rozpacz ciężka jak kamień. A więc spędzi tu cały kolejny dzień. Śmiertelnie zmęczona, oszołomiona, bez możliwości, by choć na krótko zmrużyć oczy, zamknięta w tych murach, przez które żaden posłaniec ani żaden krzyk nie przedostawał się do nikogo na zewnątrz. Miała leżeć tak wyprostowana, na tym twardym posłaniu, które nie pozwalało odpocząć jej wycieńczonym członkom; miała patrzeć przed siebie przez otwarte drzwi na korytarz, prowadzący wzdłuż cel, i na niebiesko ubrane postaci. A Knut nie miał przyjść — przez cały dzień. Zapytała też pannę Suenson, czy to możliwe, że profesor żartował albo chciał ją zaskoczyć, a odpowiedź pielęgniarki odebrała jej wszelką wątpliwość. Och, Knut, Knut! Dlaczego pozwolił im tak z nią postępować! Choć może Hieronimus naprawdę myślał, że jest szalona. Przecież prawie w ogóle z nią nie rozmawiał, więc nie mógł tego wiedzieć. Jakie to zresztą dziwne, że nie poświęcił więcej czasu, aby zrozumieć jej stan — czy rzeczywiście trzeba było trzymać ją w celi. Bo bez potrzeby nikogo tutaj nie przyprawdzano.

Albo może sądził, że chciała odebrać sobie życie kroplami z opium? Inni też tak przecież myśleli, ale poszli po rozum do głowy. Starannie wyjaśniła sprawę zarówno zastępcy ordynatora, jak i pannie Stenberg, a oni oczywiście przekazali wszystko profesorowi. Else była bezradna.

Kiedy Hieronimus przyjdzie jutro wieczorem, wtedy poważnie z nim porozmawia.

Rozpacz, Wiara, Modlitwa

Nadzieja

<sup>10</sup>*szpros* — listewka dzieląca powierzchnię okna na mniejsze części. [przypis edytorski]



Na spokojnie. Postara się wyjaśnić nieporozumienie, do którego musiało tu dojść. Żeby przynajmniej mieć pewność, że to ostatnia noc w celi. Kurczowo chwytiała się tej myśli. Stale powtarzała wszystko, co chciała powiedzieć, uczyła się tego na pamięć. Wymyślała, co profesor odpowie, starannie układała jego słowa w zdania. Łzy stawały jej w oczach z tęsknoty za nim, z sympatii do niego — tego mądrego, ludzkiego mężczyzny, który poświęcał swe życie i siły najniezwyklejszym wśród swoich bliźnich, którym tak bardzo mógł pomóc, choć sam tego nie wiedział. Tak, jutro wieczorem sprawa się rozwiąże. Dadzą jej spokojną salę gdzieś indziej, gdzie nie będzie widziała ani słyszała tego hałasu, tego jazgotu, gdzie będzie mogła wieść spokojne życie rekonwalescentki z którąś z tych dobrych pielęgniarek i codziennie rozmawiać z Hieronimusem. Cierpliwości, cierpliwości — ten dzień też pewnie minie. Trzeba było zebrać wszystkie siły i całą energię, by wytrzymać do przyjścia profesora.

## VIII

Wreszcie nastał ranek. Drzwi trzaskały, okna pootwierano, przeciąg przelatywał przez celę. Babina z wiadrem z wodą i szmatą krzątała się po korytarzu, panna Suenson zaś to wpadała, to wypadała, w nieustannym pośpiechu, przynosiła wodę do mycia i herbatę, pomagała pacjentkom i sprzątała cele. Panna Stenberg zaglądała do pacjentek; wszystko było jak poprzedniego ranka.

Else leżała spokojnie na poduszce z zamkniętymi oczami i rękami złożonymi na piersi. Ciało miała odrętwiałe ze zmęczenia, a krew szumiała jej i zastygła w żyłach. Ach, gdyby mogła zdrzemnąć się choćby na pół godziny. Jednak było to niemożliwe. Albo chore budziły ją wrzaskiem, albo rozbrzmiewały kroki na korytarzu, dzwoniły klucze czy rozlegały się dźwięki drzwi, otwieranych i uderzanych. Ale wieczorem, wieczorem, gdy przyjdzie Hieronimus... Była chyba ósma, od ósmej do dwunastej to cztery godziny, od dwunastej do wpół do siódmej to w sumie jedenaście i pół. Jedenaście i pół godziny! Boże, nie będzie chyba tak źle.

— Jak się pani miewa, pani Kant? — zapytała panna Hansen o twarzy madonny.

— Niech mnie pani nie pyta, nie mów do mnie — powiedziała Else ponuro. —

Wszyscy przecież macie płacone, żeby mnie gnębić.

— Droga pani, wszyscy chcemy dla pani jak najlepiej. Proszę mi wierzyć, to prawda.

Schyliła się nisko nad Else i popatrzyła na nią czule.

— Och, ale jestem tak udęczona — rzekła Else z oczami pełnymi łez. — Gdy tak leżę i wiem, jak skandalicznym błędem jest to wszystko. I jeszcze ta niemoc.

— Dobrze panią rozumiem. Ale niech pani nie daje tego po sobie poznać. Wszystko tutaj interpretuje się jako chorobę umysłową. Wystarczy po prostu, że będzie pani spokojna.

— Kiedy jestem spokojna. Leżę tu przecież cicho jak myszka.

— Gdyby tylko przekonała pani do siebie profesora. Znakomicie obchodzi się z tymi, których lubi.

— „Z tymi, których lubi”?! — powtórzyła Else zdumiona. — Ale są tutaj przecież same chore, wariatki.

— Tak, tak, tak. Radzę pani, bo darzę panią sympatią. Chce pani „Berlingeren”<sup>11</sup>? Chyba mogę pozwolić pani na lekturę.

— Nie, dziękuję. Wolę panią. Proszę usiąść i ze mną rozmawiać.

— Nie śmiałybym. Pracuję na spokojnym korytarzu i weszłam tu tylko na chwilę, zobaczyć, co u pani. Muszę już iść.

Wielka, niemrawa mucha kręciła się bezustannie nad parapetem, na próżno usiłując precyzyjnie się przez stalową klatkę otaczającą zgaszoną lampę gazową, na której wąski pasek światła słonecznego mienił się kolorami tęczy. Else śledziła jej ruchy swymi zmęczonymi oczyma, myśląc, jaka jest głupia, że nie usiadła gdzieś spokojnie, żeby poczekać, aż otworzą okno. Mogłaby wtedy wylecieć na wolność. Wolność — nigdy nie przyszło jej do głowy, jaki świat szczęścia mieści w sobie to słowo. Przedwczoraj chodziła sobie wolno, nie czując z tego powodu wdzięczności. A więc szczerą prawdą było, że wszystkie dobra zyskują swą wartość dopiero, gdy się je straci. Nagle mucha zrobiła zwrot w prawo

Wolność

<sup>11</sup>*Berlingeren* — duńska gazeta. [przypis edytorski]

i poleciała prosto do jej łóżka, a chwilę potem Else ujrzała, jak owad spada jej na twarz. Ze strachem machnęła ręką i uderzyła muchę, która upadła na podłogę i odpełzła.

Podczas obchodu Else zapytała, czy mogłaby wstać.

— A po co chce pani wstawać? — odrzekł zastępca ordynatora. — Przecież dużo lepiej jest pani w łóżku.

— Kiedy to oburzające, skoro nic mi nie jest. Jak mam zabijać czas?! Leżę tu już od czterdziestu godzin i ani na chwilę nie zmrużyłam oczu.

Zastępca ordynatora popatrzył pytająco na pannę Stenberg, która jak zwykle była obecna podczas obchodu.

— Pani Kant nie chce spać — zażartowała. — Podobno też kaszłała.

— No tak, z czasem sen przyjdzie. Trzeba tylko cierpliwości. Dobrego dnia.

Następnie lekarz wyszedł na korytarz do okrągłego stolika, gdzie zajął się wysokimi zlewkami.

— Słyszałem pani kaszel — powiedział nagle i wszedł z powrotem do Else. — Do-  
stanie pani na to syrop.

Podano jej lek oraz śniadanie — chleb z masłem i herbatę, których prawie nie tknęła.

— Teraz będzie pewnie trochę spokoju — rzekła panna Stenberg, gdy odebrała tacę ze śniadaniem. — Proszę spróbować się zdrzemnąć.

Else odwróciła się do ściany i prawie natychmiast zaczęła przysypiać. Chwilę później jednak drgnęła na dźwięk powolnego szelestu na korytarzu. Pojawiał się w krótkich odstępach, a w niezwyklej tu ciszy był ostry i przeszywający. Wreszcie Else oparła się na łokciu i wyjrzała na korytarz. Panna Stenberg siedziała tam, czytając gazetę.

— Trudny z pani człowiek — skwitowała, gdy Else odpowiedziała przecząco na jej pytanie, czy znów nie udało jej się zasnąć.

Godziny wlekły się, aż wreszcie pani Kant dostała obiad. Kleik na wodzie i gotowaną rybę — dokładnie to samo, co poprzedniego dnia. Przełknęła tylko kilka kęsów.

Po południu usłyszała zawodzący płacz i jęklive słowa z celi obok.

— Kto tam płacze? — zapytała pannę Stenberg, gdy ta do niej zajrzała.

— Pacjentka, którą mają przenieść do świętego Jerzego<sup>12</sup>.

— A nie chce?

— Czy chce? Nikt nigdy nie chce.

— Biedaczka! Pomyśleć, że wysyłają ją do świętego Jerzego.

Else się wzdrygnęła.

— To nic takiego. U świętego Jerzego jest znakomicie.

— A więc jej cela będzie pusta?

— Nie, spodziewamy się nowej pacjentki. Dlatego tamtą trzeba przenieść. Do świętego Jerzego pojedzie dopiero rano.

Pół godziny później zjawiła się nowa pacjentka. Else miała wrażenie, jakby rozgrywała się tam bójka. Skrzekliwy kobiecy głos krzyczał w rozpacz, wyzywał i groził, gdy ciskano kimś i wleczono go korytarzem.

— Kto śmie mnie ruszać! — usłyszała Else. — Stłukę każdego, kto się do mnie zbliży, na kwaśne jabłko! Gdzie jest mój mąż, Carl, Carl? Pomocy, pomocy, ratuj mnie, słyszysz, Carlu? O Boże, o Boże! Mamo, mammo! Nie macie prawa ściągać ze mnie ubrań! Zostawcie mnie, zostawcie!

Trwało to długo. Wreszcie zapadła cisza. Wtedy Else usłyszała wołanie skrzekliwego głosu:

— Ty tam, paniusiu!

Następnie głos zapytał o profesora, a gdy panna Stenberg odpowiedziała, krzyknął:

— Żebyście wiedziały, że złożę profesorowi skargę. To uczony człowiek, który wie, jak traktować damę!

Else zmroziło ze strachu i współczucia. Ach, tak, profesor. Byle tylko kiedyś przyszedł.

Wreszcie zjawił się, w towarzystwie panny Stenberg. Jak pierwszego ranka zadał Else kilka zwyczajnych pytań i już chciał odejść, kiedy ona poprosiła o rozmowę na osobności.

<sup>12</sup>szpital świętego Jerzego — największy szpital psychiatryczny w Danii, położony w Roskilde, ok. 30 km. od Kopenhagi. [przypis edytorski]

— Za chwilę — wypadł z celi tak szybko, że długi, biały kitel zatrzepotał mu wokół nóg.

Kilka minut później wrócił i usiadł przy jej łóżku.

— Chciałabym wyjaśnić panu, skąd tamtego wieczoru miałam krople z opium — zaczęła Else, po czym opowiedziała wszystko ze szczegółami i zakończyła: — Jeśli profesor zapyta mojego męża, on potwierdzi, że czasem biorę krople z opium na kaszel. Nic innego mi nie pomagało.

— No tak, ale tutaj nie dostanie pani opium — rzekł Hieronimus prędko swym suchym, cienkim głosem, który brzmiał, jakby dochodził z chorej piersi.

— Nie, oczywiście — odparła Else z pokorą i zaskoczeniem.

— Musi pani nauczyć się subordynacji — ciągnął Hieronimus pouczającym tonem. — Początek nie jest obiecujący. Przyniosła pani ze sobą książki, rysunki i mnóstwo przedmiotów, których nie wolno tu mieć. Niezgodnie z umową. Powiedziałem wyraźnie: „Trochę bielizny i nieco przyborów toaletowych, nic ponadto”.

— Nie tak to rozumiałam — wyjąkała Else. — To znaczy, nie miałam czasu zapytać. A mój mąż również nie wiedział. Sam dał mi książki i obiecał przynieść więcej, gdy przyjdzie.

— Hm — mruknął Hieronimus, pogardliwie wykrzywając gładkie wargi.

„On myśli, że kłamię”, pomyślała Else zdumiona.

— Profesor może zapytać mojego męża — powiedziała głosem drżącym od powstrzymanej urazy. — W każdym razie dłużej tu nie wytrzymam... Tu nie da się zasnąć.

— Och, a to dlaczego?

— Proszę pomyśleć, trafić tu z własnej, spokojnej sypialni...

Profesor przerwał jej sucho i ostro:

— O spokoju, który sprowadziła pani do swojej i męża *spokojnej* sypialni, chyba nie ma co mówić, czyż nie?

— Ale sypiałam przynajmniej trochę z rana...

— Pani mąż wspominał, zdaje się, że robiła pani sceny do siódmej, ósmej rano.

Else czuła się zaskoczona tym, jak Hieronimus posadził ją w ławie oskarżonych i przesiadywał.

— No to *po* godzinie ósmej — powiedziała, a wargi jej drżały. — Ale tutaj nigdy nie jest cicho, ani w nocy, ani w dzień.

— Myli się pani — uciął profesor. — Pacjenci często się uspokajają, na całe godziny.

— Godziny! Żadne godziny — odparła Else. — Poza tym jest tutaj innego rodzaju hałas.

Opowiedziała o trzaskających drzwiach, stukających oknach i tupiącym latarniku, o dźwiękach kroków, o wszystkim.

Hieronimus zerwał się z krzesła i naraz znalazł się w drzwiach.

— Panno Stenberg! — zawołał.

Pielęgniarka natychmiast się zjawiała.

— Wie pani, że wiele razy powtarzałem, by również na tym oddziale uważać i zachowywać spokój — rzekł Hieronimus surowo. — Pacjentki często narzekają na trzaskające drzwi i stukające okna.

— To służące, panie profesorze.

— Ale ja rozmawiam tylko z panią. Musi skłonić pani służące do posłuszeństwa. To *pani* zadanie.

— Nie *uda* mi się, panie profesorze.

— *Zrobi* to pani. A teraz okna. Czy brakuje haczyków?

— Tak, w kilku miejscach chyba ich brakuje.

— Niedobrze. Taki nieporządek! I dlaczego pani tego nie zgłasza?

— Zgłosiłam, panie profesorze.

— Nie wystarczy jedynie tego zgłosić, trzeba też dopilnować, by sprawa została załatwiona. Rozumie pani?

— Tak, panie profesorze.

— I wreszcie latarnik. Chodzi w butach?

— Chyba tak, chodzi w butach, panie profesorze.

— Ma wkładać pantofle. Ma pani pilnować, aby wkładał pantofle i chodził cicho.

Praca, Obowiązek, Władza

— Powiem mu, panie profesorze.  
 — To pani odpowiada za wszystkie te rzeczy. To pani praca. Jak tam było z panią Kant? Narobiła hałasu, gdy przyszła?  
 — Och, nie było tak źle, panie profesorze.  
 — Nie było źle — uciął Hieronimus. — Jasne, że było źle. Wiem od zastępcy ordynatora.  
 — Ale przecież panu wyjaśniłam — zaczęła Else, która podniosła się na łóżku i patrzyła na profesora szeroko otwartymi oczami.  
 — Nie, naprawdę nie było źle — przyszła jej z pomocą panna Stenberg.  
 — To dlaczego położyła ją pani na niespokojnym korytarzu? — rzekł Hieronimus ostro, jakby próbował ją zbyć.  
 — Sprzeciwiła się dzieleniu sali...  
 Hieronimus nie dał jej skończyć.  
 — Nie trzeba się usprawiedliwiać. Słusznie pani postąpiła. Od tamtej pory nic się nie wydarzyło.  
 Odwrócił się, żeby wyjść.  
 — Czy mam zostać tu jeszcze jedną noc?! — zawołała Else złąkniona, błagalnym tonem. — Och, nie, panie profesorze. Nie *może* pan kazać mi tutaj zostać na kolejną noc!  
 — Myślę, że powinna pani dać *mi* decydować, jak długo tu pani zostanie — odparł profesor z przenikliwym chłodem w głosie.  
 — To nie zobaczę jutro męża? Och, proszę pana, panie profesorze!  
 Hieronimus, który był już przy drzwiach, odwrócił się i powiedział łagodniejszym tonem:  
 — Jak tylko da pani radę to znieść. Proszę mi wierzyć, nie chcę męczyć nikogo dłużej niż to konieczne. Zresztą... Nie warto, by widział panią, gdy pani tu leży.  
 „Jak tylko da radę to znieść”!. A czegoż to nie musiała znosić i wytrzymywać w tym miejscu, noc i dzień? Else opadła zmarnowana z powrotem na poduszkę i zaniósła się tak potężnym szlochem, że prawie rozsadzało jej pierś. Panna Stenberg, która odeszła z nadąsaną miną, wróciła i przy niej usiadła.  
 — Już, już, droga pani. Proszę tak strasznie nie płakać... Już, już, gdybym tylko mogła coś dla pani zrobić...  
 Else ukłękła, po czym rzuciła się pannie Stenberg na szyję, a kiedy tylko wśród szlochu odzyskała panowanie nad głosem, powiedziała:  
 — Przepraszam, panno Stenberg, przepraszam, że narzekałam na hałas i... — głos jej się urywał. — Nie wiedziałam, że to pani dostanie burę, nie wiedziałam też, że on jest *taki*. Nigdy więcej tego nie zrobię.  
 Panna Stenberg pogładziła ją po włosach, ucałowała w policzek i zapewniła, że nie powinna się tym przejmować. Niech tylko ładnie się położy i zachowa spokój oraz cierpliwość.

## IX

Jaka kochana i miła była panna Stenberg. A Else myślała, że chodzi po tym miejscu udręki nieczuła na niedolę ofiar; teraz zaś, gdy pani Kant sprowadziła na nią nieprzyjemności, okazała jej miłość i współczucie. Else nigdy jej tego nie zapomni!

Zresztą pozostałym też. Krągłej Thorgren o rumianych, radosnych policzkach. Cały dzień zaglądała do niej i mówiła wesoło, przyjaźnie, na każdy sposób próbując okazać jej dobrą wolę; by nie wspomnieć o Madonnie-Hansen, której wielkie oczy jaśniały dobrocią i najszerszym współczuciem. I jeszcze panna Suenson z nocnych dyżurów, która samą swą obecnością uśmierzała męki Else. Bogu niech będą dzięki za pielęgniarke. Bo co, jeśli byłyby jak Hieronimus! Miała zresztą przeczucie, że instynktownie nie chciały zdradzać, jak świetnie rozumieją się z Else. Gdy tylko profesor wracał, wydawały się sztywne i surowe. Atmosfera lodowaciała natychmiast, kiedy się zjawiał.

— Musi pani wreszcie przekonać do siebie profesora — mówiły jej wszystkie. — Choćbyśmy nosiły panią na rękach, na nic to, jeżeli *on* będzie przeciwko pani.

„Przekonać do siebie profesora”, rozmyślała Else. Czyż nie była cierpiącym człowiekiem, którego z ufnością powierzono w jego ręce? Gdyby była niezrównoważona, obłąkana, zdesperowana, nieokiełznana — czy dlatego mógłby być „przeciwno” niej?

Nie rozumiała tego.

I jak miałyby się zachowywać, aby go do siebie przekonać? Nie okazała wszak nieposłuszeństwa, tylko płakała i narzekała na swoją niedolę. Jej biadanie zaś było jak drobna fala na morzu, w porównaniu z cierpieniem, które już miała za sobą. Czy powinna udawać pokorną i skruszoną, paść na kolana przed tym mężczyzną, który zdawał się takim tyranem, zachować się jak nędzna poddana, która błaga jego profesorską moc o niezasłużoną łaskę? Nie, po tysiącokroć nie! Choćby miała spłonąć na stosie!

Ale gdyby jednak spróbowała go do siebie „przekonać”, jak jej mówiły? Zaapelować do jego serca oraz współczucia. Musiał je przecież posiadać. Inaczej nie czułby się właściwym człowiekiem w tym miejscu, gdzie jego zadaniem przede wszystkim było wykazywać się człowieczeństwem i ostrożnością, starać się, na ile można, zrozumieć i przez zrozumienie działać korzystnie, kojąc na chorych.

Jego sposób bycia był chyba jedynie maską, którą z jakiegoś powodu uznał za celowe wkładać. Jutro rano, podczas jego obchodu, spróbuje ponownie.

Jutro rano. Cała noc zgrozy dzieliła teraz i jutro rano. A więc jeszcze jedna noc w tym miejscu. Już trzecia.

Tęgo właśnie kładziono w domu spać. O Boże, Tage, Knut, dom — jakże bolało ją serce. Załamała ręce i zatopila twarz w poduszce. Ciekawe, czy mały Tage o nią pyta? I Knut. Co myśli Knut? Czy nie uważa za straszne, że nie może się z nią zobaczyć? Obiecał przecież przychodzić. Wyrwał się jej stłumiony jęk.

— Oto pani mikstura nasenna.

Else podniosła się z poduszki i przyjęła lek, którą podała jej panna Suenson.

— Wygląda dziś pani spokojnie. Czy jest pani lepiej?

Pokręciła głową.

— Nie spała dziś pani?

— Nie, zrezygnowałam ze snu. Ze wszystkiego zrezygnowałam.

Schowwała twarz na piersi panny Suenson i płakała, aż nią wstrząsało.

— Dziś wieczór byłam pewna, że została pani przeniesiona — powiedziała pielęgniarka. — Nie pasuje pani do tego korytarza. A co mówi profesor?

— Profesor to potwór — zaszlochała Else.

— Nie wolno tak pani mówić! Profesor to znakomity człowiek. Ale musi pani go wreszcie do siebie przekonać.

— Prawda? — odezwała się Thorgren, która weszła do środka i stała przy pannie Suenson z dłonią na ramieniu Else, którym czule potrząsała. — Jak przekona pani do siebie profesora, może pani wypatrywać spadającej gwiazdy.

W celi obok nowa pacjentka krzyczała i wyzywała, z rozpaczą wołając Carla. Teraz zaś jęła wściekle łomotać, przeklinając i żądając, aby jej otworzono.

— Zamknięto ją? — zapytała Else.

— Tak, jest taka niepokorna. Co chwilę wypada na korytarz i mówi, że chce do domu.

— Trudna będzie — zaśmiała się Thorgren.

— Uch — wzdrgnęła się Else. — Przecież może zedrzeć sobie ręce do krwi.

Wtedy stukanie ucichło i dało się słyszeć dźwięk ciała, które z ciężkim młaśnięciem upadło na podłogę, po czym rozległ się przechodzący w wycie, spazmatyczny płacz.

— Nie zajrzycie do niej na chwilę? — zapytała Else.

— Najlepiej będzie, jak wyładuje wściekłość. Dostała tyle chlorału<sup>13</sup>, że długo to pewnie nie potrwa.

— Dobrej nocy, pani Kant. — Thorgren wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po policzku. — Dobrej nocy, Suenson.

— Środki na sen nie pomagają — powiedziała Else, gdy Thorgren wyszła. — Proszę na mnie spojrzeć. Jakbym brała wodę.

— Tak, to pani osobliwa cecha, pani Kant.

— A czy zwykle skutkują?

Lekarz, Kondycja ludzka

Maska

Szaleniec, , Więziń

Sen

<sup>13</sup>chlorał — silny środek nasenny. [przypis edytorski]

— Tak, o ile pacjent nie ma *delirium*. Ale takim ich nie podajemy.

— To pacjenci z *delirium* nigdy nie śpią?

— Owszem, jak miną trzy, cztery, może pięć nocy...

Upływały godziny. Chore hałasowały i krzyczały jak zwykle, a ci z *delirium* zachowywali się, o ile to możliwe, jeszcze gorzej niż poprzednich nocy. Pacjentki z celi obok Else przez ostatnią godzinę w ogóle nie słyszała.

Wtem ktoś zaczął wydawać przeciągłe wycie, bez końca. Było stłumione i głuche, jakby dochodziło od kogoś pogrzebanego żywcem.

— Panno Suenson! Panno Suenson!

Pielęgniarka przyszła do niej z obiadem w ustach.

— Kto to? — zapytała Else zeszywniała ze strachu.

— Młoda dziewczyna.

— Dlaczego tak wyje?

— Bóg raczy wiedzieć.

— Jakże musi cierpieć!

— Nie. Jest półprzytomna. Gdy przyjdzie zastępca ordynatora, dostanie pewnie zastrzyk morfiny.

— A czy przyjdzie niedługo?

— Tak. Zaraz wpół do dwunastej. Musi już tutaj być.

Panna Suenson wróciła do obiadu.

Else usiadła na łóżku i nasłuchiwała kroków lekarza.

Ogarnął ją dokuczliwy niepokój, który bezustannie, głuche wycie wzniecało, zmieniając go w nieopanowany lęk. Jakże ona dawała radę tak wyć! Skąd miała na to siły i oddech? Och, Boże, Boże, jaką pełną nędzy przepaścią jest pobyt w tym miejscu.

Wtem usłyszała na korytarzu cichy chód zastępcy ordynatora i słowa zamieniane szepcąc z panną Suenson.

— Dobry wieczór pani. Wciąż pani nie śpi?

— A jak, pana zdaniem, miałabym zasnąć? — odparła Else wzburzona. — Niech nie zaczyna pan tylko, że *mam* spać i *powinnam* spać. Przecież nie *może* pan naprawdę tak myśleć!

— Co mam pani odpowiedzieć?

Zastępca ordynatora wzruszył ramionami.

— Niech posłucha pan tego wycia i tych z *delirium* na dole; za chwilę znów zacznie tamta zamknięta w celi i wszystkie inne! Och, Boże, Boże, ja oszaleję!

— Proszę pani, niech się pani tak nie gorączkuje.

Na poły oskarżycielski, na poły czuły ton zastępcy ordynatora oburzył Else, lecz jego łagodna i zarazem współczująca mina działała pojednawczo.

— Muszę z całych sił zebrać się w sobie — ciągnęła Else w udręczonym pośpiechu — żeby nie zacząć jęczeć i wyć na wyścigi z tamtymi.

— Zachowuje się pani dość histerycznie.

— A czy da się inaczej, będąc tutaj? — rzuciła Else szybko, krzywiąc się z bólu. — To nieodpowiedzialne, nieodpowiedzialne. A chciałam tylko opuścić dom, by zaznać spokoju i odpoczynku!

— Kiedy to właśnie jest miejsce dla wszystkich tego rodzaju pacjentów — powiedział zastępca ordynatora, próbując nadać głosowi uciszający, przyjazny ton. — Nie może być pani gorzej niż innym.

— „Wszystkich tego rodzaju pacjentów”! — zawołała Else. — Boże, dopomóż „tego rodzaju pacjentom”! Tylko dlaczego mój mąż nie może się ze mną zobaczyć? Jak myśli pan, co by powiedział, gdyby znalazł się tutaj?

— To on tutaj panią zapisał. Zapewne uznał to za konieczne.

— Nikt mnie tu nie zapisał. Przyszłam sama, to był mój własny wybór. Ale gdybym wiedziała, co wiem teraz... To samo tyczy się mojego męża. Twierdzą, że nie miał pojęcia, jak mi tutaj będzie. I dlaczego nie miałby móc sam tego zobaczyć, posłuchać? Leżeć tutaj... *Tutaj!* I to na oddziale kogoś takiego jak Hieronimus. Niech Bóg się zlituje!

— To nasz najlepszy lekarz — rzekł zastępca ordynatora.

— Ale dlaczego nie pozwala mojemu mężowi się ze mną zobaczyć? — Każdy mięsień twarzy Else drżał ze wzburzenia. — Rozumie to pan i tego broni?

— Profesor boi się narażać panią na zmiany nastroju. Chyba łatwo to pojąć.

Else się roześmiała.

— „Zmiany nastroju”! Spotkanie z mężem wprowadziłoby mnie w radosny nastrój, podczas gdy to, na co naraża się mnie tutaj... — przerwała, po czym schowała twarz w dłoniach.

— Proszę pani, niech się pani uspokoi — powiedział zastępca ordynatora i położył dłoń na ramieniu Else. — Zobaczysz pani, będzie lepiej, niż pani myśli.

Jego łagodny głos i życzliwy ton zbudziły w niej nadzieję.

— Wstawi się pan za mną u profesora? — zapytała, spoglądając na niego z rozpaczą.

Zastępca ordynatora skinął głową.

— I powie pan, że pańskim zdaniem powinien pozwolić mojemu mężowi na odwiedzinę?

— Tak, gdy minie kilka dni. Dobranoc pani. Tylko spokojnie.

„Tylko spokojnie...” Cóż to za ludzie? Zwali się lekarzami, a powinni — katami. Co się z nią stanie? Na jak długo starczy jej sił? Else leżała na poduszce, roniąc łzy, gorzkie łzy, których tak wiele już wylała przez ostatnie dni. Czuli, jakby znalazła się głęboko na dnie studni, którą w każdej chwili można było zastonić pokrywą. Och, nie, nie mogło do tego dojść — nie *mogło*. Wespnie się, na samą górę, żeby przynajmniej wystawić nad krawędź głowę.

Gdy jutro rano przyjdzie profesor, powie mu to i tamto. A on wzruszy się i zrozumie jej cierpienie, będzie mówił do niej przyjaźnie i powie, że wkrótce Else trafi do innej sali. Naturalnie, bo to teraz nie miało sensu. Przecież nie zależało mu na tym, by wywołać w niej obłęd. Gdyby była jedną z osób, które zwie się umyślowo chorymi lub tymi o zmaconym umyśle, może wierzyłyby, że zależy mu na wywołaniu w niej obłędu. Ale, dzięki Bogu, aż *tak* źle z nią jeszcze nie było.

## X

Zaczęła rozmyślać o różnego rodzaju mękach i boleściach, które rozmaici ludzie na świecie musieli znosić na przestrzeni dziejów — o tych gnijących w lochach, o młodych, niewinnych dziewczętach, maltretowanych i palonych, bo podejrzewano je o bycie czarownicami lub pomagierkami czarownic, o rozlicznych Rosjanach i Rosjankach, skazywanych na śmierć i traconych za swe przekonania polityczne, o wielu tysiącach ofiar prześladowań religijnych, o pozornie zmarłych, pochowanych żywcem — i pierś wypełniło jej nieskończone współczucie wobec wszystkich nieszczęśników na ziemi. Co znaczyły jej cierpienia wobec ich losu?

Uspokoila się w duchu. „Jeszcze tylko krótki czas, a ujrzycie mnie”<sup>14</sup>, powiedział raz Jezus do apostołów. Tak, miała tu być krótki czas, a już niebawem przyjdzie Knut i ją wyzwoli. Z pewnością. Co innego było nie do pomyślenia. Hieronimus udawał tylko, że jest taki surowy. Dlaczegoż miałby źle jej życzyć? Przecież nigdy wcześniej go nie spotkała, niczego mu nie zrobiła. I chociaż była dla niego odpychająca i niesympatyczna, dla takiego człowieka jak Hieronimus nie był to wszak żaden powód do niechęci. Wręcz przeciwnie, powinien być podwójnie ostrożny.

Zastępca ordynatora miał rację. Powinna zachować spokój. Głuche wycie osłabło. W nocy może uspokoją się też ci z *delirium*, a potem nastanie ranek i przyjdzie profesor. Dzięki Bogu, wystawiła już głowę nad krawędź studni.

— Nie śpi pani.

Zakradła się do niej panna Suenson.

— Dostała zastrzyk z morfiną?

— Tak. Wkrótce zapadnie w sen. Dziwnie rozmawia się z zastępcą ordynatora. Czyż nie?

— Nie. Wydaje się miły.

— Tylko niech nie da pani po sobie poznać, że jest niespokojna albo wzburzona. O ile zrozumiałam, sądził, że było pani dziś gorzej.

— Gorzej — powtórzyła Else niechętnie — jak to gorzej?

— O tak — panna Suenson zbliżyła palec wskazujący do czoła.

<sup>14</sup>Jeszcze tylko krótki czas, a ujrzycie mnie — J 16, 16, cytata za Biblią Warszawską. [przypis edytorski]

Else znów chciała opaść na dno studni, ale wzięła się w garść i przegoniła myśli. Panna Suenson oczywiście opacznie to zrozumiała. Niemożliwe, by zastępca ordynatora wziął jej uzasadnione żale za oznakę pomieszczenia umysłu.

— Proszę mi coś o sobie powiedzieć — rzekła pani Kant i położyła się na boku z dłonią pod policzkiem, by lepiej widzieć ładną, jasną twarz panny Suenson. — Czy praca pielęgniarki daje pani radość?

— Mnóstwo. Pracuję od pięciu lat i ani przez godzinę tego nie żałowałam. Jedyne, co mnie boli, to myśl o moim kochanym, starym ojcu. „Smutne masz życie, córeczko”, mówi zawsze, przy czym ciężko wzdycha i gładzi mnie po włosach.

— Ja za to uważam, że strasznie musi być tak się mordować z tymi wściekłymi ludźmi. Nie boi się pani? Albo nie bała się pani z początku?

— Nie. Chociaż tak, z początku bywałam nieco przestraszona. Ale człowiek do tego przywyka. Niekiedy czerpie też z tego radość, jak w przypadku babci. Taka jest słodka i wdzięczna. I tamtej staruszki, która ciska na podłogę barierek od łóżka. Parę razy zdarzyło się, że zarzuciła mi ręce na szyję, gdy stałam schylona, by się nią zająć, i wyszeptwała wtedy: „Dziękuję, Almo, taka jesteś kochana”. Zawsze bierze mnie za Almę, o której fantazjuje. Taka z niej chora, wymęczona, stara bidulka.

Panna Suenson uśmiechnęła się wzruszona i szczęśliwa.

— Jak nazywa się ta starsza pani?

— Pani Fog.

— Myśli pani, że profesor jest miły? — zapytała Else.

— Miły?

— To znaczy, czy dobry z niego człowiek.

— Boże, tak! Doprawdy tak myślę. Gdyby tylko pani wiedziała, jaki potrafi być, gdy kogoś lubi.

— A czy pani na przykład darzy go sympatią, panno Suenson?

— Czy darzę go sympatią? — panna Suenson powtórzyła pytanie przerażona, jak gdyby myśl, jaką w sobie zawierało, była niestosowna. — Czy darzę go sympatią? Raczej bezgranicznym szacunkiem, czcią wręcz.

— Ale nie myśli pani, że mógłby być zły wobec tych, których nie lubi?

— Zły wobec tych, których nie lubi? — Zastanawiała się długo nad tymi słowami.

— Nie, chociaż jest taki surowy. Drżę ze strachu, gdy pokazuje się na korytarzu, drżę nawet godzinę wcześniej, tak się boję, że nie wszystko jest, jak należy. Raz, kiedy miał obchód, spostrzegłam, że do kostki mydła w rogu umywalki przykleił się włos. Jak ja się trzęsłam, od stóp do głów. Nie śmiałam podejść tam, by zabrać włos, nie ruszyłam się z miejsca i jestem pewna, że go zobaczył. On wszystko widzi. Gdybym miała dziurę na palcu w pończosze, pewna jestem, że przejrzałby pantofel na wylot.

— Zastępcy ordynatora tak się pani nie boi. Prawda?

— Nie — panna Suenson, której twarz, gdy mówiła o profesorze, przybrała złękniony wyraz, teraz uśmiechnęła się z ulgą. — Zastępca ordynatora jest tak życzliwy.

— Byle było już rano — westchnęła Else.

— Niedługo czwartą.

— Dzięki Bogu.

Wtem usłyszały dźwięk bosych stóp, biegających po podłodze w celi obok, a zaraz potem łomotanie do drzwi i przerażone krzyki.

— O Boże, znowu zaczyna! — zawołała Else i prędko usiadła na łóżku. — Niech pani nie otwiera, bo jeszcze wejdzie tu do mnie.

— Nie, niech tylko będzie pani spokojna.

— Kim ona jest? — zapytała Else.

— To młoda pani Syverts, bardzo piękna.

Zaraz potem jakaś postać w halce i krótkiej koszulce przebiegła przed otwartymi drzwiami na zgiętych nogach, niemal w pozycji siedzącej, sadząc nienaturalnie długie kroki i mocno wymachując rękami. Pielęgniarka natychmiast wypadła na korytarz.

Pani Syverts z celi obok dalej łomotała w drzwi, wydawała krzyki, błagała, by jej otwarto; zrozpaczona, wzywała Carla i groziła profesorem. Else mocno przyciskała dłoń do skroni. Coś napierało pod czołem — miała wrażenie, jakby miała pęknąć jej głowa.

Praca, Radość

Szaleniec



## XI

Potem przyszła babina szorująca podłogi i z trzaskiem pootwierano okna. Panna Suenson jak zwykle przyniosła odrobinę wody w małej miedniczce z kremowego fajansu.

Podczas gdy Else kłęzczała na łóżku i się myła, a panna Suenson sprzątała celę, w drzwiach nagle zjawiła się kobieta w krótkiej halce, o gołych, lśniących białych nogach — stanęła i gapiała się na Else. Twarz miała przezroczyście bladą, oczy ciemne i przenikliwe. Czarne, nastroszone włosy otaczały pięknie ukształtowane, jasne i szerokie czoło i opadały długim warkoczem na ramię.

Else zafascynowało piękno tej białej twarzy. Przyglądała się jej w napięciu.

— Jakże śliczna jest ta kobieta — powiedziała tamta wyrazistym, lecz dziwnie stłumionym głosem i wskazała na Else. — Jakże jest śliczna — powtórzyła rozmarzona — a jak nieszczęśliwie wygląda.

— Proszę iść do siebie, pani Syverts — rzekła panna Suenson, która jak zwykle, śpiesząc się do utraty tchu, myślała pianą boazerię na ścianach celi.

— Do siebie... Tak, dajcie mi wrócić do domu — podchwyciła z przesywającym smutkiem. Nagle tupnęła mocno i krzyknęła wściekle: — Jestem przyzwoitą kobietą, powiadam! Chcę być przyzwoitą kobietą, dlatego tu nie zostanę; ani godziny, ani minuty dłużej! Myślicie, że chcę przebywać wśród takiej zgrai przestępców? — Tupnęła bosą stopą, brzydko przy tym klnąc. — Nie ma tu przecież żadnego porządnego człowieka!

Panna Suenson upuściła szmatę do spienionej wody z mydłem, szybko podeszła do pani Syverts i chwyciła ją za rękę.

— Nie zamykaj mnie! — poprosiła kobieta z lękiem. — Nie zamykaj mnie!

— Wobec tego nie może pani robić hałasu.

Pielęgniarka pociągnęła ją za sobą.

— Carlu, Carlu, Carlu! Pomóż mi, wybaw mnie! — rozległo się rozzwierające wołanie, po czym nastąpiła cisza.

— Znów ją pani zamknęła? — zapytała Else, gdy pielęgniarka wróciła.

— Nie. Położyłam ją i zostawiłam uchylone drzwi.

Chwilę później, gdy pani Kant skończyła poranną toaletę i leżała sama w celi, pani Syverts znów do niej wpadła. W paru susach znalazła się przy niej, uniosła pościel i chciała wejść na łóżko.

— Jest pani mężczyzną — wyszeptwała przez zaciśnięte, białe zęby. — Proszę mnie do siebie wpuścić. Myśli pani, że nie widzę, że jest pani mężczyzną?

Else podniosła się przerażona i próbowała ją odepchnąć.

— Wezmę pana przemocą — syknęła chora kobieta.

Chwyciła Else mocno za ręce i przycisnęła ją z powrotem do poduszki lekko jak niemowlę. Następnie, nie zwalniając żelaznego uścisku, oparła jedną stopę o łóżko.

Else wezwała pomoc, a panna Suenson wkrótce się zjawiła i szybko oderwała od niej panią Syverts.

— Przestraszyła się, patrzcie ją, przestraszyła się! — zawołała kobieta i śmiała się, odprowadzana przez pielęgniarkę.

Else zaniósła się spazmatycznym szlochem. Schowała głowę pod koc i zagryzła prześcieradło, żeby nikt jej nie słyszał. Potężne wstrząsy szarpały jej głowę, dudniło jej w skroniach, wciąż czuła też ucisk pod czołem. Do tego rwało ją w piersi, ból zaś przenikał przez nią nieprzerwanie jak wijący się wąż, podchodził aż do gardła.

Wreszcie przybyła panna Stenberg i podała jej wody.

— Proszę się pozbierać, zaraz mamy obchód. Nie ma po co dawać za wygraną.

Else jednak dalej szlochała. „Chcę stąd wyjść, wyjść, wyjść! Do domu, do Knuta i Tątego!”, krzyczało coś w niej nieustannie, a od myśli o bliskich płacz wreszcie złągodniał i ucichł.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani tak płacze? — Panna Stenberg usadowiła się na skraju łóżka i wzięła Else za rękę.

— Tak strasznie tęsknię za domem.

— Musi pani przestać. Może być pani pewna, że pobyt tutaj służy tylko pani dobru.

— Nie — odparła Else dobitnie. — To wielki błąd, że tutaj trafiłam. Mój mąż byłby zrozpaczony, gdyby tylko wiedział.

Piękno, Uroda

Szaleniec, Przemoc

Wtedy ponownie usłyszała, że to jej mąż ją zapisał, a więc, skoro tutaj trafiła, musiało jej coś dolegać.

— Tak — rzekła Else — coś mi dolegało, ale nie obłąd. A może pani zauważyła u mnie oznaki szaleństwa?

— Nie. Ale nigdy nie wiadomo. Tyle jest rodzajów szaleństwa i chorób umysłowych. Ci, którzy uważają się za najmądrzejszych, to często najgorsze przypadki... A skoro przyszło się tutaj, to...

Else popatrzyła na pannę Stenberg pełnym żalości wzrokiem.

— Muszę rozpacząć — wymamrotała i odwróciła głowę.

Leżała na wpół świadoma, ciasno otoczona przeraźliwie wysokimi, pozieleniałymi ścianami, które u góry zbiegały się z sobą, tak że widziała mały kwadratowy otwór, zasłonięty drucianą obudową, w której tkwiła gazowa lampa. Błada ciemność spływała po pozieleniałych murach; Else słyszała stłumiony szum, jakby morza, rozlegający się monotonnie gdzieś w dali. Nikt jej nie widział, a drucziana obudowa zasłaniająca otwór nigdy nie zostanie zdjęta, nigdy też nikt nie wyciągnie jej z tej głębiny do życia i czasu, których dźwięk słabo wylapywała. Stale będzie tu leżeć, ze sztywnymi rękami i wyciągniętymi nogami.

— Ale teraz śpi?

Else otworzyła oczy. Stali tam zastępca ordynatora i jeden ze stażystów, a w nogach łóżka panna Stenberg. Rozejrzała się, zrozpaczona, przetarła czoło i wszystko sobie przypomniała.

— Oczy ma spuchnięte — powiedział zastępca ordynatora.

— Tak, dużo płakała. Mówi, że tęskni za domem.

— Dzisiaj miał przyjść profesor — odezwała się Else.

— Coś mu wypadło. Musi pani zadowolić się moją skromną osobą — odparł zastępca ordynatora ze swym dobrotliwym uśmiechem.

— Czy profesor nie wspomniał, że mają mnie przenieść?

Zastępca ordynatora spojrział na pannę Stenberg, która pokręciła głową.

— Nie *mogę* już więcej, nie *mogę* więcej — jęknęła Else. — Czy spotka się pan dziś z profesorem? Nie mógłby pan mu tego powiedzieć? — ciągnęła, gdy lekarz skinął potakująco głową. — Och, proszę to uczynić! Prawda, panno Stenberg? Już nie wytrzymam. Bo jakżebym miała?

— Nie ma wolnych sal. — Pielęgniarka popatrzyła pytająco na zastępcę ordynatora. — W tym właśnie problem.

— A jak apetyt?

— Prawie nic nie je.

— Musi pani — lekarz pogroził jej palcem. — Nie przeniesiemy pani, dopóki nie zaczniesz jeść.

— Jak miałabym tutaj jeść? Zresztą co to za jedzenie, jakie mi dają? Dzień w dzień tylko kleik na wodzie i gotowana ryba.

— Dieta dobra na gorączkę.

— Ale ja nie mam gorączki!

— Nie miała pani gorączki? — zapytał zastępca ordynatora, zerkając na pannę Stenberg.

— Nie miała.

— No cóż, zresztą to nieistotne. Możemy zaordynować pani inną dietę. Wypiszę odpowiedni kwit. Dobrego dnia.

— Proszę wreszcie powiedzieć profesorowi, że *muszę* mnie przenieść! — zawołała za nim Else.

W nieznośnym napięciu czekała całe przedpołudnie, aż ktoś zjawi się z informacją od profesora, że pani Kant ma zostać przeniesiona do innej sali. Nie potrafiła i nie śmiała nawet pomyśleć, że miałaby spędzić tu kolejną noc. Ilekroć pokazywała się Thorgren lub panna Stenberg, unosiła głowę z poduszki i patrzyła na nie bez tchu, pytająco. Raz usłyszała męski głos na korytarzu i zdawało się jej, że to Knut. W duchu aż krzyknęła z radości. Błyskawicznie usiadła na łóżku i wyciągnęła ręce. Głos stał się wyraźniejszy, męskie kroki zbliżały się. To *był* Knut! Słyszała wyraźnie. O Boże, Boże, a więc była wybawiona, nareszcie wybawiona! Błogosławiony profesor, który jednak chciał ją zaskoczyć...

Nadzieja

Wszystkie mięśnie jej twarzy drżały od uśmiechu i rozradowania, oczy zaszyły dobrymi łzami, serce biło głośno i ciepło. Wtedy jej drzwi minął jeden ze stażystów.

— Nie wolno siedzieć na łóżku — rzucił do Else w przelocie i zniknął.

## XII

Else jednak siedziała, wpatrzona sztywno przed siebie. A więc to jego słyszała, nie Knuta.

Czuła, jakby cała krew odpłynęła jej do nóg i zimny chłód przeniknął ją od głowy w dół. Niedługo później krew wróciła do serca i z gorącym jak ogień szumem uderzyła do mózgu. Wszystko wokół tańczyło; zdawało jej się, że łóżko kołysze się jak pokład statku. Usiłując podeprzeć się o stolik nocny, powoli położyła się z powrotem na poduszce.

Jak mogła wmówić sobie coś tak nieroztropnego jak to, że Knut miałby dziś do niej przyjść, myślała później. Byłaby to nazbyt szalona radość. Hieronimus rzekł zresztą: „Nie warto, by widział panią, gdy pani tu leży”.

Co w sumie przez to rozumiał? Dlaczego Knut nie mógł jej widzieć, dopóki tu była? Czy należało ukrywać przed mężem, jak jest leczona? Profesor jakby przyznawał się w ten sposób, że nie chce pokazać, jak się z nią obchodzi. Ale skąd, Hieronimus uważał pewnie, że postępuje właściwie, a Knut zapewne go nie zrozumie i tylko będzie przeszkadzał, żądając, by wróciła do domu.

„Nie było wolnych sal”, powiedziała panna Stenberg.

Ale to oburzające, że z tego powodu miała tu leżeć, narażona na upadek! Wszak przyszła tu dobrowolnie. Czy nie powinna też móc dobrowolnie powiedzieć wraz z Knutem: „Mieliśmy złe założenia, stawiając się tutaj, dlatego chcemy zrezygnować”.

Nie, Else wciąż nie wiedziała, co począć.

Rozmyślała, aż wreszcie powiedziała sobie: „Gdy tylko dziś mnie przeniosą i nie będę musiała bać się przez kolejną noc, mimo wszystko będę zadowolona”. Może stażysta, którego wzięła za Knuta, przyniósł wiadomość pannie Stenberg? Oczywiście. Po co inaczej przychodziłby o tej porze dnia? Teraz poszli szykować salę. A potem zjawi się Thorgren i powie, uśmiechając się całą swą słodką, krągłą buzią: „A teraz pani wstanie, pani Kant, i pójdzie ze mną w cudowne, ciche miejsce”. Ona zaś wcale nie będzie pytać, tylko cierpliwie poczeka. Cieszyli się, że zaskoczą ją dobrą nowiną. Nie chciała uprzedzić ich radości.

Gdy przyniesiono jej obiad — zupełną owocową z kaszą i dwa jasne, podobne do ciastek gryczanych, kotlety mielone — natychmiast usiadła w łóżku i zjadła tyle, ile była w stanie przełknąć. Ale zupa owocowa była najgorszym daniem, jakie знаła, do kotletów mielonych zaś zawsze żywiła odrazę. Tylko co z tego? Niezadowolenie z posiłków pewnie da się jakoś przewyciężyć.

Gdy Else skończyła jeść, usłyszała głośny trzask drzwi, jednocześnie rozległo się okropne wycie. Chwilę później jej drzwi minęło dwóch sanitariuszy z noszami, na których siedziała wyprostowana szczupła, poszarzała kobieta, wymachując rękami. Bezustannie wyła. Niedługo później sanitariusze wrócili z pustymi noszami, wycie zaś stawało się coraz bardziej nieokiełznane, a jednocześnie pani Syverts, która długo pozostawała cicho, zaczęła szaleć i krzyczeć w celi obok.

„To piekło”, pomyślała Else. Ten, kto wymyślił naukę o mękach piekielnych, bez wątpienia musiał przebywać na jakimś oddziale szóstym, z jakimś Hieronimusem jako ordynatorem.

— Co powie pani na tę komedię? — Pani Syverts o długich, białych, przygrubych w kostkach nogach, w samej halce, weszła do celi Else i prędko chodziła tam i z powrotem, z rękami po bokach. — Oblędu dostaję od przebywania tutaj. Bóg mi świadkiem, że oszaleję! Mój mąż jest właścicielem niewielkiej posiadłości na wybrzeżu. To tam powinnam być. Ale lekarz powiedział, żebym najpierw porozmawiała z profesorem Hieronimusem. Ostatni z niego krzyk mody, nie sądzi pani? — Stanęła nieruchomo pośrodku celi i popatrzyła ostro na Else. — Wszyscy twierdzą, że muszą porozmawiać z Hieronimusem — ciągnęła — ale przecież z nim *nie da się* rozmawiać. „Uu, aa, yy, ee”, tyle mówi i już go nie ma.

— Powinna pani pójść do siebie i się położyć — upomniała ją Else.

— Ale to okropne tak leżeć i cały dzień tylko się gapić. Nie przywykłam do tego.

Jedzenie

— Jasne, że okropne. Leżę tu już czwartą dobę. Pani przyszła dopiero wczoraj.  
— Do tego wlewają we mnie chloral, od którego tak mi się miesza. Gdyby pani wiedziała, jak szumi mi w głowie. Och, Carlu, Carlu — zasłoniła dłonią oczy i wybuchnęła płaczem.

— Czy Carl to pani mąż?

— Tak, mąż, mój najlepszy, poczciwy mąż. Jesteśmy dopiero osiem miesięcy po ślubie.

— Niech pani grzecznie pójdzie do siebie i się położy, pani Syverts. Jeśli spotka tu panią pielęgniarkę, powie tylko, że strasznie źle z panią, że jest pani niespokojna, a wtedy będzie pani musiała zostać tu dużo dłużej. Proszę zachować cierpliwość — ciągnęła Else, gdy kobieta nie odpowiedziała, tylko zaczęła cicho płakać. — Wszyscy mi to mówią, a ja przekazuję dalej. Na nic nie zda się tutaj opór. Proszę iść, zanim ktoś panią zobaczy.

— Tak, pójdę — pani Syverts mocno skinęła głową. — Zrobię tak, bo mnie pani prosi.

I prędko wyszła z celi.

Kilka minut później przed wejściem przeleciała kobieta, oмотana w pasie zakrwawionym z przodu prześcieradłem. Głuchym, grobowym głosem wrzasnęła z całych sił:

— Knu'ssen! Knu'ssen!

Zaraz potem, niesiona niemal przez Thorgren, została zaciągnięta na swoje miejsce, lecz jej wołania nie ustawały.

— To pacjentka w położu — powiedziała Thorgren, która później przyszła do Else.  
— Dwa dni temu urodziła.

— To ona tak wciąż wyje?

— Tak. Ale niech się tym pani nie przejmuję. Proszę nie tracić otuchy! — Poklepała Else ze śmiechem po policzku. — Niech pani pomyśli, jak dobrze mają tutaj pacjentki: opiekują się nimi, dbają pod każdym względem, czyste prześcieradła dwa razy w tygodniu. Zabawnie byłoby pobycić tutaj przez chwilę pacjentką... A do tego nasz profesor! Mówię poważnie, pani Kant.

Jak to możliwe, że ci uprzejmi, dobrzy ludzie tak byli nieczuli na cudze cierpienia. Wciąż tylko to samo. Wiara w autorytety, która przez stulecia kazała ludziom ufać i ugiąć się przed jednym człowiekiem. Jednym człowiekiem, tak pełnym pogardy wobec innych i na tyle bezczelnym, by występować jako ten, który stoi na czele i zna całą prawdę. „A do tego nasz profesor Hieronimus!”

Weszła panna Stenberg. Else zdawała się poznawać po jej minie, że ma dla niej dobrą wiadomość. Ale nie chciała się z tym zdradzić. Panna Stenberg powinna sama wszystko powiedzieć; lecz gdy nie powiedziała niczego prócz zwykłych, miłych słów, Else nie mogła wytrzymać i zapytała, czy nie zostanie przeniesiona.

Nie. Panna Stenberg o niczym takim nie słyszała.

— Nie sądzi pani, że jeszcze może przyjść taka wiadomość?

— Nie może. Jest piąta. Powiedziałam pani przecież, że nie ma wolnych sal.

— Nie ma wolnych sal — powtórzyła Else, która, zmrożona, drżała na myśl o nadchodzącej nocy. — Ale niech powie mi pani jedno: czy to *niemożliwe*, żeby załatwić inną salę niż moja obecna cela?

— Niemożliwe? *Niemożliwe* nie jest. Można by wprowadzić zmiany tu i tam. Jest jeszcze oddział dla nerwowo chorych i korytarz w pawilonie, z których czasem korzystamy.

— Droga, miła panno Stenberg — Else chwyciła ją za rękę i spojrzała jej w oczy wzrokiem krzyczącym o pomoc — proszę zrobić dla mnie, co w pani mocy. Powiedzieć, że zginę, jeśli zostanę tutaj. Proszę, proszę, zapamiętam to na całe życie!

— Miła pani Kant, wszyscy chcemy dla pani jak najlepiej.

Pogłaskała Else po dłoni i wyszła.

„A więc to koniec”, pomyślała Else. „Znowu zostanę tu na noc”. I zatwardziała wściekłość ogarnęła jej umysł. Chore biegały tam i z powrotem, krzyczały i zawodziły, a ona sądziła, że to odpowiedni akompaniament do słów pieśni w jej głowie.

Zbliżał się obchód, ale przyjść miał zastępca ordynatora, nie profesor. Tak, tak, było jej wszystko jedno.

Władza, Kondycja ludzka,  
Cierpienie

Lekarz, Bunt

Zaraz potem lekarz zjawił się w swym białym kitlu, w towarzystwie jakiegoś stażysty i panny Stenberg. Powtórzył swoje niezmiennie pytanie — czy wciąż jest niezadowolona z życia?

Else podniosła się na łóżku i dała wyraz swojej wściekłości.

Lekarz nic nie odpowiedział, popatrzył na nią tylko zasmuconym, łagodnym wzrokiem. Ale do panny Stenberg zwrócił się na odchodnym:

— Coraz z nią gorzej.

Chwilę później usłyszała prędkie, skrzypiące kroki na korytarzu i w jej celi stanął Hieronimus w płaszczu, z kapeluszem w ręce.

— Mam pozdrowienia od pani męża — rzekł.

Else chciała podziękować, ale gardło miała ściśnięte. Nie wydobyła z siebie dźwięku.

— Prosił, bym pani powiedział, że od pierwszego znalazł kucharkę, która wydaje mu się dobra. A więc nie musi się tym pani przejmować.

— Czy znów zostanę tu na noc? — zapytała Else głosem, który zdał jej się ochrypły i obcy.

— Taa... — powiedział przeciągle i z zadowoleniem, jakby sprawiało mu to cielesną rozkosz.

— Ale ja nie mogę wytrzymać! Zbyt mocno cierpię.

— O-o — warknął Hieronimus tak pogardliwie, że Else odczuła to jak policzek. — A jak było w domu?

Wtedy stanęła na łóżku i, nie posiadając się ze złości, z wykrzywioną twarzą i spojrzaniem, z którego leciały skry i które wbijało się w zimne, blade oczy Hieronimusa, powiedziała:

— Profesor wie równie dobrze jak ja, że nie ma ani cienia powodu, by trzymać mnie w celi! Jestem tu tylko dlatego, że nie ma pan dla mnie miejsca, lecz *powinien* pan powiadomić o tym mojego męża. „O-o”, powiada pan. — Udała pogardliwe warknięcie Hieronimusa, by, na ile to możliwe, odpowiedzieć mu takim samym policzkiem. — Więc czy profesor sam nie zechciałby spędzić tu nocy, tylko jednej, i udostępnić mi swoją sypialnię?

— Niee — odparł, a zabrzmiało to jak końskie rżenie gdzieś w dali.

— Dzień i noc naraża mnie pan na nieludzkie męki! — zawołała Else. — Jakim prawem?

— Nieludzkie męki! — Bezbarwna twarz Hieronimusa poszarzała jak wapno. Stał na palcach, po czym opuścił pięty na podłogę. — Musi pani zdecydowanie nauczyć się panowania nad sobą! Pani choroba polega na tym, że nie umie się pani opanować. Zamierzałem panią przenieść — klasnął drobnymi, plebejskiego kształtu palcami o drugą dłoń i prawie krzyknął: — Teraz jednak zostanie pani tutaj!

Po czym natychmiast wyszedł z celi.

„Uroczy człowiek”, pomyślała Else z pogardą i zaśmiała się w duchu.

— Ależ, na Boga, pani Kant — panna Stenberg stanęła przy łóżku Else. Jej ładna, blada twarz była bledsza niż zwykle, przestraszona mina zaś zdawała się ją obwiniać. — Jak śmie pani mówić tak do profesora? Wszystko słyszałam.

— Jak on śmie tak mnie traktować! Żałuję tylko, że nie powiedziałam o wiele więcej.

— Profesor nie znosi krytyki. Niczyjej, a już najmniej pacjentki.

— Doprawdy szkoda profesora — rzuciła Else cierpko.

Potem przyszła Thorgren i przeżegnała się przerażona.

— Musi pani przeprosić profesora — prosiła.

— Musiałby mnie najpierw zabić — odparła Else.

Zjawiła się też Madonna-Hansen i także mówiła wstrząśnięta o sprawie. Pacjentki na jej korytarzu były zszokowane. Nigdy wcześniej do czegoś takiego nie doszło. Czyż stałe nie prosiła Else, żeby zachowała cierpliwość, bo darzyła ją sympatią i chciała dla niej najlepiej?

— Teraz musi pani ukorzyć się przed profesorem. Niech mi pani obieca, że to uczyni — zakończyła.

— Nigdy! — zawołała Else z mocą, na co Madonna-Hansen odeszła, kręcąc głową.

Zaczął się nocny dyżur i panna Suenson podała pani Kant chlorał.

— Zdaje się pani być na mnie zła — powiedziała Else.

Lekarz, Bunt, Klótnia,  
Pogarda

— Nie zła, a zasmucona. Jeśli nie zmieni pani podejścia, nigdy pani nie przeniosą.

### XIII

Godziny mijały do wtóru wściekłego łomotu, wrzasków i ogólnego rejuwachu<sup>15</sup> z góry i z dołu. Pacjentka w połogu latała wciąż po korytarzu, przeciągłym, grobowym głosem wołając: „Knu’ssen, Knu’ssen!”. W końcu została zamknięta, a nawoływania do Knu’ssena brzmiały jeszcze bardziej głucho niż przedtem.

Trawiona lękiem i bólem, umęczona tęsknotą i dokuczliwym, cieleśnie odczuwanym niepokojem, Else rzucała się tam i z powrotem na swoim twardym posłaniu. Jutro niedziela. W ten dzień przed drugim śniadaniem Knut zwykł zabierać Tagego na spacer. Ach, gdyby tylko mogła iść z nimi! A gdyby w ogóle została w domu? *Mogła* przecież tam zostać, gdyby chciała. Czuła się jednak chora i pragnęła odzyskać zdrowie w ciszy i spokoju. Co wycierpiała, co dokuczało jej *tam*, w porównaniu z tym, co musiała znosić teraz?

Pochód kasztanowych koni? Gdzież on się podział? Nie widziała go tu ani razu. A o swojej pracy nie myślała nawet przez sekundę. Gdyby tylko znalazła się w spokojnym, przyjemnym otoczeniu, gdyby widywała Knuta i codziennie mogła mu pokazać, że jest z nią lepiej...

Nadeszła pora nocnego obchodu. Inaczej niż zwykle zjawił się jeden ze stażystów. Else usłyszała, jak w drzwiach pyta, czy pani Kant śpi.

— Nie — odparła panna Suenson. — Jak miałyby tutaj zasnąć?

— Przecież jest tu spokojnie.

— W tej chwili — powiedziała pielęgniarka oburzona. — Ale niech pan poczeka, to sam usłyszysz. Komuś z nas należałoby zafundować to, co funduje się pani Kant.

— *Mnie* by to nie przeszkadzało — odpowiedział lekarz z wyższością i poszedł dalej.

— Czy pani Kant nie mogłaby dziś nieco wstać? — zapytała panna Stenberg rankiem zastępcy ordynatora. — Tak mężczy ją to leżenie.

— Od pierwszego wieczoru zachowuje spokój — odparł zastępca ordynatora z namysłem. — Tak, może pani wstać na godzinę, pani Kant. Po śniadaniu. Dobrego dnia.

Parę minut później zjawił się jeden ze stażystów — wysoki, szczupły typ z cienkim wąsem, o gładkiej, pięknej twarzy i przywitał się:

— Dzień dobry. Co powiedzieć pani mężowi, pani Kant, gdy go zobaczę? — zapytał z życzliwym uśmiechem.

Else przyglądała się mu badawczo, niepewna, czy mu odpowiedzieć. Wtedy jednak w głowie zaświtała jej myśl, że może jest mu jej szkoda, i poprosiła usilnie:

— Niech mu pan powie, że musi zmienić swe zachowanie, żeby móc do mnie przyjść. Niech mu pan powie, że mi jest strasznie źle i że popadnę w obłąd, jeśli wkrótce nie przyjdzie.

— Myśli pani, że przyniesie to jakiś skutek? — zapytał lekarz, dalej się uśmiechając.

— Oczywiście, że tak. Natychmiast mnie ze sobą zabierze, gdy zobaczy, jak tutaj jest. On o niczym nie ma pojęcia, to właśnie jest straszne.

— A więc w ogóle nie chce tu pani być?

Stażysta podkręcał wąsa i bezustannie się uśmiechał.

— Niech mu pan powie, że *musi* przyjść, koniecznie, niech powie to pan tak, by zrozumiał, że i *pan* tak uważa — błagała Else. — Będę panu tak wdzięczna. Niech mi pan obieca, że to powie.

— Pani mąż nic nie może zrobić. Oczywiście słucha wyłącznie profesora. Dobrze też wie, co u pani.

— Nie — odparła Else łamiącym się głosem. — *Nie* wie tego!

— A zresztą w ogóle nie zobaczę się z pani mężem.

Uśmiech lekarza rozlał się na całą twarz.

Else nie powiedziała nic więcej. Leżała, szybko mrugając powiekami i ściskając prześcieradło.

Stażysta stał przez chwilę i gładził wąż. Po czym wyszedł z cichym chichotem.

Pani Kant nie płakała ani się nie ruszała. Była jak skamieniała z poczucia beznadziei.

<sup>15</sup>*rejuwach* (pot.) — hałas, krzyki. [przypis edytorski]

Kiedy skończyła śniadanie, panna Stenberg przyniosła jej bieliznę i szlafrok. Else poprosiła o różne drobiazgi, jak podwiązki, szpilki do włosów i toaletowe lustro. Odpowiedziano jej, że na polecenie profesora wszystko zabrano z powrotem do jej domu. Zamiast podwiązek panna Stenberg dała jej dwa kawałki jutowego sznurka.

Gdy Else się ubrała, wyszła na korytarz.

— Dzisiaj niedziela — gaworzyła babcia, która siedziała skulona, mocno przyciśnięta do metalowej kratki zasłaniającej grzejnik. — Czyste ubrania od stóp do głów. Spójrz tylko.

Trzymała przed Else złożony biały materiał.

— Tak, babcia jest zawsze zadowolona — zauważyła Thorgren.

Pachnąca czystością, siedziała przy żółtym stole i czytała książkę z wytartą, płócienną okładką.

Młoda dziewczyna o ciężkiej głowie i w białych wełnianych skarpetach, zataczając się, chodziła tam i z powrotem po korytarzu.

— Nie widziałam jej przez ostatnie dni — powiedziała Else do Thorgren, wskazując na dziewczynę.

— Nie jest w stanie minąć pani drzwi. „To nie kobieta, tylko dziki, straszny ptak”, tak mówi i aż wstrząsa ją ze strachu.

— To mnie ma na myśli? — zapytała Else.

— Naturalnie — zaśmiała się Thorgren.

Pani Kant zaglądała do cel. Pani Syverts spała z na wpół otwartymi ustami, ukazując białe zęby między młodymi, pełnymi wargami.

Leżała z lekko przekrzywioną głową i dłonią pod policzkiem, a na długich, czarnych rzęsach wisiała lza.

Else cicho wyszła i zajrzała do staruszki o żółtej twarzy mumii, pani Fog, którą widziała pierwszego wieczoru, a która nocą zrzuciła na ziemię barierki od łóżka. Leżała z półotwartymi oczami, które lśniły — szare i mętne jak brudne odłamki szkła. Z rękawów szpitalnej koszuli, podciągniętych nad łokcie, wystawały brunatnożółte ręce, cienkie jak bambusowe łodygi. Skóra dłoni była popękana i huszczyła się jak na wielkich, suszonych karmazynach<sup>16</sup>. Gdy Else się do niej zbliżyła, ta jak pierwszego wieczoru uniosła ręce jakby w błagalnym geście i powiedziała coś, co uwiędło na jej zapadniętych, bezbarwnych wargach.

— Biedna pani — odezwała się Else i pogładziła ją powoli po czole, pokrytym małeńkimi kropelkami potu.

— Słodka Alma — rozległ się słaby szept; jedna ręka powoli się uniosła i bez siły chwyciła połę szlafroka Else.

Gdy wróciła na korytarz, natknęła się na młodą dziewczynę o ciężkiej głowie. Ta aż podskoczyła, przerażona. Schowała twarz za uniesioną ręką i zawołała, zataczając się podczas ucieczki:

— A fe, a fe, dziki ptak chce wydziobać mi oczy!

W ostatniej celi, wyprostowana na łóżku, siedziała pacjentka w połogu i cicho zawodziła. Gdy weszła do niej Else, kobieta popatrzyła na nią rozbieganym, bezradnym wzrokiem i nagle naciągnęła sobie prześcieradło na głowę.

Else zakręciło się w głowie, zaczęły trząść się jej kolana. Najlepiej wrócić do swojej celi i wślizgnąć się do własnego łóżka. Wędrowała wzrokiem po długim, nagim korytarzu, na obu końcach odgrodzonym solidnie zamkniętymi, podwójnymi drzwiami, i po otwartych drzwiach do cel. I pomyślała ze zgrozą o pierwszym wieczorze, gdy przyszła tu stosunkowo beztraska, nie mając pojęcia, że oto dała się zamknąć w więzieniu na czas nieokreślony i że będzie tu traktowana jak przestępczyni, do której nie będą mieć wstępu najbliżsi — nawet własny mąż.

Powoli rozebrała się i położyła.

— Znów pani płacze? — Thorgren przyniosła obiad. — Rozerwała się pani krótkim spacerem, tak teraz spokojnie. Widać, że jest niedziela.

Else też to zauważyła, co jeszcze pogłębiło jej poczucie beznadziei.

Jakież to dziś jedzenie? Usiadła i wzięła tacę. Żółta woda z kremowej barwy klusecz-

Jedzenie

<sup>16</sup>karmazyn — tu: rodzaj ryby morskiej. [przypis edytorski]

kami. Do tego plaster przesuszonego mięsa i gotowane ziemniaki, pływające w gęstym, jasnobrazowym sosie na zasmażce. Żadnej sałaty, ogórka czy pikli, żadnych dodatków, do których była przyzwyczajona i które sobie ceniła. Ale i tak *musiała* zjeść. Czuła się taka słaba; omdlewała wręcz, gdy była na nogach i nic w tym dziwnego.

Z zapalem zaczęła jeść, ale udało się jej przełknąć tylko niewiele, bo smakowało okropnie.

Jak zwykle po chwili spokoju pacjentki znów zaczęły hałasować i krzyczeć. Pani Fog zrzuciła barierki na podłogę, głucho zawodząc. Pacjentka w połogu latała, wrzeszcząc jak zarzynana, a pani Syverts zachowywała się tak agresywnie, że trzeba ją było zamknąć. Zaczęła wtedy walić w ścianę przylegającą do celi Else, z lękiem wzywając to ją, to profesora.

— Kładę się, pani Kant! — krzyknęła wreszcie po upomnieniach sąsiadki. — Kładę się i będę grzeczna. Słyszysz pani, pani Kant?

— Tak, słyszę! — odkrzyknęła Else. — Miło z pani strony, że chce się pani położyć.

Nieco po szóstej, chwilę po zapaleniu lamp gazowych, przyszedł Hieronimus. Jego powitanie zabrzmiało dziwnie przyjaźnie.

— Jak pani ocenia swoje samopoczucie?

Else zmieniła pozycję na poduszce i nie odpowiedziała.

— Jak apetyt? — ciągnął niewzruszenie przyjaznym tonem.

— Jestem głodna, ale nie smakuje mi tutejsze jedzenie — mruknęła Else w odpowiedzi.

— Może przywykła pani do innego typu dań?

— Na pewno do innego sposobu ich przyrządzania. Ale to nic. Jedzenie jest mi obojętne.

Znów zmieniła pozycję na poduszce.

— I jeszcze sen. Wciąż pani nie śpi?

Else chwilę odczekała, po czym odezwała się głosem drżącym z gniewu:

— Czy można tu spać, gdy jest się względnie normalnym, a nie obłąkanym?

— Tak, miejmy nadzieję, że ta noc coś zmieni.

Powiedział to tak ładnie i cicho, że Else aż się zdziwiła. Spodziewała się wybuchu, gwałtownego jak poprzedniego wieczoru.

— Nadzieję — powtórzyła tonem pełnym pogardy, a w duchu pomyślała: „Rzuc gołe niemowlę przed wygłodniałego tygrysa i miej nadzieję, że drapieżnik go nie pożre”.

— Tak, pani Kant. Gdybyśmy jako ludzie nie mieli nadziei...

Hieronimus zaczął nagle mówić powoli i z namaszczeniem niczym pastor, jego spojrzenie zaś miało wyraz, który widziała w poczekalni, przywodzący na myśl młodego teologa.

Else uniosła brwi, coś jakby uśmiech wykrzywiło jej kąciaki ust, a profesor, sekundę po tym, jak wspomniał o nadziei, zerwał się z krzesła i niczym czarodziej błyskawicznie zniknął z celi.

Noc była straszna. Pacjenci z *delirium* na dole bezustannie dokazywali. Else czuła podobny do skurczu ból w piersi. Wiła się jak wąż, stale zawodząc.

Gdy zastępca ordynatora przyszedł na nocny obchód, podał jej jakieś krople, po których na chwilę jej się poprawiło, ale później ból wrócił i trwał całą noc.

— Panno Suenson — powiedziała Else w przerwie między skurczami w piersi. — Widzi pani, jak cierpię, jak pod każdym względem jest mi nieznośnie. Prawda?

— Tak, bidulko. Nie jest pani dobrze.

— Może przekazałaby pani kilka słów ode mnie mojemu mężowi?

— Za żadne skarby! — odparła pielęgniarka przerażona i z taką stanowczością w głosie, o którą Else jej nie podejrzewała.

— Proszę nie odmawiać, droga panno Suenson. Tak się boję, że w końcu stracę rozum. Niech da mi pani kawałek papieru i ołówek, mogę napisać coś w łóżku.

— Nigdy w życiu! — zapewniła pielęgniarka, równie stanowczym głosem co poprzednio. — Myśli pani, że śmiałabym zrobić coś takiego profesorowi?

— Proszę panią, błagam! Profesor przecież nigdy się nie dowie. Pozostaną pani dożgonnie wdzięczna, zawsze będę miała wobec pani dług. Mój mąż również.

— Nie, nie, nie... Proszę tak nie myśleć, pani Kant. — Rozłożyła ręce i nagle się uśmiechnęła. — Gdybym to uczyniła, na pewno straszylabym tutaj po śmierci. A zresztą



— podjęła poważniej na widok niemej rozpaczy Else — nic by to pani nie pomogło. Gdy jest się na tym korytarzu, nikt nie zważa na to, co się mówi. Pani mąż nic nie robi.

#### XIV

— Pani twarz jest dziś żółta jak wosk — powiedziała panna Stenberg, gdy rano przyszła do Else. — Ale wkrótce musi nadejść zmiana. Zastępca ordynatora widział przecież, jaka była pani chora dzisiejszej nocy.

Dzień mijał. Else leżała bez ruchu. Na pytanie, czy chciałaby na trochę wstać, pokręciła głową. Poddawała się. Pozwoliła sobie cicho opaść na dno studni o pozieleniałych ścianach. Nie było sensu walczyć. Siła, której się sprzeciwiała, miała zbyt wielką przewagę.

Nagle w jej celi stanął Hieronimus. Else widziała go jak przez mgłę, ale spostrzegła, że ma łagodną minę.

— Szykują dla pani salę — powiedział.

— Och, niech mnie pan zostawi tutaj — odparła Else hardo, ściągając rozedrgane brwi. — Im dłużej, tym lepiej.

— Im dłużej, tym lepiej? — rzucił Hieronimus bez tchu przez wąskie, szarawe zęby i jak poprzedniego wieczoru wspiął się na palce, po czym mocno wbił pięty w podłogę. — Tak, też jestem zdania, że dobrze pani zrobi, jeśli tu pani zostanie!

Chwilę potem już go nie było.

#### XV

Knut po raz trzeci od przyjęcia Else do szpitala siedział spięty i niespokojny w poczekalni profesora.

Małomówny do tej pory Hieronimus przekazał mu wieści, które nie brzmiały zbyt pociesząco ani treściwie: „Pańska małżonka zrobiła scenę podczas przyjęcia”.... Odpowiedziny są wykluczone... Na początek chodzi tylko o zdobycie zaufania pacjentki... Najwcześniej można pytać za kilka dni... Na razie mogę skomentować jedynie to, że pańska małżonka zdaje się być bardzo trudną pacjentką”.

To Knut podczas wizyt zabierał głos. Profesor słuchał, choć nie z takim zainteresowaniem, jakie zdaniem Knuta powinien okazywać. Czemu ten człowiek był tak powściągliwy, w zasadzie chłodny? Miał swoje zdanie czy nie wyrobił sobie jeszcze opinii? Dlaczego to nie lekarz prowadził rozmowę? Wszak dotyczyła wyłącznie pacjentki.

Stojący przy drzwiach urzędnik skinął głową do Knuta. Zbliżała się jego kolej.

— Pańska małżonka jest umysłowo chora.

Knut aż drgnął. Określenie to z niemal fizyczną mocą szarpnęło całą tą bolesną, starannie utkaną siecią zmartwień, która długo, kawałek po kawałku rozpościerała się, otaczając jego myśli i uczucia.

— Umysłowo chora? — powtórzył.

— Tak.

— Obląkana?

— Charakterystyczną cechą jej choroby umysłowej jest niemal zupełny brak umiejętności opanowania własnych emocji. Niekiedy wpada w prawdziwą furję.

Chwilę trwało, zanim Knut odpowiedział. W tonie głosu Hieronimusa wyraźnie brzmiała pewność siebie, która nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

— Czy profesor wziął pod uwagę jej szczególną, impulsywną siłę? Tę, która uwidacznia się w jej twórczości artystycznej?

Najwyżej pół sekundy trwało milczenie Hieronimusa, który zaraz odpowiedział:

— Tak.

— Czy profesor widział obrazy mojej małżonki?

— Z powodu braku czasu w ostatnich latach nie byłem niestety w stanie śledzić rozwoju lokalnej sztuki.

— Może przesłać profesorowi kilka reprodukcji jej obrazów?

— Dziękuję. Oczywiście wiedza o doborze tematyki może pomóc w ocenie stanu pańskiej małżonki.

— A w sposobie leczenia? Osiągnięty wysoki poziom artyzmu?

— Również.

Mąż, Lekarz

Szaleństwo, Choroba,  
Sztuka

Profesor przeszedł kilka kroków od biurka do pieca kaflowego.

— Radzę, aby pańską małżonkę umieścić w azylu dla umysłowo chorych świętego Jerzego, ale nie na krótko.

Knut ponownie drgnął, jakby ukluty.

— Na jak długo? — zapytał.

— Rok.

— I co miałyby się w ten sposób osiągnąć?

— Wyzdrowienie — powiedział Hieronimus zdecydowanie, z cieniem dezaprobaty wywołanej pytaniem Knuta. Gdy ten się nie odezwał, dodał: — Nie musi pan podejmować decyzji od razu. Proszę porozmawiać z doktorem Tvedem. Pańska małżonka zostanie tymczasem tutaj. Nie ma pośpiechu.

— Zdaje mi się jednak, że skoro mowa jest o umieszczeniu jej w szpitalu dla umysłowo chorych...

— Pańska małżonka musi przede wszystkim nauczyć się dyscypliny. Jest niezadowolona ze swego pobytu u nas. W tej chwili niedobrze zrobiłyby jej przenosiny. Poza tym załatwienie sprawy zajmie co najmniej dziesięć dni. Proszę o pańską odpowiedź w ciągu tygodnia.

— I profesor jest zdania, że naprawdę można w ten sposób wyzdrowieć?

— Absolutnie. Mamy na to wiele przykładów. Przez pierwsze pół roku nie obędzie się bez protestów ze strony pańskiej małżonki. A potem się uspokoi, by wreszcie opuścić szpital z wdzięcznością w sercu, wyleczona.

— Takim czysto mechanicznym sposobem, przez izolację i zamknięcie?

— Takim czysto mechanicznym sposobem, w rzeczy samej — rzekł Hieronimus z miną, jakby uznał wyrażenie za wyjątkowo celne.

Knut czuł się jak ktoś, kto próbuje dźwignąć zbyt wielki ciężar. Nie mógł się ruszyć i celowo nie chciał zauważyć, że audyencja u wiecznie zajętego profesora została zakończona.

— I w domu będzie pan miał spokój — odezwał się Hieronimus z fotela, w jego głosie zaś pobrzmiwało coś jakby drwina.

Knuta znów przeszedł dreszcz. Czy jego starannie wyważone słowa odczytano jako utyskiwanie na własną niedolę?

Ten mężczyzna w fotelu nie był aż tak wielkim znawcą ludzkich dusz, za jakiego uchodził.

\*

— Tylko jedno można zrobić: posłuchać rady Hieronimusa — powiedział doktor Tvede wieczorem do Knuta.

Następnego dnia dwóch jego znajomych lekarzy powtórzyło to samo: „Hieronimus to człowiek, którego osądom w takich sprawach należało bezwarunkowo ufać”.

„A więc *to na tym* musisz skupić swe siły”, pomyślał Knut. Po czym zmusił swą wolę do akceptacji decyzji, która bolała go w piersi jak przykry ropień — zamierzał posłuchać rady profesora.

## XVI

Else została przeniesiona. Otworzyły się przed nią wielkie, podwójne drzwi na końcu korytarza z celami, a tuż za nimi znajdowała się jej nowa sala. Poza łóżkiem zawierała szezlong, stół i krzesło. Także tutaj przez otwarte dzień i noc wejście widać było korytarz, w którym ustawiono żółty stół i dwa krzesła, tak samo jak korytarz z celami zakończony szczelnie zamkniętymi podwójnymi drzwiami. Z jednej strony sala przylegała do cel, od których oddzielała ją zwyczajna ściana, z drugiej zaś do chwilowo pustego pokoju, wyposażonego w sześć łóżek. Choć okno w górze zdobiły wełniane zazdrostki — zawieszane wysoko i pokryte wzorem w maleńką kratkę — zdawały się przypominać żelazne kraty w oknach cel, toteż wrażenie Else, że przebywa w więzieniu, było takie samo jak przedtem.

Po przenosinach przydzielono jej nową pielęgniarkę, pannę Ræder, przysadzistej budowy blondynkę około trzydziestki, która przeszła tutaj z oddziału męskiego na dole.

Choroba, Więzień, Niewola

Nosiła lornion<sup>17</sup>, była wesołego usposobienia i kulturalna. Wykonywała swą pracę, cicho nucąc i lekko kołysząc biodrami, rozmawiała też z Else na rozmaite tematy, aby pomóc jej zapomnieć o codziennych udrękach. Else cieszyła się, że ma ją w pobliżu. Pielęgniarki w ogóle zdawały się być bladymi promieniami słońca w ciemny, lodowaty, zimowy dzień.

— No — rzekł zastępca ordynatora, gdy po raz pierwszy wizytował Else w nowym miejscu — chyba jest pani już zadowolona?

Else, która siedziała na krawędzi szezlongu, spojrzała zboląła przed siebie. Poza tym, że jej miejsce pobytu nie było całą i że chore nie przebiegały co chwilę przed jej drzwiami i do niej nie wchodziły, nie widziała żadnej różnicy w stosunku do tego, co było przedtem. Hałasy i krzyki słyszała równie wyraźnie. Niepokojące i przeszkadzające jej dźwięki okien i drzwi oraz inne odgłosy dnia były takie same. Między wpół do szóstej a szóstą rano od lodowatego przeciągu zaczynało się sprzątanie, a na noc otwierano drzwi na korytarz z celami, gdzie, zmieniawszy pannę Suenson, dyżurowała Thorgren, która miała doglądać zarówno Else, jak i pacjentek w celach. Do tego pani Kant cierpiała ostatniej nocy przez potężny ból zęba.

— Tutaj też nie mogę spać — powiedziała zmęczona.

— Bzdura.

— Poza tym to straszne, że w ogóle nie mogę się umyć.

— Nie może się pani umyć?

Zastępca ordynatora wybałuszyl oczy.

— Czy to nazywa pan myciem? Pół kwaterki wody w miedniczce, w której da się co najwyżej umoczyć nos? W domu codziennie brałam zimną kąpiel.

— Tutaj też może się pani wykąpać. Niech pani tego dopilnuje — zwrócił się do panny Stenberg.

— Rury przeciekają, a piec jest zepsuty — odparła pielęgniarka.

— Trzeba go zatem naprawić. Weźmie pani kąpiel, pani Kant.

— Myśli pan, że długo jeszcze potrwa, zanim zobaczę męża?

— Proszę porzucić tę myśl. Możliwe, że potrwa to długo — dodał zastępca ordynatora w odpowiedzi na zrozpaczony wzrok Else.

— A więc nie poprosił pan w moim imieniu profesora?

Lekarz skinął głową.

— O Boże, jakie to straszne! — zawołała Else. — To *co* mam zrobić? Tak niesamowicie pragnę dowiedzieć się, co w domu.

— Profesor najlepiej wie, co jest dla pani korzystne.

— Korzystne! — krzyknęła Else i wstała. — Tę śpiewkę już znam! — Przeszła kilka kroków i usiadła. — Jaką niby mam czerpać korzyść z siedzenia tutaj pod kluczem, z cierpienia i takiego smutku, że bliska jestem śmierci? Co w końcu ze mnie zostanie, skoro nigdy nie śpię?! *Wie* pan, że naprawdę nigdy nie śpię. Choćby myślał pan, że się myślę, może pan polegać na wypowiedziach pielęgniarek. Nie *dam rady* tu zasnąć. Powiedziałam to pierwszego wieczoru i dalej tak twierdzą. Czy myśli pan, że i *to* jest dla mnie korzystne?

— Jakaż pani zacięta — rzekł zastępca ordynatora w swój zwykły, dobrotliwy sposób. — Całkiem ciekawie się na to patrzy.

— Co za człowiek z tego Hieronimusa! — ciągnęła Else. — Że jest mikrogo formatu papieżem, aroganckim i pewnym siebie jak świecki kaznodzieja, nie wyjaśnia dostatecznie jego zachowania wobec mnie. „Dla mojego własnego dobra!”. Czy on myśli, że oszalałabym od spotkania z mężem? Pewnie wcale zresztą by się z tego powodu nie smucił... Czy może boi się, że szpital by runął, gdyby on się tutaj pokazał?

Zastępca ordynatora jak zwykle próbował obrócić jej słowa w żart, a Else słuchała go bez irytacji. Mimo wszystko była mu wdzięczna, bo już od pierwszego wieczoru był wobec niej ludzki i przyjazny. W jego czystym, flegmatycznym spojrzeniu pojawiał się też niekiedy przeblysłk współczucia, który, zwłaszcza nocą, gdy była najbardziej wzburzona i zrozpaczona, na chwilę pocieszał ją i uspokajał.

<sup>17</sup>*lornion* a. *lorgnon* — binokle na długiej rączce. [przypis edytorski]

— Pani, panno Ræder, jest przecież przekonana, że nie cierpię na chorobę umysłową — powiedziała Else któregoś popołudnia, gdy zapalono lampy gazowe i spodziewano się obchodu.

Przez kilka godzin była na nogach, ale właśnie się położyła, wyczerpana z powodu bólu zęba, który dokuczał jej już trzecią dobę.

Panna Ræder, siedząca z dużą, wełnianą robótką na szeszlengu naprzeciw, prędko zdjęła lornion i odpowiedziała śmiało:

— Tak, jeśli o mnie chodzi, to nie dostrzegam u pani żadnych oznak.

— Czy nie mogłaby pani zatem wystosować w moim imieniu listu do mojego męża? Zrobiłaby pani dla mnie dobry uczynek.

— Niemożliwe, pani Kant! Proszę mnie absolutnie o to nie prosić.

Else milczała. Po tonie głosu poznała, że prośenie panny Ræder będzie równie bezowocne co panny Suenson.

— Rozumie pani przecież, że jako pielęgniarki nie możemy czegoś takiego zrobić. To byłoby równoznaczne ze złamaniem przysięgi służbowej.

Else rozumiała ją znakomicie. Znikąd ratunku, znikąd nadziei. Była jak pochowana żywcem.

— Pani mąż też nic nie da rady zrobić.

— Och, jak może pani tak myśleć?! — przerwała Else. — Nie zna pani mojego męża.

— Gdy przebywa się pod opieką profesora, z pacjentką dzieje się *wyłącznie* to, czego on chce. Powinna pani raczej ze wszelkich sił starać się być *życzliwą*, a najlepiej *pokorną* wobec profesora. Do tego jest przyzwyczajony. Gdyby tylko pani *wiedziała*, jak pani wygląda podczas rozmów z nim... — Panna Ræder się zaśmiała. — Niemądrze z pani strony.

— Bo obmierzył mi ten facet — odparła Else z odrazą.

Nieco później był obchód. Przyszedł Hieronimus.

— Ma się tu pani jak pączek w maśle — powiedział, śpiesznie podchodząc do jej łóżka.

Else nie odpowiedziała. Ilekroć słyszała kroki profesora, waliło jej serce i drżała z niechęci. A kiedy mówił do niej przyjaźnie jak teraz, głos miał taki zadowolony z siebie i skrzekliwy, że wpływał na nią jeszcze gorzej, niż kiedy pałał pogardą i gniewem.

— I może tu pani w spokoju spać. Czyż nie?

— Niech pan zapyta pielęgniarki, jaki jest tutaj spokój i jak dużo śpię — wydusiła z siebie Else. — Profesor powinien zostać tu dzisiaj na noc i posłuchać.

— No cóż, sen pewnie przyjdzie. — Miał już odejść, ale prędko odwrócił się na pięcie i zapytał: — Bolał panią ząb?

— Tak.

— Czy przestał?

— Nie.

— Chce go pani usunąć?

— Nie. Wołałabym dentystę.

— Doprawdy!

I zniknął.

W nocy ból zęba stał się nie do wytrzymania. Również kaszel, który przez ostatnich parę dni zdawał się mijać, znów się wzmógł. Nic w tym dziwnego — przy takich przeciągach, jakie powstawały tu rano i wieczorem podczas wietrzenia. Godzina za godziną Else siedziała wyprostowana na łóżku i głośno zawodziła, na zmianę ze wściekłymi pacjentami z *delirium* z dołu. Thorgren robiła jej gorące okłady. Stale biegała to tu, to tam. Ledwie spędziła parę minut u Else, a krzyki i hałasy już wzywały ją z powrotem na korytarz z celami. Okłady za każdym razem nieco łagodziły ból, ale wtedy na sile przybierał kaszel. Użalała się nad samą sobą, aż łzy płynęły jej z oczu, i stale powtarzała:

— Nie wytrzymam tego.

— Dlaczego nie chce pani usunąć zęba? — zapytał zastępca ordynatora.

— Nie ma takiej potrzeby — odparła Else. — Ząb został niedawno zaplombowany i może posłużyć jeszcze wiele lat. Dajcie mi tylko wybrać się do dentysty. Przecież profesor może wysłać mnie tam w zamkniętym powozie i dać mi do towarzystwa paru więziennych strażników.

— Zakuć w kajdany — zaproponował zastępca ordynatora.  
— Zejdę na dół i poproszę profesora o pozwolenie na wyjazd do dentysty — powiedziała panna Stenberg parę godzin później. — To ja będę pani tam towarzyszyć.  
— Dziękuję — odparła Else, która cały czas zawodziła.  
Niedługo później panna Stenberg zjawiła się z powrotem. Wyglądała na rozczarowaną.  
— I co? — zapytała pani Kant.  
— Nic nie odpowiedział, tylko dał mi do zrozumienia, że mogę odejść.  
— Co za potwór!  
— Mam krople, które raz mi pomogły — ciągnęła panna Stenberg. — Spróbujemy wetrzeć je w dziąsło.

Po południu, gdy Else wyszła na korytarz z celami, po którym wolno jej było codziennie przechadzać się tam i z powrotem, zauważyła, że w ostatniej celi pojawiła się nowa pacjentka — dama, która, pomimo szpitalnej koszuli oraz białych koców i szorstkich poszewek na poduszki na łóżku, jako żywo sprawiała wrażenie eleganckiej i dostojnej. Leżała całkiem spokojnie i spoglądała przed siebie skamieniałym wzrokiem, a łzy powoli, nieprzerwanie spływały jej po nieruchomej, spuchniętej od płaczu twarzy. Młoda dziewczyna z ciężką głową zatoczyła się do celi, w której z zaciekawieniem wpatrywała się w nową pacjentkę, babcia zaś stała pochylona nad nią i gawędziła. Jednak płacząca dama nie zwracała na nie uwagi. Dopiero gdy nagle wpadła do niej pacjentka w połogu, jak zwykle glucho, przeciągle wołając Knu'ssena, drgnęła z lękiem i rozejrzała się, by wezwać pomoc.

— Kto to? — zapytała Else pielęgniarkę, która przyszła po pacjentkę w połogu.  
— Hrabina.  
— Bardzo jej się pomieszało?  
— Podobno. Zabrano ją z hotelu, po którym chodziła z nabitym rewolwerem, a teraz myśli, że wpadła w ręce anarchistów.

„Kto by przypuszczał, że to wariatka leży tak ni to rozsądna, ni to zrozpaczona”, pomyślała Else, która, ilekroć podczas swojego marszu mijala drzwi hrabiny, bez skrzepowania do niej zaglądała. „Biedny z niej człowiek...”

— Chyba nie ma ze sobą rewolweru? — zapytała nagle z przerażeniem, zatrzymując się przed Thorgren.

— Owszem, i to dwa! — odparła pielęgniarka ze śmiechem i dodała: — Wywołałam u pani uśmiech, pani Kant. Nie poddam się, póki nie sprawię, że się pani zaśmieje.

— Nie — powiedziała w końcu Else pod nosem. — Nie chcę tu już więcej przychodzić i patrzeć na nieszczęśliwą hrabinę. Za każdym razem spogląda na mnie z takim bolesnym wyrzutem. Wobec obłąkanych również należy postępować taktownie.

Else weszła do pani Syverts, która wciąż leżała w łóżku, urocza i schludna, z wyszczotkowanymi, zaplecionymi włosami, w śnieżnobiałej, haftowanej koszuli nocnej.

— Jak miło z pani strony, że pani do mnie zagląda, pani Kant. — Pani Syverts chwyciła oburącz dłoń Else. Kąciki ust jej zadrżały, a piwne, aksamitne oczy zaszyły łzami. — Nadal tu leżę, co pani na to? Codziennie błagam i proszę o możliwość wstania, ale nawet mi nie odpowiadają.

— To dlatego, że nie jest pani wystarczająco spokojna.

— Spokój też się na nic nie zdaje. — Pani Syverts zagryzła dolną wargę i duże, przezroczyste łzy potoczyły się po jej białych policzkach. — I tego próbowałam.

— Ale w nocy. W nocy hałasuje pani i krzyczy.

— Bo taka jestem złąkniona. Czuję się jak w lochu, a kiedy inni zaczynają, ja też muszę. I jeszcze ten dziwny zwyczaj, że lekarze przychodzą do człowieka w nocy. Chyba nie mogą być przywoici, co? — Pani Syverts uśmiechnęła się nagle i szelmowsko do Else.

— Chciała też pani wyskoczyć z okna — dodała pani Kant.

— Zrobiłam to, żeby się z nimi podrażnić — zaśmiała się lekko, a łzy dalej płynęły jej z oczu. — Bawi mnie drażnienie się z tą bandą więziennych strażników. Wtedy, gdy panią wystraszyłam, też chciałam się z panią podrażnić. Nie zamierzałam nic pani zrobić. Zresztą to nic dziwnego, że człowiekowi miesza się w głowie od leżenia tutaj. Cały ten chloral odbiera mi rozum. Ale proszę mi powiedzieć, nie wie pani, dlaczego mój mąż się na mnie pogniwał?

Szaleniec

— Na pewno się nie pogniewał.  
— Owszem, bo obiecał, że codziennie będzie do mnie przychodził. Och, Carlu, Carlu, że też masz serce tak się zachowywać...  
Nagle wybuchła głośnym szlochem.  
Else usiłowała ją pocieszyć.  
— Proszę wkrótce znów do mnie przyjść, pani Kant! — zawołała pani Syverts, gdy Else wychodziła.

## XVII

Else naszły myśli, że w domu musiało dziać się coś złego, skoro Knut nie przychodził. Obiecał przecież, że będzie ją odwiedzał, wiedział też, że w przeciwnym razie nigdy by tutaj nie przyszła. Co rano żywiła potajemną, zmieszaną z lękiem nadzieję, że może tego dnia raptem stanie w jej sali, a w porze odwiedzin przed południem prawie nie mogła oddychać z napięcia. Ale nigdy nie przychodził. Tylko jak mógł wciąż godzić się na takie zbywanie? Gdyby to ona była na jego miejscu...!

Gdy raz ogarnęła ją obawa o to, jak mają się sprawy w domu, nie chciała jej już opuścić — przeszła jedynie w najstraszliwsze wyobrażenia. Może Tage umierał albo już umarł, a Knut nie śmiał przyjść ze strachu, że swym zasmuconym obliczem natychmiast się ze wszystkim zdradzi. A może Knut zapadł na dyfterię<sup>18</sup> jak zeszłego roku — nie, to Tage miał dyfterię, a Knut nie mógł przyjść do szpitala ze względu na ryzyko zakażenia. Albo wybuchł pożar i Knut uratował Tagego z płonącego pokoju dziecięcego, po czym sam zmarł z powodu oparzeń. Im więcej rozmyślała, tym bardziej szalony ogarniał ją strach, który bezustannie ją dręczył, zlewając się ze wszystkimi innymi lękami, jakie jej dokuczały.

Wielokrotnie chciała wspomnieć o tym zastępcy ordynatora, ale ilekroć miała to zrobić, ze strachu, jaką może usłyszeć odpowiedź, zapominała języka w gębie. Gdy wreszcie wyrzuciła to z siebie, lekarz zapewnił ją, że to tylko wytwory jej wyobraźni.

Ale czy on to wiedział czy tylko mu się tak wydawało?

Z drugiej strony rozumiała przecież, że gdyby coś takiego się stało, plotka dotarłaby i do szpitala. Poza tym jej mąż ciągle przychodził tam, by o nią pytać. Nie dalej jak wczoraj widział go zastępca ordynatora. Teraz jednak miał się dowiedzieć, jak miewa się ich syn; dał też słowo honoru, że przekaże jej wszelkie wieści.

Również panna Stenberg i panna Ræder starały się uspokajać Else.

A ona poczuła na jakiś czas ulgę, lecz zwątpienie i lęk wkrótce wróciły. Nie mogła pojąć, że Knut pozwala jej tak leżeć i ani razu jej nie odwiedził. Spędziła tu już dwanaście dni.

— Co miałby zrobić pani mąż — zapytała panna Stenberg — skoro profesor zabrania mu wstępu?

— Ale czy nie może mnie stąd wydostać, jeżeli chce?

— Jeśli pani mąż by tego zażądał, może pani stąd wyjść w dziesięć minut.

Rozżarzona jak ogień nadzieja rozpałała jej duszę. Nadzieja, że Knut wreszcie straci cierpliwość i upomni się, by ją wypisano. Trawił ją gorączkowy niepokój; byle tylko jej mąż zanadto nie zwlekał! Każda minuta dnia i każda sekunda nocy zadawała jej dokuczliwy, rozdzierający ból.

— Ale dlaczego nie poprosi pani profesora o pozwolenie na spotkanie z mężem? — któregoś wieczoru zapytała z wyrzutem panna Ræder.

— Przecież zastępca ordynatora prosił go w moim imieniu.

— Ale może profesor wolałby, żeby to pani sama poprosiła?

— Przecież *prosiłam*. Gdy leżałam w celi, cały czas prosiłam. Teraz nie mogę już więcej o nic prosić tego człowieka.

Choć gdyby tylko miało się na to coś zdać, oczywiście z radością by go poprosiła. Ale skoro Hieronimus tak wytrwale nie dopuszczał do niej Knuta, zapewne wychodził z niepojętego dla niej założenia, że tak należy. Przecież zastępca ordynatora też to powiedział. Wszystkie te głosy, twierdzące, że profesor dostosuje swe postępowanie do tego, w jakim stopniu ona okaże mu swoją pokorę, *musiały* się mylić! Przecież to *lekarz*!

Dom, Rodzina, Samotność,  
Mąż, Strach, Nadzieja,  
Tęsknota

Lekarz, Obowiązek,  
Kondycja ludzka

<sup>18</sup>dyfteria a. blonica — choroba zakaźna. [przypis edytorski]

— Zarówno pani dziecko, jak i mąż, mają się wyśmienicie — powiedział jej zastępca ordynatora rano. — Słowo honoru.

Spojrzał Else prosto w oczy, a ona mu uwierzyła.

A jednak znowu dopadło ją zwątpienie. Co jeśli miał za zadanie uspokajać ją kłamstwem?

— Boże, Boże, oszczędź mi tej gehenny — jęknęła bezwiednie.

— Jakież to smutny widok — rzekł Hieronimus, gdy przyszedł wieczorem.

Else, która siedziała przy oknie z twarzą owiniętą watą i okładem na ból zęba, wstała jak zwykle podczas obchodu.

— Nadal nie chce pani usunąć zęba?

— Nie.

Profesor zajął miejsce na szezlongu, a Else usiadła.

— Pozdrowienia od pani męża — powiedział Hieronimus przyjaźnie. — Prosił, bym pani przekazał, że mały wybornie się czuje, je i śpi, i jest mu pod każdym względem dobrze.

Else oniemiała. Nie potrafiła wydobyć z siebie podziękowania, które była mu, jak czuła, winna. Płacz ścisnął jej gardło, a panna Ræder, stojąca za profesorem, robiła do niej miny.

Hieronimus przyglądał się chwilę Else z uśmiechem współczucia, który wygiął jego blade wargi. Następnie wstał i wyszedł, chłodno życząc jej dobrego wieczoru.

— Że też nie poprosiła pani profesora! — zawołała panna Ræder. — Był dziś taki łagodny i miły. Siedział i czekał wręcz, aż coś pani powie.

— Nie *mogłam* — odparła Else.

— Dwa koty w jednym worku się nie zgodzą — zaśmiała się panna Ræder. — Niemądre to z pani strony, pani Kant. Kiedy profesor wychodził, minę miał zupełnie zmienioną.

\*

Była noc. Lampy wyłączono, a Thorgren przysła z ciepłym okładem na policzek Else.

— Gdyby tylko mogła się pani trochę zdrzemnąć, pani Kant. Tej nocy jest spokój.

Gdyby tylko mogła się trochę zdrzemnąć... Skoro nie dawała rady spać, w końcu musiała stracić rozum. Nie było co do tego wątpliwości. Gdyby tylko mogła stłumić w sobie ten dokuczliwy niepokój, sprawić, by jej serce biło wolniej, a nie tym nieregularnym, zbuntowanym, urywanym rytmem, zmusić się do pełnego podporządkowania, cierpieć po cichu — jak wierny, co przed obliczem Boga z oddaniem ugina się przed jego wolą. Cierpienie działało oczyszczająco. Cierpienie było lepsze niż pustka i próżność. Smutek potrafił podnosić na duchu, nadawał sens i skłaniał do szacunku.

Tak, chciała cierpieć wytrwale, cierpieć z nabożeństwem, w duchu i prawdzie. Coś na kształt ekstatycznej radości wypełniło ją drżeniem. Nie każdy człowiek potrafił cierpieć tak, że cierpienie zmieniało się w rozkosz. Ona potrafiła.

Mały Tage, twojej mamie jest dzisiaj dobrze. Tobie też jest dobrze. Jesz, śpisz i znakomicie się czujesz. Nie masz dyfterii, nie było pożaru, nie umarłeś. Tatuś też nie.

— Tatuś też nie. *Nie* umarł — rozległ się nagle wyraźny, słodki głosik Tagego.

Else uniosła bezwiednie głowę i się rozejrzała. Skąd dochodził? Gdy we wspomnieniach przywoływała głos Tagego, słyszała go w sobie. Teraz jednak rozległ się na zewnątrz, tuż przy jej uchu. Czy nie był to znak, że może właśnie umarł?

Nie, nie, nie mogła porzucać nadziei i wiary. Zastępca ordynatora nie kłamał. Wzrok miał tak pewny i szczery.

Zjawił się obchód.

— Ząb dokucza? — zapytał zastępca ordynatora i podał jej dłoń.

— Nie — odparła Else. — Chwilowo nie.

— Zresztą nie powinna się pani martwić bólem zęba, bo odciąga myśli od innych spraw, wokół których krążą.

Else uśmiechnęła się słabo.

— Naprawdę tak uważam — skinął głową zastępca ordynatora.

— Jak pan myśli, jak długo tutaj zostanie?

— *Qui lo sa!*<sup>19</sup>

— Jak długo przebywają tutaj pacjentki? To jest najdłużej?

— Różnie bywa. Cztery, pięć, sześć miesięcy.

— Och nie, chyba nie mówi pan poważnie — odparła Else z załęcznionym uśmiechem.

— Naprawdę nie wiem, droga pani. Dobrej nocy. — Uścisnął jej dłoń i wyszedł. —

Proszę grzecznie zasnąć.

— Cztery, pięć, sześć miesięcy — powtórzyła Else.

Zdjęła okład z policzka i położyła go na stoliku nocnym. Cóż znaczył jej ból zęba! „Nie powinna się pani martwić bólem zęba”. Pewnie, że nie! Im gorzej, tym lepiej.

Gdzie ta studnia? Studnia o pozieleniałych ścianach, z odległym szumem i bladym światłem w ciemnościach, przykryta drucianą obudową, która stale wymazywała ją spośród żywych? Kto ją stamtąd wyciągnął? I kto wbijał jej to kłujące, rozpalone wiertło przez ząb aż do mózgu?

W powietrzu przed nią wisiało dziecięce łóżeczko, przykryte kocykiem w kwiaty i koronkowym prześcieradkiem. Ten kocyk... I ta poduszka. Koronki na poszewce sama wydzierała w ciepłe letnie dni w altanie. Tak, to łóżeczko Tagego — tylko gdzie podziawał się chłopiec?

— Tago! — krzyknęła i wstała.

— Wołała pani? — zapytała Thorgren, która cicho się do niej zakradła.

— Proszę posłuchać, droga, miła Thorgren — powiedziała Else. — Gdybym miała tu umrzeć, czy powie pani mojemu mężowi, że zmarłam ze smutku, wywołanego pobylem tutaj oraz tym, że nie mogłam go zobaczyć ani dowiedzieć się, co u naszego dziecka? Obieca mi to pani?

— Tak, pani Kant. — Pielęgniarka mocno uścisnęła dłoń Else. — Ale nie umrze pani.

Else wróciła do łóżka.

I znalazła się na dnie studni. Widziała pozieleniałe ściany, czuła stęchły, piwniczny zapach; dochodził do niej odległy szum.

Nagle usłyszała ryk, który nie miał w sobie nic ludzkiego, a następnie raban, jakby ktoś ciskał z mocą ciężkimi przedmiotami z żelaza i ołowiu w podłogę. Zaraz potem rozległy się kolejne krzyki — głosów było wiele, a towarzyszyły im dudniące uderzenia, przesywające wrzaski, przejmujące wyzwiska i trzaskanie. Brzmiało to jak ujadanie wściekłych psów, jak ryczenie byków, pianie kogutów, pohukiwanie sów; jednocześnie zaś ciągle dudniło i lomotało, jakby ściany rąbano siekierami w drzazgi.

Else chciała wstać, ale nie miała siły. Na rękach i nogach miała ciężkie okowy, na piersi leżał ogromny głaz. A hałasy i ryki przesywały jej głowę i ciało bólem niczym ostre zygzaki błyskawic.

Nagle znalazła się na mokrym, otoczonym wysokimi murami dziedzińcu z potężną, przymkniętą od środka żelazną bramą. Przez dziurkę od klucza i przy zawiasach widziała tańczące jęzory płomieni. Przed bramą, na pniaku do rąbania drewna, siedziała babina w czerni o zasuszonej twarzy i oczach świecących w ciemności jak fosfor. Miała szarawy, gumowy fartuch, a u jej pasa wisiał wielki pęk kluczy.

— To przedsiónek piekła, a ona mnie tutaj zamknie — wymamrotała Else. — Ale ja poczekam, aż weźmie mnie siłą.

Nagle na kolanach babiny zjawił się Tago w koszulce nocnej, z blond lokami jaśniejącymi w półmroku. Pomachał rączką i zawołał radośnie:

— Mamo!

Else strząsnęła z siebie okowy i głaz i nagle znalazła się na podłodze.

Po chwili poczuła uścisk mocnych ramion, a przyjemny głos Thorgren powiedział:

— Już, pani Kant, proszę nie wstawać z łóżka. Przecież pani wie.

Else przywarła do pielęgniarki.

— Umieram ze strachu — powiedziała. — Niech pani posłucha!

— Tak, szaleją dzisiaj — odparła Thorgren. — Na dole jest dziesięciu pacjentów z *delirium*, wszyscy naraz aktywni. Tak spokojnie pani leżała, gdy poprzednio do pani zajrzałam. Doprawdy, pomyślałam sobie: śpi pani, niesamowicie.

<sup>19</sup>*Qui lo sa!* a. *Qui lo sá!*, (hiszp.) — Kto to wie! [przypis edytorski]



— Niech pani słucha, są pod moim łóżkiem — odezwała się Else zachrypłym szeptem. Skuliła się na podłodze przed Thorgren, między jej kolanami, i schowała twarz w jej suknię.

— Nie, moja słodka pani, proszę zachować rozsądek. Niech pani pamięta, że ci z dołu nie mogą tu przyjść.

— Och, ale niech pani tutaj zostanie! Boję się leżeć w łóżku. Niech pani ode mnie nie odchodzi!

Else wyprostowała się, nie puszczając Thorgren, i pociągnęła ją za sobą na szezlong, gdzie schowała twarz na jej kolanach, oburącz obejmując ją w pasie.

A ryki i dudnienie z dołu nie przestawały rozbrzmiewać.

Wtem z korytarza z celami dobiegł je jęk oraz łomot, jakby się coś przewróciło. Thorgren prędko się oswobodziła i wstała.

— Proszę pozwolić mi iść ze sobą... Och, proszę, proszę — błagała Else roztrzęsiona.

— To niemożliwe, pani Kant. Zakazane, nie śmiałabym! Jak tylko będę mogła, wrócę do pani!

Thorgren wybiegła, Else zaś wskoczyła na szezlong, na którym skuliła się w pozycji klęczącej, z twarzą wciśniętą w obicie.

— To nie ryczą piekielne psy, to nie ryczą lwy ani tygrysy, które chcą mnie zjeść — powiedziała powoli. — To tylko ci z *delirium* z dołu. To tylko ci z *delirium* z dołu.

Och, Boże, nie, wszyscy dostali się do jej głowy. Ale jak to możliwe? Cała dziesiątka!

— Tylko ostrożnie, nie rozsądźcie mi głowy. Będę cicha i grzeczna. Nigdy już nie będę oszukiwać w rachunkach w szkole, już nigdy.

Wtedy zjawił się Tage, też chciał dostać się do jej głowy. Ale nie było dla niego miejsca. O Boże, nie było miejsca! „Słodki mój, uroczy Tage, tylko nie uciekaj... Nie uciekaj”.

— Gdzie jest tatuś? Leży w żółtej trumnie z daszkiem i szybką? Zabili go tymi rykami, pożarli? Knut, Knut, chodź mnie uratować! Chodź mnie uratować! Och, pokaż mi się tylko!

— No, udało mi się ich tam uspokoić. — Thorgren objęła Else, która leżała na szezlongu w tej samej pozycji. — To wrócimy ładnie do łóżka?

Else uniosła głowę, zarzuciła ręce na szyję pielęgniarki i przyciągnęła ją do siebie.

— Nie, nie, proszę usiąść tu ze mną! Nie mam odwagi iść do łóżka.

— Tak. Na chwileczkę.

Siedziały jak poprzednio. Else obejmowała pielęgniarkę w pasie, a głowę trzymała na jej kolanach. Thorgren głaaskała ją w górę i w dół po plecach. Stan na piętrze niżej nie zmieniał się.

Z czasem Thorgren głaaskała ją coraz słabiej, aż całkiem przestała. Zaraz potem jej dłoń zsunęła się ciężko z pleców Else.

Ta poniosła ostrożnie wzrok. Pielęgniarka spała z głową krzywo opartą o krawędź szezlongu.

Dobra, miła Thorgren. Taka była nieporuszona i spokojna. Oczywiście. Inaczej nie nadawałaby się do pracy tutaj. Else położyła głowę i mocniej przyłgnęła do pielęgniarki.

— Knu'ssen! — rozległ się wrzask tuż obok, ochrypli i głuchy.

Pani Kant poderwała się z krzykiem. W jej drzwiach stała pacjentka w połogu ze złożonym prześcieradłem, przypominającym opatrunek na brzuchu.

Thorgren natychmiast się obudziła i wybiegła za chorą.

Wtedy Else weszła z powrotem do łóżka.

I znów wszystkie były w jej głowie, te lwy, tygrysy i wyjące psy. Nie, to ci z *delirium*. Dziesięciu. Pomyśleć, że wszyscy się tam pomieścili. Byle tylko nie rozsadzili jej głowy. Odłamki poleciałyby w różne strony i trudno byłoby je odszukać, gdyby ktoś miał poskładać jej głowę.

Mijał ją orszak żałobny. Ciemne postaci w długich płaszczach, niosące pustą, czarną trumnę. „Dajcie mi się w niej położyć! Zabierzcie mnie stąd, byle daleko!”. Else podniosła się gwałtownie na łóżku i wyciągnęła ręce w stronę trumny. Ale nie było jej tam ani postaci w płaszczach... Nie, oczywiście, leżała przecież w szpitalu — a może wysoko w górach? Nie, była w *szpitalu*.

— Popadasz w szaleństwo — powiedziała Else do siebie, po czym ostrożnie położyła się na poduszce. — Gdy tylko nie ma tu Thorgren, *jesteś* szalona.

Ale lepiej byłoby przecież z tym skończyć. Knut i Tage mieliby żyć z taką hańbą? Nigdy.

Stan jej był beznadziejny. Cztery, pięć, sześć miesięcy. Jeszcze na długo przedtem zdąży oszaleć. A jej cierpienie było tysiąckrotnie gorsze od śmierci.

Mogłaby porwać swoją chusteczkę na paski, związać je i się nimi udusić.

Oj, oj! W jej głowie zapiał kogut. Nie, nie, przecież to ci z *delirium*.

Gdyby miała teraz umrzeć... Wydostać się spod panowania Hieronimusa. Myśl przynosiła jej pocieszenie.

Ale nawet jeśliby umarła, ten zakład przetrwa. Wielu ludzi w tym samym stanie co ona będzie może przychodzić tutaj i stykać się z ordynatorem. Jeśli Else ujdzie stąd z życiem, mogłaby opowiedzieć, ostrzec, a może i uratować chociaż jedną osobę przed tym, co sama przeżyła.

Nie, *musiała* żyć.

Ale cóż to, znowu wracają; ujadające piekielne psy, syczące tygrysy, wyjące wilki, wszystkie chciały dostać się do jej głowy.

„Nie zostaje ci nic innego. *Musisz* umrzeć”. Z gorączkową mocą podarła chusteczkę na strzępy, związała ze sobą ich końce i owinęła sobie szyję.

Wtedy zjawiała się u niej Thorgren.

— Już prawie rano — powiedziała i pogłaskała Else po włosach.

Rano. Było w tym słowie dawne wspomnienie nadziei. I do tego ta dobra, ufna twarz Thorgren.

Else była uratowana.

## XVIII

Rankiem przyszedł zastępca ordynatora. Else leżała nieruchomo. Głowę miała rozpaloną, ale poza tym czuła się, jakby całe jej ciało było martwe, z wyjątkiem chwil, gdy łapały ją skurcze u góry piersi, przez które gwałtownie się wzdrygała.

— Widzę, że dziś nie ma się pani dobrze, pani Kant — powiedział cicho lekarz.

Else szybko otworzyła oczy i popatrzyła na niego przerażona.

— Och, nie, nie! Nie znam pana! Co pan tu robi? — zawołała i błyskawicznie zasłoniła rękami oczy.

— Jasne, że mnie pani zna. Jestem zastępcą ordynatora, z którym zawsze tak chętnie pani rozmawia.

— Tak. Ale tak bardzo się boję. Przez ten lęk nie myślę rozsądnie.

Wydobyła z siebie stłumiony krzyk i znowu zakryła oczy.

— Co tu się wydarzyło? — zapytał lekarz. — Nie była taka wcześniej.

— Tamci z dołu mocno szaleli w nocy — odparła panna Stenberg, do której skierowane było pytanie. — A ona przecież nigdy nie śpi.

— Niedobrze dziś z panią Kant.

Else z trudem rozchyliła powieki i zobaczyła stażystę o gładkiej twarzy, stojącego w drzwiach i rozmawiającego z panną Ræder. Podkręcał cienkiego wąsa, a zadowolony uśmiech, który widziała już wcześniej, rozlewał się od ucha do ucha.

— Pójdę z nią teraz porozmawiać — powiedział.

Else tak mocno odwróciła się całym ciałem ku ścianie, że metalowe łóżko zatrzeszczało i stażysta odszedł z kwitkiem.

— Miarka się przebrała — powiedziała Else pod nosem. — Dzisiaj to musi się skończyć. Ani rozgniewani bogowie, ani zmartwieni ludzie, ani urażone anioły, ani złośliwe diabły nie mogą żądać więcej. Nawet pan Hieronimus musi uznać, że to dość. Boże mój drogi w niebiesiech, *co* takiego złego zrobiłam? I co takiego naopowiadali Knutowi, że nie próbuje dostać się do mnie, choćby i z bronią w rękę?!

Dziś jednak nastąpi koniec. Przecież w dzisiejszych czasach nikt nie *chce* zguby drugiego człowieka, a już na pewno nie w tak brutalny sposób i pod pozorem dobroci i pożyteczności. A zresztą Hieronimus nie był jej wrogiem. Bawił go tylko widok śmiertelnego przerażenia myszy, ściskanej i zagryzanej przez kota.

Else nabrała odwagi i nadziei. Pokonanie kryzysu ostatniej nocy dodało jej sił.

Samobójstwo, Wolność

Obowiązek,  
Odpowiedzialność, Konflikt  
wewnętrzny, Samobójstwo

Bunt

— Bez strawy i wina nawet u bohatera nietęga mina — powiedziała panna Ræder, gdy przyniosła tacę ze śniadaniem. — Musimy żyć, musimy się radować, więc proszę, ciepły kotlet i pyszne kanapki dla pani.

— Tak, proszę jeść — dodała panna Stenberg. — Zrobię jak wtedy w celi.

Z uśmiechem złapała Else pod ramiona i posadziła ją na łóżku.

— Tak, zjem — odparła pani Kant i wzięła tacę. — Ale niech pani posłucha, panno Stenberg, bo znaczy pani dla mnie więcej, niż pani się zdaje. Czy nie zeszłaby pani zaraz do profesora i nie powiedziała mu, że nie chcę już tutaj być? *Że żądam i wymagam* odesłania do domu albo przynajmniej rozmowy z mężem. Tej nocy walczyłam, żeby nie popaść w obłęd... Nie wie pani, co przeszłam.

— Tak — rzekła panna Stenberg. — Może w ogóle nie powinna tu pani była przychodzić. Ale ja na tym się nie znam — dodała przerażona.

— Proszę pójść mu to powiedzieć. *Że żądam i wymagam* odesłania do domu.

— Tak — odparła. — Już idę.

Else czekała z ufnością, radością niemal. Jej wiedza na temat stanu rzeczy i własny jego osąd dodawały jej otuchy.

Jak poprzednim razem, gdy panna Stenberg poszła na dół zapytać o możliwość wizyty u dentysty, wróciła zasmucona, z podkulonym ogonem.

Profesor nie odpowiedział ani słowem.

— Proszę o tym nie myśleć, pani Kant. Nie ma sensu.

Else zagotowała się z gniewu. Kim był ten podły Hieronimus? Co myślał, czego chciał? Ale istniały też inne sposoby. Zastępca ordynatora. On był przynajmniej człowiekiem.

— Mogłaby może poprosić pani zastępcę ordynatora, by do mnie przyszedł? — zapytała Else pannę Ræder parę godzin później.

I owszem. Zastępca ordynatora był właśnie na spokojnym korytarzu. Miała przekazać mu prośbę.

Zaraz potem lekarz stanął przy łóżku Else, jak zawsze opanowany i wzbudzający zaufanie.

— Dziś rano, gdy pan tutaj był, nie myślałam trzeźwo — powiedziała. — Niczego nie pamiętałam i nie rozpoznawałam pana... Nawet pana. Ale teraz proszę jako człowiek w *skrajnej* potrzebie, aby odszukał pan mojego męża, jedyne go człowieka, na którym mogę polegać, i powiedział mu, jak ze mną jest. Zrobi to pan?

Zastępca ordynatora skinął głową.

— Niech mu pan powie — ciągnęła Else, siedząc prosto na łóżku i trzymając dłoń lekarza — niech mu pan powie, że przebywam w celi wśród obłąkanych i że żyję w piekle, które najzdrowszego człowieka doprowadziłoby do szaleństwa. Zrobi to pan?

— Tak, proszę pani. Powiem mu to, jak tylko go zobaczę.

— Nie, musi pan pójść do naszego domu! Słyszysz pan? To konieczne! Przecież długo może potrwać, zanim spotka go pan przypadkiem.

— Tak. Zrobię dla pani, co w mojej mocy.

Lekarz uścisnął dłoń Else i wyszedł.

Dzięki Bogu. Dzięki Bogu. Zastępca ordynatora robi, co w jego mocy. Z pewnością! On wszystko rozumiał. I choć oficjalnie nie wolno mu było mieszać się w sprawy Hieronimusa, na pewno powiedział sobie, że potrzeba stoi ponad wszelkim prawem. Dzięki Bogu! Dzięki Bogu!

Chciała wstać i wyjść na korytarz, odwiedzić chore. Nadzieja umiera ostatnia. Dzisiaj zastępca ordynatora pójdzie do Knuta, a on natychmiast przyjdzie i ją wyzwoli.

— Miła pani Kant, jaką ma dziś pani werwę. — Madonna-Hansen wpadła zabiegana, kiedy Else siedziała na brzegu łóżka i wciągała pończochy. — Brakuje mi pani, bo jednak jest pani ode mnie dalej. Ale co to? — W jej tonie zabrzmiało współczucie. — Używa pani sznurka zamiast podwiązek?

— Tak, bo wszystkie moje rzeczy odesłano do domu. Wszystkie. Również mój futrzany szal. Chodzę po korytarzu i marzę w samym szlafroku. Boże, na futrzanym szalu bym się przecież nie powiesiła.

— No, no! — Madonna-Hansen pogroziła jej palcem, ale w jej dużych oczach pojawił się uśmiech. Następnie prędko zdjęła z siebie dzierganą, wełnianą kamizelkę. — Proszę ją pożyczyć, jest ciepła.

Lekarz

— Dziękuję. Ale wtedy to pani zmarznie.

— Nie zmarzę. Mam inne rzeczy. Ale teraz muszę już iść. Do zobaczenia, miła pani Kant.

Wybiegając, skinęła głową do Else, która posłała jej pełne wdzięczności spojrzenie.

## XIX

Else chodziła tam i z powrotem po swojej sali. Przez otwarte drzwi ujrzała hrabinę — wysoką i wytworną w czarnej sukni z delikatnej wełny, ze wstawkami z czarnej koronki — która stała ze skrzyżowanymi rękami w drzwiach na korytarz z celami. Else wielokrotnie z nią rozmawiała, a jej pogodne, ciche usposobienie działało na nią krzepiąco. Dziś jednak Else drżała z napięcia tak bardzo, że wołała być sama. Zastępca ordynatora obiecał przecież, że porozmawia z Knutem.

Biedna hrabina! Else nie potrafiła pojąć, jak mogło braknąć jej rozumu. Choć z początku tak właśnie o niej myślała. Historia opowiadana przez hrabinę wydawała jej się niemożliwa. Podstępem i przemocą została zwabiona do szpitala przez Hieronimusa i jednego krewniaka, a tu nagle dowiedziała się, że zatrzymano ją jako umyslowo chorą i że ma zostać w łóżku. Nie widziała ku temu innego powodu niż ten, że rodzina jej nie lubiła, bo była głęboko wierząca i przysposobiła dwoje małych dzieci rybaka, w testamencie zaś zapisała im sporą część swojego majątku. Do tego pistolet, o którym mówiła Thorgren. Hrabina posiadała go bez kłopotów od dwudziestu dwóch lat. I jeszcze biały proszek w pudelku, który uznano za truciznę, choć był tylko zwykłym pudrem. Do tego przez pewien okres w życiu spała w nocy przy zapalonym świetle i zarzucano jej strach przed anarchistami.

Tak, historia brzmiała dziwnie. A Else częściowo miała ją za wymysł. Ale z jej rozmów z pielęgniarkami nie wynikało, żeby istniały inne podstawy niż te wspomniane przez hrabinę, by podejrzewać ją o szaleństwo, przez które została zamknięta.

— Przyjdź ze mną trochę posiedzieć. Dobrze?

Else, która szła właśnie do okna, prędko się odwróciła. W drzwiach stała hrabina. Miała cierpienie wypisane na twarzy; niebieskie, łagodne oczy. Brązowe włosy układały się w lekkie fale nad białym czołem, zakrywając skronie aż do uszu.

Odprowadzono je do przestronnej sali obok pokoju Else. Przygotowano ją dla hrabiny i znajdowały się tu dwa łóżka, a między wysokimi oknami z firanką we wzór przypominający metalowe kraty stała kanapa z wytartym, czarnym, adamaszkowym obiciem. Były tam ponadto stół i stary fotel.

— Co tak właściwie myśli pani o profesorze? — zapytała hrabina, gdy zajęły miejsce.

— Nic — odparła Else smutno. — Nie rozumiem go.

— Ale przecież musi dać się przekonać. Prawda? Musi przecież zauważyć, że moja choroba umysłowa to czysty wymysł.

— Można by tak sądzić. Ale Bóg jeden wie.

— *Musi* dać się przekonać! Przekona go moc słowa bożego!

— Naprawdę może z nim pani rozmawiać? *Ja* nie potrafię.

— Ach, oczywiście! — zawołała hrabina. — Ja mu ufam. Żaden z niego gorliwy chrześcijanin, ale uczciwy człowiek. Tak myślę i *muszę* w to wierzyć. — Ścisnęła dłońe i zwróciła oczy ku górze. — Ach, gdybym tylko miała swoją *Biblię*.

— Nie może pani o nią poprosić?

— Rozumie pani, była to pierwsza rzecz, o którą poprosiłam, ale jej nie dostałam. Czy pani też chciałaby mieć *Biblię*?

— Och, nie wiem — odparła Else, a z jej piersi dobyło się przytłaczające westchnienie.

— Chyba wierzy pani w Boga?

Pani Kant skinęła głową.

— I w Jezusa Chrystusa?

Else znowu przytaknęła. Uważała, że to nie czas i miejsce, by wyjaśniać swój brak wiary. Poza tym nie chciała zranić tej poczciwej kobiety.

Rodzina, Podstęp,  
Pobożność, Testament,  
Pieniądz

Książka

Wiara, Modlitwa,  
Kłamstwo

— A więc pomódlmy się razem. „Gdzie są dwaj lub trzej zgromadzeni w imię moje, tam jestem pośród nich”<sup>20</sup>. Pomódlmy się za to, by opuścił panią ból zęba. Pomódlmy się razem. Ach, słyszałam dziś w nocy, jak pani jęczała. I tych z *delirium*! A jednak spałam, nie całą noc, ale trochę.

— Ma pani szczęście, że może spać — rzekła Else.

— To woła Boga. Co wieczór kładę się w ramiona Chrystusa, który zbawia mnie ode złego. Pani też powinna.

— Tak — westchnęła Else.

— Nie obiecano pani jeszcze spotkania z mężem?

— Nie, ale dzisiaj zastępca ordynatora przyrzekł z nim porozmawiać. Jak tylko mój mąż wszystkiego się dowie, natychmiast przyjdzie.

Else czuła, jak nadzieja sączy się przez nią ciepłym strumieniem.

— Tak, to dziwne, że jest pani tutaj — powiedziała hrabina z zastanowieniem. — Przecież to miejsce dla obłąkanych i przestępców. Poza tym nie pojmuję, jak może pani chodzić po korytarzu z celami. Stałam dziś chwilę w drzwiach i strasznie cierpiałam, patrząc na nie.

— To rodzaj rozrywki — odparła Else. — Wszystkie tam mnie znają, niektóre uśmiechają się na mój widok.

— Nie rozumiem! — zawołała nagle hrabina i złożyła dłonie. — Ja, która nigdy w życiu nie byłam odrobinę nerwowa. A mój lekarz... Poprosiłam o wizytę mojego lekarza, ale mi odmówiono. Rozumie pani? Tak, gdybym nie miała Boga, od samych rozmyślań popadłabym w obłąd. Ale Bóg dodaje mi sił.

\*

Po południu Else chodziła po korytarzu z celami. Babcia siedziała skulona na swoim stałym miejscu przy kratce grzejnika, a młoda dziewczyna z ciężką głową chowała się za drzwiami i spoglądała nieśmiało na Else, która spacerowała powoli tam i z powrotem z rękami na plecach. Pozostałe pacjentki leżały w łózkach.

Było wpół do piątej, jak powiedziała Suenson. Knut mógł więc jeszcze po nią przyjść. Swojego pierwszego dnia tutaj zjawiała się o szóstej. Jeżeli można było tu przyjść o godzinie szóstej, można też było przed tą godziną wyjść.

Nagle Else usłyszała za sobą prędkie, męskie kroki. Szybko się odwróciła. Z napięcia przeszył ją zimny dreszcz.

Podszedł do niej zastępca ordynatora.

— Mam przekazać pozdrowienia od pani męża — powiedział, a głos jego nie był tak cichy i powolny jak zwykle, mówił jakby pośpieszniej.

Else nie potrafiła wydobyć słowa. Oczy paliły ją i patrzyły pytająco.

— Miałem szczęście, że spotkałem go tu na dziedzińcu.

— Co powiedział? — rzuciła bez tchu.

— No, mają się znakomicie, on i mały.

— Nie chce mnie stąd zabrać?

— Nie — odparł zastępca ordynatora, a w jego spojrzeniu pojawiła się niechęć mieszaną z zaskoczeniem.

— To nie powiedział mu pan, jak ze mną jest?

— Powiedziałem, że jest pani dość mocno chora.

— I nie chciał się ze mną zobaczyć? Nic nie chciał zrobić?

Lekarz ponownie odpowiedział przecząco, z tym samym niechętnym i zaskoczonym spojrzeniem.

— A więc nie przekazał pan wiadomości! — zawołała Else, a jej głos wyrażał oskarżycielską, oburzoną rozpacz.

— Zupełnie nie rozumiem, co ma pani na myśli — rzekł zastępca ordynatora z wyrzutem i irytacją w głosie. — A czego spodziewa się pani po mężu? Nie *mógł* przecież trzymać pani w domu. Na Boga, wszak to ostatnia rzecz, na jaką można się zdecydować:

Lekarz, Mąż,  
Rozczarowanie, Rozpacz

<sup>20</sup>Gdzie są dwaj lub trzej zgromadzeni w imię moje, tam jestem pośród nich — Mt 18, 20, cytaty za *Biblią Warszawską*. [przypis edytorski]

wysłać żonę na szósty oddział. Pani mąż oddał sprawę w dobre ręce profesora i może teraz tylko czekać.

Else stała wpatrzona przed siebie. Czula się, jakby coraz bardziej się zapadała, a podczas tego zapadania jej dusza zmieniała się w kamień, jej ciało zmieniało się w kamień.

— Nie pojmuję, z czego jest pani taka niezadowolona — ciągnął zastępca ordynatora z rozdrażnieniem. — Niech pani spojrzy na innych. — Omiótł spojrzeniem zawsze wesołą i gawędzącą babcię. — Jest tutaj pani dobrze. Czego innego mogłaby pani żądać? Cały czas czekałem, aż się pani tu uspokoi, bo przecież wszyscy chcemy pani dobra. Lecz nie wygląda, by to miało nastąpić.

Odwrócił się na pięcie i prędko opuścił korytarz.

Dopiero wtedy Else *w pełni* zdała sobie sprawę ze stanu rzeczy.

## XX

Else opadła na krzesło przy złotym stole. Jej dłonie leżały bezwładnie na kolanach, czuła też, jak zimny pot występuje jej na nos i czoło. Miała wrażenie, jakby otaczała ją nieskończone pustkowia, którego straszliwa martwota z szumem przenikała do jej umysłu, wnikała jej w ciało — bez ustanku szemrząc i pragnąc ją unicestwić, uczynić częścią nagiej nicości tego przerażającego pustkowiecia.

„A jednak musisz umrzeć”, odezwał się w niej cichy głos. „Tej nocy”. Podartą chusteczkę włożyła wcześniej do poszewki poduszki. Dzięki Bogu nie wyrzuciła jej do klozetu, co rozważała.

— Proszę okryć głowę, pani Kant. — Minęła ją panna Stenberg. — Teraz, podczas wietrzeń. Proszę pamiętać o bólu zęba.

Else wróciła do swojej sali. Siedziała tam w fotelu przy oknie, cicho, wpatrzona przed siebie, aż panna Ræder przyniosła jej o siódmej kolację.

Jutro o tej porze jej sala będzie już pusta. Ciało należało wywieźć najpóźniej sześć godzin po śmierci. Ciekawe, dokąd ją wezmą — do domu? Nie, w szpitalu mieli przecież kostnicę, gdzie kładziono zmarłych. Wyobraziła sobie siebie na długiej, drewnianej pryczy, tuż obok innych ciał. Ciekawe, czy kostnica była wspólna dla kobiet i mężczyzn? Cóż, jaka to różnica... Wobec śmierci wszyscy są równi.

A potem przyszedł po nią Knut z trumną.

Zatem opuszczenie tego miejsca miało kosztować ją życie. No cóż, nie była to najwyższa cena. *Nie istniała* zbyt wysoka cena za to, by się stąd wydostać.

Knut, którego już nigdy nie miała ujrzeć. A więc to ostatni raz pożegnał się z nią i pocałował ją wtedy na schodach. „Och, Knut, Knut — taki byłeś dla mnie dobry!”

Tage, mały Tage; serce kłuło ją, a ból ścisnął w piersi. „Już nigdy. Już nigdy nie ujrzeć twej jasnej, kędzierzawej główki”.

Ale, dzięki Bogu, był za mały, żeby odczuwać żal. Będzie czasem o niej wspominał, a potem na zawsze zapomni.

Gdyby tak umieć wierzyć w życie wieczne, w ponowne spotkanie z bliskimi po śmierci. Przez całą wieczność czekałaby cierpliwie, jeśli by była pewna, że kiedyś znów weźmie dziecko w ramiona.

Pokrzepiającym w tej chwili byłoby umieć wierzyć tak jak hrabina. Potrafiłaby też pewnie wtedy płakać. Och, jak dobrze byłoby móc ronić łzy.

Ale czy nie dałoby się wyobrazić sobie, że wierzy, przyłgnąć do wspaniałych słów Chrystusa: „W domu Ojca mego wiele jest mieszkań, idę przygotować wam miejsce”<sup>21</sup>?

Złożyła ręce i usiłowała się modlić, ale bez skutku.

Nagle wstała i poszła do hrabiny, która właśnie skończyła kolację.

— Czy dostała pani dobrą odpowiedź od zastępcy ordynatora? — zapytała hrabina, serdecznie wychodząc Else naprzeciw.

— Odpowiedź... Zastępcy ordynatora? — zdziwiła się.

— Przecież obiecał porozmawiać z pani mężem.

Nagle sobie przypomniała.

— Nie — odparła i w milczeniu pokręciła głową.

Samotność, Klęska

Samobójstwo

Śmierć, Trup, Wolność

Religia, Wiara, Modlitwa

<sup>21</sup> *W domu Ojca mego wiele jest mieszkań, idę przygotować wam miejsce* — J, 14, 2, cytata za Biblią Warszawską. [przypis edytorski]

— Proszę nie tracić rezonu. — Hrabina położyła obie dłonie na ramionach Else i spojrzała jej czule w oczy. — I pamiętać, że Jezus kocha panią, jest blisko pani. Nie wolno pani rozpaczać — ciągnęła, gdy pani Kant nie odpowiedziała. — Będę się za panią modlić. Chrześcijanin nigdy nie rozpacza. Proszę mi obiecać, że nie będzie pani rozpaczać, dobrze?

Ucałowała Else w oba policzki.

Na korytarzu z celami rozległ się tumult, zdecydowane i miarowe kroki, jakby ludzi przynoszących coś ciężkiego, oraz inne, lżejsze i szybsze.

— Może to nowa pacjentka? — zapytała hrabina.

Else skinęła nieuważnie głową.

Zaraz potem dotarł do nich silny smród karbolu<sup>22</sup>.

— Że też człowiek nie może zamykać tu drzwi! — zawołała hrabina i przytknęła chusteczkę do nosa.

Gdy pani Kant od niej wyszła, przez otwarte drzwi na korytarz z celami zobaczyła pielęgniarkę i któregoś stażystę, biegnących przed siebie. Odruchowo poszła w tę stronę.

W ostatniej celi, tej samej, którą wcześniej zajmowała hrabina, w łóżku z wysokim zagłówkiem leżała głucho rżęząca kobieta, której pierś to unosiła się, to opadała. Pod kocem, który sięgał jej do podbródka i luźno zwisał z łóżka po bokach, widać było zarys sztywno wyciągniętego ciała. Szeroka kwadratowa twarz miała barwę ołowiu, pod oczami zaś widniały sine cienie, a ciemne, krótko obcięte włosy przyklejały się do czoła i uszu. Pielęgniarka i stażysta pochylali się nad rżęzącą kobietą.

Lekarz uniósł jej jedną powiekę i palcem wskazującym dotknął źrenicy.

— Koniec z nią — powiedział i wyjął niewielką strzykawkę.

Pielęgniarka odsunęła koc na ramieniu, po czym stażysta zrobił kobiecie zastrzyk.

— Proszę co pół godziny podawać jej do ust kawałek lodu — powiedział i wyszedł.

— Co z nią? — zapytała Else.

— Napila się fenolu<sup>23</sup> — odparła pielęgniarka. — To żona robotnika. Pomyśleć, że zostawiła sześcioro małych dzieci. Tak nieszczęśliwie żyli, mąż się nad nią znęcał. Dzisiaj ugotowała obiad, a kiedy mąż wrócił i jak zwykle wszczął awanturę, poszła do kuchni z tymi słowami: „Już nigdy mnie nie zobaczysz”.

— Biedna kobieta — wzdrygnęła się Else.

— Mąż tylko zaśmiał się i odpowiedział, że tak często to powtarza. Ale zaraz potem usłyszał, jak padła ze strasznym jękiem. Biedne dzieci! Rzuciły się z krzykiem na matkę i nie chciały jej puścić, kiedy miała zostać zabrana.

— Myśli pani, że ona umrze?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami, z rezerwą na twarzy.

Else weszła do celi i przyglądała się samobójczyni, która leżała jak przedtem, bez przerw rżęząc, a niebieskawa piana sączyła się z jej szerokich ust. Pierś unosiła się i opadała, czasem mocno nią wstrząsało.

Pani Kant, choć dokuczał jej strach i smród karbolu, nie potrafiła oderwać oczu od charczącej kobiety. Zapomniała o własnej niedoli i czuła tylko jedno, że stoi przed nieodwołalną częścią życia: śmiercią. Śmiercią z własnej ręki. I choćby świat się zawalił, choćby i tysiąc ludzi oddało życie, by ją odkupić, nic nie mogło przywrócić tego człowieka do żywych. Nieodwołalna — na zawsze. Śmierć, śmierć z własnej ręki. Tak właśnie wyglądała.

Nagle zaskoczyło ją, gdy zrozumiała, że odczuwa nie tylko współczucie, ale i odrazę. Przede wszystkim odrazę. Wobec tej kobiety, która tchórzliwie uciekła od swoich cierpień i obowiązków. Tak okrutnie, jak niewierna zawiodła swe dzieci. Biedne maleństwa, które przywarły do matki i nie chciały jej puścić.

Obraz ten dotknął Else do żywego i z oczu popłynęły jej łzy. Och, jaką przyniosły jej ulgę. Kamień jej wnętrza skruszył się i odpłynął wraz z tymi łzami. I tutaj, przed tą rżęzącą samobójczynią o ołowianoszarej twarzy, z niebieskawą pianą na ustach, przyrzekła, że nie odbierze sobie życia. Choćby miała być tutaj zamknięta do końca swych dni.

— Proszę już dłużej tu nie stać. To dla pani nic dobrego.

<sup>22</sup>karbol — roztwór wodny fenolu, używany jako środek odkażający. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>fenol — trująca substancja bakteriobójcza. [przypis edytorski]

Panna Stenberg dotknęła ramienia Else i wyprowadziła ją z celi.

## XXI

— Przychodzę się z panią pożegnać — powiedziała Thorgren, gdy Else poszła później do łóżka. — Powiadomiono nas, że drzwi na korytarz z celami będą w nocy zamknięte. Hrabina i pani dostaną własną pielęgniarkę na noc. A oto i ona! Panna Bøhn.

— Dobry wieczór, pani Kant.

Wysoka, szczupła kobieta o śniadej, miłej, ale surowej twarzy nauczycielki podała jej dłoń.

— To nietrudne i przyjemne miejsce. — Thorgren usiadła na szeszlengu pochyłona, z rękami złożonymi na kolanach. — Proszę mi pokazać, jaka jest pani dobra dla pani Kant. — Skinęła ze śmiechem głową. — O niczym innym nie chcę słyszeć. To moja wyjątkowa pacjentka, musi to pani wiedzieć.

— Myślę, że się dogadamy — powiedziała panna Bøhn z ładnym uśmiechem i uściśnęła serdecznie dłoń Else. — A teraz przyniosę pani chloral.

— Och, jeszcze ten chloral. Gdybym tylko nie musiała go przyjmować!

— Tutaj zachowujemy się grzecznie — Thorgren znów się zaśmiała.

— Co z nią? — zapytała Else i wskazała na ścianę za jej łóżkiem, przylegającą do celi samobójczyni.

— Niedługo koniec — odparła pielęgniarka, stale patrząc z uśmiechem na panią Kant.

— Zostanie tu na noc?

— Tak, do jutra. Trzeba ją umyć i przygotować. To będzie zajęcie moje i panny Sunson.

— Boi się pani? — zapytała Else, wzdrygając się.

— Nie. Jesteśmy do tego przyzwyczajone. To znaczy, kiedy ciało jest mocno zabrudzone, bywa trochę nieapetycznie. Zdarza się, że nogi nie wyglądają przyjemnie. Ale teraz już dobrej nocy, miła pani Kant. Proszę być grzeczną dziewczynką.

— Słyszę, jak tam rzezi — powiedziała Else do panny Bøhn, kiedy ta przyniosła chloral.

Pielęgniarka chwilę nasłuchiwała.

— Nie.

Pokręciła głową.

— Tak. Słuchać, gdy jestem sama.

— Chyba się pani myli.

— Dziś wieczór jest tutaj ciemniej niż zwykle — zauważyła Else.

— Tak. Celowo przykręciłam lampę. Pomyślałam, że może łatwiej będzie wtedy pani zasnąć. Ale może chciałaby pani, żebym ją włączyła?

— Nie, dziękuję. Niech mi pani da spróbować. Dobranoc.

Uch, ten zapach karbolu, którego Else nie mogła pozbyć się z nozdrzy. Zapach karbolu i samobójstwo, samobójstwo i zapach karbolu — zlewały się w jej wyobraźni w jedno.

Dziwnie układało się na tym świecie.

Leżała tuż obok obcej samobójczyni. Kto by to przewidział czternaście dni temu? Ale gdyby tego wieczoru do tamtej celi przyszła inna pacjentka, to Else byłaby samobójczynią, a tamta leżałaby obok niej, czując może ten sam strach i tę samą odrazę, co ona teraz. Te życiowe przypadki, które decydują o wszystkim. Samobójczyni uratowała ją przed samobójstwem. Przeniknęło ją zmieszane z lękiem poczucie wdzięczności, po czym wetknęła rękę pod poszewkę poduszki, by się upewnić, że leży tam jej podarta na strzępy chusteczka. Leżała. Dzięki Bogu, że panna Ræder jej nie znalazła, gdy rano ścieliła łóżko. Jutro musi się jej pozbyć, bo pojutrze znowu zmieniano pościel.

Ciekawe, jak daleko postąpiła ta walka ze śmiercią? Uniosła głowę, przytknęła ucho do ściany i nasłuchiwała. Niczego nie było słychać.

Ale w tej samej chwili, gdy chciała położyć głowę, zabrzmiało coś jakby zawrozdzenie zardzewiałej pompy. Czy to stamtąd? Else miała wrażenie, że dźwięk rozległ się tuż za nią, zaraz koło jej szyi. Chciała zawołać pannę Bøhn, ale nie dała rady wydobyć głosu. Lęk wkuwał się drobnymi igiełkami w bębenki jej uszu.

Los



Trzymała głowę w tej samej pozycji, uniesioną nad poduszką; jej szyja jakby spoczywała na niewidzialnej podpórce.

Wtedy usłyszała przeciągły gulgot. Zmusiła się, by oderwać szyję od podpórki, odwróciła głowę i wyjrzała na korytarz. Krzesło było puste. Else ostrożnie położyła głowę na poduszce.

Jak cicho było tego wieczoru. Żadnych dźwięków z korytarza z celami, cisza u tych z *delirium* na dole. Jakby wszyscy wiedzieli, że śmierć przyszła z wizytą.

Pani Kant zamknęła oczy i złożyła ręce na piersi. Ogarnęła ją przytłaczająca powaga i bezgłośnie wciągnęła powietrze.

Wtem samobójczyni zjawiała się na kocu obok niej. Słyszała jej charczące rżenie, wyczuwała bliskość ołowianej twarzy z siną pianą w kącikach ust, nozdrza wypełnił jej zapach karbolu.

Prędko usiadła i zdezorientowana wpatrywała się w koc koło siebie. Nikogo tam nie było. Przycisnęła dłonie do oczu, próbując się pozbiierać. Po chwili wezwała stłumionym głosem pannę Bøhn, która zaraz po cichu do niej weszła.

— Co z nią? — zapytała Else szeptem.

— Nie żyje.

— Kiedy umarła?

— Przed kwadransem.

— Skąd to pani wie?

— Poszłam do niej zajrzeć.

— Proszę posłuchać, coś tam mówi!

Else chwyciła dłoń panny Bøhn tak prędkim ruchem, że aż nią szarpnęło.

— To Suenson i Thorgren, które mają obmyć ciało. — Pielęgniarka objęła wolną ręką kark pani Kant i oparła sobie jej głowę o pierś. — Chyba się pani nie boi?

— Owszem — szepnęła Else, kurczowo ściskając jej dłoń.

— Ale czego?

— Nie wiem. Proszę ze mną zostać. Niech pani przyciągnie krzesło do łóżka i posiedzi tutaj.

— To zabronione, pani Kant. Muszę siedzieć na korytarzu. Proszę pamiętać, że nadzoruję też hrabinę.

— Ona śpi.

— Wcale nie. Właśnie tam byłam, siedziała na łóżku.

— Nie *wolno* pani odejść! Niech pani zostanie!

Else objęła ją w pasie i przywarła do niej.

— Boże drogi, gdybym tylko mogła. Tak bym chciała, bo widzę, jak się pani boi. Ale proszę zachować spokój. Przecież rozsądna z pani kobieta, tak mówią inni.

— Tak, tak — powiedziała Else z wymuszonym westchnięciem.

Puściła pannę Bøhn i położyła się z powrotem na łóżku.

— Nieważne, kiedy mnie pani zawoła, od razu przyjdę. Natychmiast panią usłyszę. — Pielęgniarka otuliła ją kocami. — Najlepiej będzie, jak podkręcę nieco gaz w lampie.

Else jeła nasłuchiwać dochodzących z celi głosów Thorgren i Suenson. Parę razy zdało się jej, że słyszy stłumiony śmiech Thorgren. Później dobiegł ją szum płynącej wody, a następnie dźwięk jakby szczotek.

Kiedy zastępca ordynatora miał obchód, mówił do Else żartobliwie i jeszcze serdeczniej niż zwykle. Ona jednak odpowiadała tylko na najpilniejsze pytania. Wcześniej myślała, że życzliwość lekarza wynika ze zrozumienia jej sytuacji oraz — w konsekwencji — ze współczucia. Od popołudnia wiedziała, że popełniła błąd. Była zdana na samą siebie. Musiała w tej walce ufać wyłącznie własnym siłom, żeby tutaj nie zginąć.

— Ciesz się mnie, że zastałem panią taką spokojną — powiedział na koniec zastępca ordynatora.

Chwilę przyglądał się jej badawczym spojrzeniem, w którym była też odrobina zdziwienia. Wreszcie życzył jej dobrej nocy i wyszedł.

W celi obok było całkiem cicho. A więc skończyły. Zapewne zabrały wełniany koc i przykryły ją prześcieradłem. Zgasiły też pewnie lampę, więc leżała w zupełnym mroku. I zamknęły drzwi celi. Na klucz. Inaczej któraś z chorych mogłaby nagle je otworzyć

Strach, Śmierć

i wbiec do środka. Ciekawe, czy naprawdę zgasiły lampę? Czy zmarłym nie zostawia się zawsze światła?

Biedne płaczące dzieci, które nie chciały zostawić matki. Nie miały już jej, choć o tym nie wiedziały. Ich matka leżała tutaj, w jednej z cel dla obłąkanych, przestępczyni i samobójczyń. Else też tam leżała. A teraz była tuż obok.

Ale nie umarła ani nie *chciała* umierać. Matka małego Tągego jeszcze żyła. Mały Tąge... Na chwilę wybuchła płaczem bez łez. Tak, chciała żyć dla Tągego.

Oczy zamknęły się ze zmęczenia, choć sen był daleko.

Została obok niej samobójczyni, ale już nie rzeźbiła. Cicha i naga pod prześcieradłem leżała na kocu. Else wyraźnie czuła chłodny powiew od jej martwego ciała, a smród karbolu mieszał się z trupim odorem.

Chciała krzyczeć i na siłę otworzyć oczy, ale nie dała rady. Ciało zsunęło się na jej pierś, przyduszało ją. Walczyła, by złapać oddech i móc się poruszyć. Ale nie mogła nawet unieść palca. Zaraz umrze... Zaraz umrze. Och, Boże, jednak umrze, uduszona przez tę obcą samobójczynię. *Już* nie żyła. Tylko w jej głowie, przy samym czubku, istniał jeszcze żywy punkcik. To w nim zebrały się ostatnie resztki jej życiowej energii, to tam tkwił lęk przed śmiercią, wbijając się w czaszkę jak rozżarzony szpikulec.

Wtedy w jej głowie rozległ się trzask, który Else wyraźnie usłyszała. Ostatnim, potwornym wysiłkiem, wydając dźwięk niczym korek wyciągany z butelki, złapała oddech i otworzyła oczy.

Trup zniknął. Chciała wstać i zawołać pannę Bøhn, ale nie potrafiła. Ciało miała jak sparaliżowane. Spróbowało lekko unieść ręce. Dała radę.

I co z tego, że przyszłyby panna Bøhn? Nie śmiałyby powiedzieć jej o halucynacji z samobójczynią. „Wszystko tutaj interpretuje się jako chorobę umysłową”, powiedziała Madonna-Hansen jednego z pierwszych wieczorów, co kazało Else zachować ostrożność.

Oczy znów zamknęły się jej ze zmęczenia, ale prędko je otworzyła. Nie śmiała ich przymykać ze strachu przed powrotem halucynacji. Wreszcie jednak nie mogła wytrzymać. Powieki ciążyły jej i piekły. Pomimo wysiłków zamknęły się.

Zaraz też u jej boku zjawiała się samobójczyni — lodowata, ciężka, pachnąca karbolem i trupem.

— To nadchodzi szaleństwo — powiedziała Else pod nosem.

Następnie z mozołem podniosła się i wezwała pannę Bøhn.

— Proszę podać mi szklankę wody — poprosiła.

Pielęgniarka przyniosła ją, a pani Kant nieco wypiła. Zaczęła wypytywać pannę Bøhn o to i owo, żeby u niej na trochę została. Ta zaś odpowiadała życzliwie, lecz krótko.

— Wie pani, że ma spać — powiedziała, odwracając się i starannie wyglądając poduszkę Else. — Jest dzisiaj zupełnie cicho.

Else zamoczyła rąbek chusteczki w szklance z wodą, którą pielęgniarka zostawiła na stoliku nocnym, po czym przemyła oczy. Może zdoła w ten sposób powstrzymać je przed zamykaniem.

Nie miała jednak odwagi się położyć. Halucynacja mogła ją wtedy łatwiej dopaść. Oparła głowę i ramię o ścianę i z całych sił starała się nie zamykać oczu.

Ale te zmrużyły się po jakimś czasie, a parę chwil później samobójczyni leżała już u jej boku.

Else śpiesznie się wyprostowała, zacisnęła dłonie i skrzywiła się z lęku i bólu.

„Naprawdę ogarnia cię szaleństwo? To wyczerpałaś już siły? Czy umysł doznał gdzieś szwanku czy może zaczął zmieniać się w papkę?”

Gdyby tylko wolno jej było wstać i nieco się przejść; a może panna Bøhn zechciałaby u niej posiedzieć?

Miała wezwać ją i się jej zwierzyć? Pokusa była przez chwilę wielka, ale ją pokonała. Panna Bøhn będzie czuła się zobowiązana powiedzieć o wszystkim profesorowi. Takie sumienne są już te pielęgniarki.

Nie, nie, nie! Chciała walczyć, z całych sił. Póki była przy zdrowych zmysłach. Tylko gdy zamykały jej się powieki, a z tyłu głowy zaczynało się lekko gotować, jedynie  *wtedy* traciła panowanie nad wyobraźnią.

Tak, chciała walczyć, uklęknąć na łóżku, złożyć dłonie i co sił w płucach wołać o pomoc. Zebrać cały swój lęk, wszystkie obawy i strapienia w palący krzyk do samej siebie,

własnego rozsądku, własnej woli, siły fizycznej, która zawsze była duża. I do swych drogich zmarłych. Może by ją usłyszeli? Kto wie? Spirytyści twierdzili przecież, że są obecni wśród nas i że można z nimi rozmawiać. Ale było do tego potrzebne medium. Którego ona nie miała. Zmarli musieliby zrobić dla niej wyjątek, przedłożyć łaskę nad sprawiedliwość... Klęczała pośrodku łóżka ze złożonymi, uniesionymi rękami, oczy miała szeroko otwarte, ciężar i zmęczenie powiek minęły.

Wtedy rozległ się ryk, jakby dzikich zwierząt, i huk, niczym podczas sztormu szalejącego na morzu.

Else na chwilę zesztyniała ze strachu, ale uzmysłowiła sobie, że to pacjenci z *delirium* na dole, i ogarnęło ją coś na kształt ulgi. Spokojnie położyła głowę na poduszce. Niech Bogu będą dzięki za tych z *delirium*! Dopóki będą dokazywali, oczy jej się nie zmrują, a samobójczyni nie wróci.

— Tak — odezwała się panna Bøhn, która stała przed łóżkiem, spoglądając ze zmartwioną miną na Else. — My jesteśmy do tego przyzwyczajone, ale dla pani to musi być straszne.

— Niedługo też do tego przywyknę — odparła z dziwnym uśmiechem i chwyciła dłoń pielęgniarki.

— Zaraz przyjdę trochę u pani posiedzieć — powiedziała panna Bøhn i uwolniła rękę. — Rozumiem, że się pani boi. Ale najpierw muszę zajrzeć do hrabiny, która nie śpi.

\*

— Dzień dobry i gratulacje! — rozległ się głos panny Bøhn.

— Gratulacje? — powtórzyła Else i popatrzyła na nią zdumiona.

— Tak, *zasnęła* pani. Spokojnie pani spała przez godzinę i trzy kwadransy. Pacjenci na dole uspokoili się o czwartej. Kwadrans później już pani spała. A teraz jest szósta. To pierwszy raz, odkąd tu pani jest. Chyba przynoszę pani szczęście.

— Gratulacje — powiedziała panna Stenberg podczas porannego obchodu, po czym poklepała Else po policzku.

— Gratulacje! — Thorgren wkroczyła ze śmiechem i rumianymi policzkami, którym koloru nie mógł chyba odebrać żaden nocny dyżur, a potem serdecznie wyciągnęła do Else obie ręce. — Wreszcie się pani udało!

— Gratulacje — pozdrowiła ją Suenson z promiennym uśmiechem i w ciszy podała jej dłoń.

Przyszły też panna Ræder i Madonna-Hansen, wszystkie uradowane, że pani Kant zasnęła.

„Gratulacje”, pomyślała Else. Żadna z nich nie wiedziała, co znaczy dla niej to słowo. „Czy wszyscy na tym świecie mówimy i działamy po omacku?”

Tak. Po omacku.

Ale we wnętrzu Else dokonywała się zmiana. Tępy spokój opanował jej umysł, melancholijnie poddawała się losowi. Gdyby przez te ostatnie dwie noce nie popadła w szaleństwo, dałaby pewnie radę się uratować. Myśl o samobójstwie była odległa. Potrafiła teraz znieść wszystko, cokolwiek by się wydarzyło. Czuliła się złamana, pokonana, lecz zarazem wzmocniona.

Jak zwykle wstała, żeby umyć się i wyszykować; potem zazwyczaj wracała do łóżka, by spędzić w nim parę godzin. Czuliła się tak wyczerpana, że na niepewnych nogach ledwie sięgała do małej umywalki w kącie. Zasnęła, przed oczami jej poczerniało, więc musiała oprzeć się o ścianę; głowa zaś, mimo wcześniejszego snu, ciążyła jej jak kawał ołowiu.

Zanim wróciła do łóżka, poczłapała na korytarz z celami i zajrzała przez okienko w zamkniętych drzwiach do samobójczyni. Ta leżała na samym materacu z jutowego płótna, owinięta prześcieradłem, ciasno opinającym jej ciało, przez co przypominało długi, niekształtny toból. Brzuch miała tak mocno wzdęty, że Else jedynie widziała zarys czubka głowy pod prześcieradłem.

Poza tym cęła była pusta. Błady promień słońca wpadał przez okno, oświetlając szarozółto wzdęty brzuch.

Sen

Przemiana

## XXII

Mijały dni, mijały noce. Else zachowywała swój tępy spokój, lecz na piersi zalegał jej jakiś ciężar, odbierając oddech. Dostała też bólu głowy, który nigdy jej nie opuszczał. Tkwił w skroniach i łupał tak mocno, że zdawało jej się, iż te w końcu odpadną. A nigdy w życiu nie bolała ją głowa.

Raz, gdy na pytanie Hieronimusa, czy dokucza jej coś poza bólem zęba — który stale się utrzymywał i z powodu którego dwa razy na dobę podawano jej teraz zastrzyki z morfiną — poskarżyła się na ból głowy, by zaraz dodać, że nigdy wcześniej go nie zaznała.

— Hmm — odparł Hieronimus, a na jego cienkich wargach pojawił się uśmiech niedowierzania, na co Else posłała mu spojrzenie pełne pogardy.

Nie pierwszy raz tym swoim szyderyczym „hmm” przypinał jej łątkę kłamczuchy.

Uch, ten Hieronimus!

Na szczęście jego obchody nie były tak regularne jak zastępcy ordynatora. W środy wieczorem nie zjawiał się z powodu swoich wykładów, raz też wyjechał. Else była wdzięczna, gdy nie musiała go widzieć.

Zastępca ordynatora pozostawał jak zawsze serdeczny i jak zawsze żartował, lecz pani Kant nie pozwalała sobie rozmawiać z nim tak jak kiedyś. Uważała to za marnowanie sił, których nie miała już wiele.

— Cóż za stoicki spokój — mawiał czasem lekarz podczas obchodu do panny Stenberg.

Zdarzało się jednak, że znów zauważał „zapalczywość” Else. Jak jednego razu, gdy powiedział, że obiecał pokazać hrabinie, która nigdy nie widziała obrazów pani Kant, reprodukcję jednego z nich.

— Och, niech pan tego nie robi! — zawołała Else, jakby chciała się przed nim obronić; wiedziała przecież, że jej twórczość nie zainteresuje kogoś takiego jak hrabina.

— No wie pani co... Nie musi pani wstydzić się swoich prac — pocieszył ją zastępca ordynatora.

— Doprawdy? — odparła tak drwiącym tonem, że nawet w jej własnych uszach zabrzmiał jak warknięcie.

Najczęściej jednak do zastępcy ordynatora i do Hieronimusa mówiła tylko „nie” i „tak”. Jedyłą pociechą była dla niej niezmienna, a nawet rosnąca życzliwość i troska pielęgniarek.

Za pośrednictwem panny Stenberg zyskała pozwolenie na sporządzenie listy drobiazów, które pierwotnie ze sobą zabrała, a które teraz bez przeszkód mogła odzyskać. Pielęgniarka zaniósła kartkę do profesora, który obiecał natychmiast przesłać ją do domu pani Kant. Od tamtej pory Else czekała cierpliwie, skrycie wierząc, że Knut przemyci do paczki liścik dla niej. Mijał już trzeci dzień.

Około piątej po południu Else poszła się położyć. Bolała ją głowa, bolał ząb; była tak umęczona i wyczerpana, że nie potrafiła usiedzieć prosto. Odkąd spała przez godzinę i trzy kwadransy, co tamtego ranka wywołało radość u pielęgniarek, znów nie mogła zmrużyć oka. Morfina uśmierzała ból głowy i zęba, odsuwała jej cierpienie. Snu jednak nie przynosiła, mimo że wciąż podawano jej chloral.

Else leżała w łóżku na boku, z dłonią pod policzkiem i słuchała panny Ræder, która siedziała na szezlongu ze swoją robótką i opowiadała o dzieciństwie w Jutlandii<sup>24</sup>. Słowa, wypowiedane lekkim, nieco monotonnym, miękkim i przyjemnym głosem, dobiegały uszu Else, jakby płynęły z daleka, a wywoływane przez nie obrazy były mgliste i mętne. Panna Stenberg siedziała na szezlongu obok panny Ræder. Rozmawiały ze sobą, ale Else ich nie słuchała.

Nagle panna Ræder powiedziała:

— Karen, ta, która uciekła?

— Skąd? — zapytała Else.

— Stąd, ze szpitala. Uciekła nam sprzed nosa.

— Myślałam, że nie da się stąd wydostać.

<sup>24</sup>Jutlandia a. Półwysep Jutlandzki — półwysep w płn. Europie, administracyjnie należący do Danii i Niemiec. [przypis edytorski]

Cierpienie

Sen

Ucieczka

— A jednak. Zdarza się. — Panna Stenberg się zaśmiała. — Ta Karen była taka przebiegła. Umiała się przypodobać, więc pozwoliłam jej pomagać mi w porannym sprzątanu. W ten sposób zyskała też dostęp do kuchni. Wykorzystała moment, gdy była sama, i ukradła klucz na kuchenne schody, który wisiał tam na gwoździu. I tyle było ją widać.

— Ale jak zeszła schodami, co wtedy? — zapytała Else z zaciekawieniem.

— Wystarczyło przejść przez dziedziniec, a potem przez furtkę na ulicę.

— To furtka była otwarta?

— Tak. Zawsze jest otwarta.

— A klucz wisiał w kuchni?

— Tak. Ale już nie wisi. Musi to pani wiedzieć, pani Kant, gdyby myślała pani o ucieczce.

Panna Stenberg znów się zaśmiała i pogroziła jej palcem.

O tym właśnie pomyślała Else. Myśl przeleciała jej przez głowę jak podmuch lęku i nadziei.

— Mamy obchód.

Panna Stenberg nagle wstała i podeszła do wezgłowia łóżka. Panna Ræder odłożyła robótkę i też się podniosła.

Do środka wkroczył Hieronimus i zajął miejsce na krześle przy stoliku nocnym.

— Profesor przesłał moją listę do domu? — zapytała Else, odpowiedziawszy na kilka zwyczajnych pytań.

— Taak... Wiele dni temu.

— Nie pojmuję — odparła. — Panna Stenberg mówi, że nic nie przyszło.

— Zgadza się — potwierdziła pielęgniarka. — Niczego nie odebrałam.

— To doprawdy niepojęte — ciągnęła Else. — Lista *na pewno* nie trafiła do mojego męża; w przeciwnym razie natychmiast przysłałby, o co poprosiłam.

— Ale *ja* powiedziałem, że nie ma pośpiechu — rzekł powoli i zadowoleniem Hieronimus.

— A więc to profesor! — zawołała pani Kant ze złością. — Może i nie ma pośpiechu, tyle tylko, że codziennie marznę z braku ubrań, o ile któraś z pielęgniarek nie pożyczycy mi wełnianej chusty.

— A zatem pani nie marznie — powiedział Hieronimus tym samym zadowolonym tonem.

— Ale po co pożyczyc, skoro mam swoje ubrania? Dlaczego odbiera mi się niezbędne odzienie? — rzuciła oburzona, drżącym głosem.

— Nie zaszkodzi przywyknąć do obchodzenia się bez pewnych rzeczy — odparł Hieronimus łagodnie.

Else ściągnęła brwi i nie powiedziała nic więcej.

Prostak z tego Hieronimusa!

Profesor siedział jeszcze chwilę, oparty na krześle, jakby popadł w zadumę.

Żeby tylko już sobie poszedł!

Nagle wstał i wypadł z sali, krótko życząc jej dobrej nocy.

## XXIII

Następnego przedpołudnia panna Stenberg przyniosła w swoim fartuchu rzeczy Else. Rozwiązała pakunek i starannie zbadła zawartość, zanim przekazała ją w ręce pacjentki.

A więc żadnego liściku od Knuta. Oczywiście, że nie.

Ale, dzięki Bogu, miała już swoje podwiązki i pozbyła się tego sznurka, który boleśnie wpijał jej się pod kolanami. Był tam też jej zegarek razem z kluczykiem. I nożyczki do paznokci, lusterko, porcelanowe puzderko z pomadą do ust, i flakonik perfum. Poza tym jej robótka i futrzany szal. Prawdziwe bogactwo.

— No, i tu mamy naszą miłą panią — powiedziała babcia, kiedy Else zjawiła się w korytarzu z celami.

Siedziała na swoim zwykłym miejscu, schludna i uśmiechnięta, i opowiadała o tym, jak bardzo jej zięć lubi zupę z kapusty.

— Och, dziękuję, dziękuję — zawołała ożywiona, gdy pani Kant podała jej pół kubka swojej kawy.

Chwyciła oburącz ciepłe naczynie, po czym rozejrzała się ostrożnie i pochyliła się do Else, jakby chciała się schować, i prędko wychleptała kawę.

— Dziękuję — powtórzyła, oddając kubek i ucałowała Else w dłoń. — To pomaga.

— Codziennie będzie babcia dostawać ode mnie kawę.

— Psst... Wszyscy pytają mnie o wiek, a mój zięć...

Twarz babci przybrała niemal przebiegły wyraz, jakby nie chciała, by pielęgniarka, która właśnie przechodziła, podsłuchiwała, że rozmawiają o kawie. Widać sądziła, że to najbardziej zakazany owoc na świecie.

— Tak szczęśliwie żyliśmy z początku razem, mój mąż i ja.

Else siedziała na skraju łóżka pani Syverts, która białymi palcami z zapalem składała chusteczkę trzymaną przed twarzą i przemawiała swym smutnym, pełnym wyrazu głosem, na który pani Kant zwróciła uwagę pierwszego ranka.

— Ale nic nie można poradzić na to, że się dobrze wygląda i przypada do gustu mężczyznom. A kiedyśmy wychodzili gdzieś z rzadka, panowie otaczali mnie tłumnie. Co mój mąż uważał za... No, niemożliwe, żeby mu się to podobało. Miałam też zbyt wiele na głowie... Lecz to nie *ja* nie potrafiłam zostawić w spokoju mężczyzn, to raczej oni... Proszę posłuchać — jej twarz rozjaśnił nagle dziwny uśmiech, a głos stał się cichy i zmysłowy — znałam raz jednego Norwega, byłam nawet jego ukochaną! Może mi pani wierzyć. — Pokiwała głową i zaśmiała się lekko, dziwnie ochryplym, lecz sympatycznym śmiechem. — Ach, tak, teraz już wszystko minęło — powiedziała tym samym smutnym głosem, jakim mówiła wcześniej i głęboko westchnęła. — Pomyśleć, że tutaj leżę. — Nagle wybuchła płaczem i włożyła chusteczkę do ust, a ramiona i pierś unosiły się, gdy szlochała. — Pani Kant, proszę poprosić pannę Stenberg, by pozwoliła mi wstać. Leżę bez ruchu od wielu dni.

Else skinęła głową.

— Zabrali mi też obrączkę — ciągnęła pani Syverts i wytarła oczy. — Nie wiem już, czy jestem mężatką czy nie. Gdybym tylko mogła odzyskać obrączkę! Mogłabym się nią cieszyć.

Gdy Else od niej wyszła, zapytała pannę Stenberg, czy pani Syverts nie mogłaby odzyskać obrączki.

Pielęgniarka się zawahała.

— Ale dlaczego? Bardzo za nią tęskni.

— Zdarza się, że ludzie polykają obrączki, by ze sobą skończyć, pani Kant.

Else przeszedł dreszcz. Przypomniała sobie swoją podartą chusteczkę.

— A może mogłaby chociaż wstać? — prosiła dalej.

— Zapytałam o to zastępcę ordynatora, ale uznał, że jest jeszcze za wcześnie.

Odwracając się od panny Stenberg, Else ujrzała, jak młoda dziewczyna z ciężką głową z przerażeniem ucieka za drzwi.

— Proszę się mnie nie bać — powiedziała i za nią poszła.

— Kiedy ona lubi panią Kant — zauważyła pielęgniarka. — Nieprawdaż, Mariane?

Dziewczyna schowała śmiertelnie zmęczoną twarz za uniesioną ręką i niechętnie uśmiechnęła się nadąsana.

— Wszystko to złe jest i wstrętne — zakwiliła — nigdy nie będzie lepiej.

— Będzie — odparła Else. — Wkrótce całkiem pani wyzdrowieje.

— Nigdy nie wyzdrowieję. Znów byłam w piekle, dwa dni.

— Mariane siedziała zamknięta w celi, bo była niegrzeczną dziewczynką i chciała zrobić sobie krzywdę — wyjaśniła pielęgniarka. — Znalazła gdzieś nożyczki i przecięła sobie nadgarstek, tuż przy tętnicy. Pokaż pani Kant ranę.

Dziewczyna, która wciąż zasłaniała twarz i się wykręcała, prędko schowała rękę za plecami.

— Całkiem się zagoiło — powiedziała panna Stenberg, która złapała jej rękę i pokazała Else nadgarstek z widocznym ciemnym strupem.

— Nie rób tak, nie rób tak — jęknęła Mariane.

— Mariane będzie już dobrą dziewczynką. — Pielęgniarka pogłaskała ją po gęstych, sterczących włosach. — Zresztą za parę dni przechodzi do świętego Jerzego.

— Oczywiście nic z tego nie wyjdzie — powiedziała Mariane z niezadowoloną miną.

— A chce tego? — zapytała Else.

Małżeństwo, Zazdrość,  
Uroda, Wspomnienia

— Tak, biedaczka. Cieszy się chyba na zmianę. Od tak dawna tu jest.

— Idę nakarmić panią Fog.

Panna Stenberg zabrała parującą miskę z wielkiej tacy z jedzeniem, którą przyniosła służąca, po czym weszła do celi pani Fog. Else udała się za nią. Trzymała miskę, gdy pielęgniarka unosiła wezglowie łóżka starej mumii, która swym na wpół zmałym, pytającym wzrokiem bezradnie patrzyła to na jedną, to na drugą kobietę.

— Proszę ładnie jeść — powiedziała pielęgniarka i włożyła do ust chorej łyżkę bulionu z jajkiem. — O tak.

— O, o, o — jęczała pani Fog, przelękając zupę z wyrazem zmęczonej niechęci na twarzy i wydając głuche, gardłowe odgłosy.

— Wie pani, że musi pani jeść — dodała Else i pogłaskała ją po poszarzałym czole.

— Tak, ale tego nie lubię — szepnęła, ukazując bezzębne dziąsła i spoglądając na nią wzrokiem, który zdawał się odrętwiały z cierpienia.

— Już, już, miła pani Fog. Ładnie — mówiła pielęgniarka, dalej ostrożnie karmiąc chorą, która przelękała z coraz większą trudnością; wreszcie zwróciła jedzenie, bulion polał się po jej zapadniętym podbródku.

— No, więcej już nie musi.

Panna Stenberg wytarła pani Fog usta i ją oporządziła. Chora uniosła swoją szponiastą, popękaną i pokrytą łuskami dłoń, którą chwyciła palce Else. A potem, zmęczona, zamknęła oczy.

— Myśli pani, że ona niedługo umrze? — zapytała pani Kant, gdy wraz z pielęgniarką opuściła celę.

— Może na to wyglądać, lecz tacy ludzie bywają zadziwiająco wytrwali.

Else weszła do celi pacjentki w położu, która siedziała na łóżku z rękami splecionymi za karkiem i wydała przeciągły jęk.

— Czy coś panią boli? — zapytała pani Kant.

Kobieta umilkła i popatrzyła na nią podejrzliwym, pytającym wzrokiem, który zarazem jakby prosił o pomoc. Nagle rozplotła ręce, chwyciła nadgarstek Else i oparła głowę o jej ramię.

— Czego się pani boi?

— Boi — powtórzyła pacjentka w położu; odsunęła głowę i znów popatrzyła na nią pytająco. — Powiem pani... — Zamilkła; zdawała się z trudem szukać słów, kurczowo ściskając i głaszcząc rękę Else. — Chodzi o dziecko... Wie pani, gdzie jest dziecko?

— Dziecko ma się wyśmienicie — odpowiedziała Else, która wiedziała to od pielęgniarek. — Jest w innym szpitalu.

— To nie umarło?

— Nie.

Kobieta wpatrywała się w twarz Else. Jej spojrzenie było już *tylko* bezradne. A wtedy z jednego oka ukradkiem wypłynęła łza — powolna łza, którą starła palcem wskazującym.

\*

W korytarzu przed swoją salą Else spotkała hrabinę, która płakała i załamywała ręce.

— Jestem bliska rozpacz — powiedziała na swój spokojny sposób. — Pomyśleć, że moje dzieci, moje biedne, nieszczęsne dzieci oddano pod opiekę jakimś okropnym ludziom, którzy nienawidzą mnie i moich chłopców.

— Jak się pani o tym dowiedziała? — zapytała Else.

— Przez profesora. Ach, moje dzieci, co sobie myślicie o swojej matce! Jeden z synów był ze mną w powozie, gdy tutaj jechałam, i wyrwano mi go przy drzwiach. To był chyba najcięższy cios. Ach, moi biedni synowie — płakała rzewnie, chociaż bezgłośnie.

— To musi być dla pani straszne — powiedziała pani Kant.

— I nie wolno mi nawet napisać listu. Ani wysłać posłańca. Nikt mnie nie może odwiedzać. Co ze mną będzie?

— Niech się tym tak pani nie martwi, droga hrabino — pocieszała Else. — Zawsze jest pani taka spokojna. Przecież to nie *może* tak długo trwać. Profesor *musi* niedługo zrozumieć, że nie jest pani umysłowo chora.

Jedzenie

Matka, Dziecko

Matka, Dziecko, Rozstanie,  
Rozpacz

— Tak, też tak myślałam — hrabina z wysiłkiem powstrzymała płacz. — Lecz moja nadzieja z każdym dniem słabnie. On zakłada, że *jestem* szalona. Każdym swoim pytaniem próbuje zwabić mnie w sidła.

— Musi pani uzbroić się w cierpliwość, pani hrabino — powiedziała panna Ræder, która właśnie przyszła. — Pogodzić się z tym, że spędzi tu pani około trzech tygodni. Wtedy musi zapaść jakaś decyzja.

— Trzech tygodni!? — zawołała hrabina z twarzą wykrzywioną od płaczu. — Dobry Boże! Człowiek ma się pogodzić, że zamknięto go w takim miejscu, gdy nic mu nie jest i niczego złego nie zrobił?

Znów przytłoczył ją szloch. A potem poszła cicho do swojej sali, uklękła przed fotelem i nań opadła.

## XXIV

Jak poprzedniego dnia Else leżała w łóżku, gdy zjawił się obchód.

— Przyniosłem pani coś do czytania — powiedział zastępca ordynatora i położył na jej stoliku dwa żółte zeszyty.

— Dziękuję, miło z pana strony.

Podniosła zeszyty. Były to wydania prenumeratorskie pism Berthy von Suttner<sup>25</sup>, zatytułowanych *Wspomnienia*<sup>26</sup> i *Matka do swojej córki*<sup>27</sup> — czy coś podobnego.

— Proszę mi powiedzieć, czy nie jesteśmy dla pani dobrzy? — rzekł z uśmiechem lekarz, wychodząc.

Nieco później zjawił się Hieronimus w płaszczu i z kapeluszem w ręku. Usiadł przy łóżku, a Else wydał się tego wieczoru jakby zakłopotany. Nachylił się do stolika, jego wzrok spoczął na żółtych zeszytach.

— Dostała pani rzeczy, których sobie pani życzyła — zaczął po chwili milczenia, nie spoglądając na nią.

— Tak, dziękuję.

Znów krótkie milczenie. Jedną dłoń położył na stoliku; najpierw dotknął puzderka z pomadą do ust, potem flakoniku perfum.

— Co to takiego? — zapytał życzliwie, nadal nie patrząc na Else.

Wyjaśniła krótko i opryskliwie, jak miała w zwyczaju.

— A to?

Podniósł jeden z żółtych zeszytów.

— Zastępca ordynatora mi pożyczył.

— A więc ma pani rozrywkę.

Odłożył zeszyt i jeszcze chwilę przy niej siedział. Zdawał się mieć jakieś wątpliwości.

Nagle się wyprostował i złapał kieszeń swojego płaszcza.

— A właśnie, mam dla pani dziś niespodziankę — powiedział szybko, po czym wstał.

Nagle na jej stoliku pojawił się list.

— Dziękuję — rzekła Else, która natychmiast rozpoznała charakter pisma Knuta i zrobiło jej się gorąco z radości i podniecenia. Chwyliła list, ale zaraz odrzuciła go i zawołała: — Jest otwarty!

Hieronimus już zniknął.

— Zdawało mi się, że dostała pani list?

Panna Ræder weszła do środka wraz z panną Stenberg.

— Tak, ale go nie chcę! — zawołała pani Kant i pstryknięciem posłała kartkę na drugi koniec stolika. — Myślicie, że mam ochotę czytać list od męża, który wcześniej otworzył profesor? *On!* Rozdarł go swoimi cienkimi paluszkami położnej! Same popatrzcie panie, jaki jest poszarpany!

— Nie jest pani miła — powiedziała panna Stenberg i splecionymi dłońmi złapała Else za kark. — Profesor otwiera listy wszystkich pacjentów.

— Proszę się tak na mnie nie złościć, panno Stenberg! Nie *może* pani!

<sup>25</sup> *Bertha von Suttner* (1843–1914) — austriacka pisarka i dziennikarka, pierwsza kobieta wyróżniona Pokojową Nagrodą Nobla. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *Wspomnienia a. Pamiętniki* — (niem.) *Memoiren*, dzieło Berthy von Suttner (1843–1914) z 1909 r. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *Matka do swojej córki* — utwór autorstwa Berthy von Suttner (1843–1914). [przypis edytorski]



Pani Kant zanosła się gwałtownym płaczem i oparła głowę o pierś pielęgniarki.

Panna Stenberg pozwoliła jej płakać.

— Niech przeczyta pani list — powiedziała łagodnie. — Przecież tak strasznie tęskniła pani za wieściami z domu.

— Nie, nie *mogę*, nie chcę! Co miałby zawierać, skoro można napisać jedynie coś, co przeczyta profesor? Proszę zabrać ten list, panno Ræder. Och, proszę go zabrać, nie dam rady na niego patrzeć!

Pielęgniarka z wahaniem wzięła list.

— Ale pani uparta — zganiła ją panna Stenberg.

— Wcale *nie*. Pani mogłaby zmusić mnie do wszystkiego. Oprócz lektury listu, który otworzył *on* — dodała szybko.

Pielęgniarka ułożyła głowę Else na poduszce, po czym pocałowała ją na dobranoc w policzek.

— Powinna pani przeczytać ten list — poprosiła panna Ræder, gdy panna Stenberg odeszła. — Myślę, że zamęcza się pani, nie robiąc tego — jej wesoły głos brzmiał tego wieczoru poważnie.

— Niech pani pomyśli, co to za człowiek! — krzyknęła Else i usiadła na łóżku. — Oczywiście kazał mojemu mężowi obiecać, że nie napisze o niczym, co mogłoby mnie zdenerwować... Zdenerwować! Hurra! Przecież jestem w raj! A jednak! Czy on myśli, że wszyscy ludzie kłamią i oszukują? Gdyby chociaż ostrożnie go otworzył i z powrotem zakleił. Ale on go rozerwał, tylko żeby mnie rozzłościć.

— Hm... Hm... Hm... — odezwała się Thorgren. — Ciągłe czekam na fajerwerki między panią Kant a profesorem, ale chyba daleko do tego.

I kręcąc głową, podała jej na dobranoc rękę, po czym wyszła.

Panna Ræder wciąż próbowała ją namawiać. Wreszcie Else zgodziła się, że pielęgniarka sama przeczyta list i przekaże jej treść.

— No, nie ma w nim zbyt wiele — powiedziała panna Ræder po skończonej lekturze.

— Oczywiście, przecież to niemożliwe.

— Pani mąż pisze, że mały ma się znakomicie i że im pani będzie cierplivsza, tym szybciej się spotkacie.

— „Cierplivsza”... — Else uśmiechnęła się gorzko.

— Nie chce pani tego listu?

— Nie tknę go palcem! Niech pani z nim zrobi, co chce, bylebym nie musiała go oglądać.

— Czy mogę wejść? Jestem już spokojniejsza — powiedziała hrabina i stanęła przy łóżku Else. — Profesor był u mnie i przekazał, że z moimi dziećmi wcale nie jest tak, jak myślałam. Nie trafiły pod opiekę złych ludzi.

— To dlaczego poprzednio powiedział coś innego? — zapytała pani Kant.

— Pewnie żeby wystawić mnie na próbę. Widzi pani, że Bóg wysłuchał moich próśb? To wierny ojciec swych dzieci. Będę się teraz żarliwie modliła za panią, żeby wkrótce ujrziała pani swojego męża. Dziś wieczór mogę zrobić to umocniona w wierze.

— Dziękuję — odparła Else. — Jest pani dobra.

— Niech pani sobie wyobrazi, że dostałam też moją *Biblię*. Jestem niemal szczęśliwa. Przeczytam teraz rozdział i pójdę spać. Tak dobrze rozmawiało się dziś z profesorem. Dobrej nocy.

„Dobrze rozmawiało się z profesorem”. Że też chciało jej się marnować na tego człowieka słowa.

Nieco później przyszedł któryś stażysta i podał jej zastrzyk z morfiną na ból zęba.

Potem odwiedziła ją panna Bøhn z chloralem.

## XXV

Noc upłynęła wśród hałasów, a Else znów musiała stoczyć ciężką walkę z lękiem i rozpaczą. Ale nastał już ranek i spodziewano się obchodu.

Pani Kant leżała cicho w łóżku. Głowę miała rozpaloną i czuła, jakby coś, członek po członku, rozdzierało jej zmęczone ciało.

Huk, od którego nieomal trzęsło się jej łóżko i który wprawiał jej ciało w drżenie pełne nieznośnego cierpienia, przypominał wystrzały armatnie.

— Skąd dochodzi ten okropny odgłos? — zapytała słabo pannę Stenberg.

— To drzwi od ulicy na dole.

— Nie, ich trzaskanie znam. A to? Teraz!

Znowu rąbnęło.

— To są drzwi od ulicy. Trzaskają tak dzisiaj przez burzę.

Gdy zjawił się u niej zastępca ordynatora, Else udawała, że drzemie. Nie dałaby rady otworzyć ust.

— Miała złą noc — usłyszała głos panny Stenberg. — Niedobrze, że tak niesie się tutaj dźwięk.

— A niesie się? — padła odpowiedź lekarza.

— Czy się niesie? Słyszałam, jak sam profesor na to narzekał, gdy kogoś raz oprowadzał. Powiedział, że to błąd konstrukcyjny.

Pomimo ciągłych trzasków Else udało się usnąć, a gdy o jedenastej zjadła w łóżku śniadanie, poprawił się jej nastrój. Wzięła jeden z żółtych zeszytów i usiłowała czytać.

Ale gdy usłyszała lekkie, skrzypiące kroki, podniosła wzrok i w tej samej chwili wszedł do niej Hieronimus — jak spod igły, w eleganckim płaszczu, lśniących butach i gładkich, brązowych, skórzanych rękawiczkach. Odłożył kapelusz na stolik, przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Widzę, że dostała pani swoje podwiązki — zaczął cichym, dobrotliwym tonem. — To tutaj kontrabanda, wie pani.

— Mam je panu oddać? — zapytała Else ostro.

— Niec — odparł Hieronimus, wykonując gest, jakby się bronił, a po krótkiej chwili dodał: — Ale musi mi pani zdecydowanie obiecać, że nie wykorzysta ich w niewłaściwy sposób.

„Szybko na to wpadł”, pomyślała Else i znów przypomniała sobie swoją podartą na strzępy chusteczkę, po czym rzekła z filuternym uśmiechem:

— Sznurek, który służył mi za podwiązki, też mogłam niewłaściwie wykorzystać, gdybym tylko chciała.

Hieronimus siedział nieco pochylony nad łóżkiem i spuścił wzrok. Dłonie w skórzanych rękawiczkach spoczywały na kolanach, lekko rozstawił palce.

— Coś trzeba zrobić z tymi drzwiami! — zawołał nagle nerwowo i odwrócił głowę ku korytarzowi; od jego przyjścia trzask rozległ się już dwa razy.

Panna Stenberg ukazała się w progu i chciała coś powiedzieć, ale Hieronimus powstrzymał ją gestem. Następnie przyjął poprzednią pozycję i tym samym cichym, dobrotliwym tonem, delikatnie kołyszając tułowiem, jakby czuł się zobowiązany, by jak najostrożniej wypowiadać słowa, rzekł:

— Pamięta pani, co stało się z panią pierwszego wieczoru...

— Znów pan do tego wraca? — wyrwało się Else ze złością. — A więc myśli pan, że moje wyjaśnienie było kłamstwem?

— Uspokoila się pani od tamtej pory — ciągnął Hieronimus. — Ale wtedy mówiła pani o nieludzkim traktowaniu.

— Nieludzkich *mękach* — poprawiła go Else. — I nadal to podtrzymuję! Ale miałam przecież nauczyć się subordynacji. To dlatego mnie pan tu sprowadził... Prawda? — powiedziała z lodowatą drwiną.

Hieronimus drgnął, jakby chciał zerwać się na nogi, ale powstrzymał się i po krótkiej chwili podjął z niezmaconą dobrotliwością:

— Już wcześniej miała pani tego typu myśli. Bywa, że takowe przychodzą, gdy jest się wytrąconym z równowagi umysłowej, gdy dokucza poczucie umęczenia, nieszczęścia. — Znowu poruszył się na krześle i chwilę odczekał. — Ale może nie mówiła pani całkiem poważnie... Chce pani...

Else szybko przesunęła się na poduszce.

— Nie mam już ochoty o tym z panem rozmawiać — ucięła głosem drżącym ze wzburzenia. — Uważam, że dość tej komedii, która byłaby śmieszna, gdyby nie była tragiczna. Mojego męża doprawdy nie stać, by płacić cztery korony dziennie, żeby mnie tutaj maltretowano!

— Komedii... Tragiczna... — Hieronimus się wyprostował i mówił jak zwykle, szybko i ostro. — Uważam, że to komiczne. — Nagle zerwał się z krzesła, dopadł do drzwi i krzyknął przenikliwym głosem: — Czy pani Kant zawsze jest taką trudną pacjentką? Czy może nie je? Nie pozostaje pod opieką?

— Dla *nas* jest zawsze życzliwa — odparła panna Stenberg, której Else nie widziała. — Wczoraj wieczorem popadła w lekką egzaltację, bo otwarto jej list, ale potem...

— Może jej zdaniem to *nasza* wina, że tutaj leży? — grzmiał Hieronimus dalej, na wpół zwrócony w stronę łóżka. — *My* wolelibyśmy być wolni! Możemy zamknąć interes i pojechać do lasu! Mówię pani... — Podszedł prędkim krokiem do Else i postukał palcami w otwartą dłoń. — Pani mąż może zabrać panią w każdej chwili, proszę bardzo! Ale w odwiedzinach tutaj nie przyjdzie!

Po czym porwał kapelusz ze stolika i tyle było go widać.

— Ależ, Boże mój, pani Kant.

Panna Stenberg weszła do niej i złożyła ręce.

Panna Ræder jej zawtórowała:

— Co takiego pani powiedziała, co aż tak go rozwścieczyło?

— Jestem przerażona, pani Kant. — Policzki Thorgren niemal pobladły. — Słyszałam go aż przy celach.

Zjawiła się także hrabina.

— Powiedziała pani profesorowi prawdę?

Wszystkie ustawiły się przed łóżkiem Else z trwogą na twarzach.

Ona zaś patrzyła skonfundowana to na jedną, do na drugą, aż wybuchła śmiechem.

— Bóg raczy wiedzieć, jak to się skończy — powiedziała panna Stenberg zmartwiona, wychodząc.

— Nie jest już pani *moja*.

Thorgren pokręciła poważnie głową.

— Przecież chciała pani, żebym się śmiała, Thorgren! I się śmieję!

Śmiech

## XXVI

— Ale w jakim ona właściwie jest stanie? — Pytanie zadał Knut; siedział, jak często wcześniej, w szpitalnym gabinecie profesora. — Samopoczucie mojej małżonki zmienia się falami. Po burzy *zawsze* przychodził spokój, o ile, jak ostatnio, stałe napięcie nie nadwierało jej nerwów... Ale nawet wtedy...

Zamilkł.

„Dlaczego ten człowiek sam nie zabierze głosu?“, myślał Knut. „Dlaczego choć raz nie może pokazać, że ma na temat pacjentki jakąś opinię, przez co nie musiałbym tak strzępić sobie języka?“

— A jak jest tutaj w szpitalu? — ciągnął Knut. — W tym spokojnym miejscu, w specjalnych warunkach, które mają oszczędzać nerwy chorych?

— Pańska żona to wariatka — odparł Hieronimus i wstał z fotela.

Słowo jak tępą broń wwierteło się w świadomość Knuta, rozdzielając jego myśli na dwa obrazy: Hieronimusa, odartego ze swej powściągliwej godności, w koszuli na obchodzie wśród stażystów, oraz jego żony jako „wariatki“.

Profesor przeszedł szybkim krokiem po gabinecie.

— Wielka jest jej gorycz wobec pana. Niedawno zrzuciła ze stołu pański list. Nie chciała go czytać.

Knut patrzył na Hieronimusa w zdumieniu. Stan Else zdawał mu się coraz większą, bolesną zagadką. List przekazał profesorowi otwarty, dlatego nie mógł ani też nie chciał napisać w nim nic innego niż kilka zwyczajnych słów. Hieronimus jednak oczywiście zakleił list, zanim przekazał go Else. Właściwie to i lepiej, że go nie przeczytała, skoro założyła, że mógł przesłać go bez pośredniej kontroli. Co jednak spowodowało tę gorycz w stosunku do *niego*?

— A zatem nadal jest profesor zdania, że niewskazane są moje odwiedzinach u żony?

— Bezwzględnie.

— A odwiedzinach doktora Tvedego?

— Na razie nie.

Audiencja dobiegła końca.

Tylko czy ludzie w tym szpitalu naprawdę pojmowali naturę przypadku, który leczyli?

Wszyscy twierdzili przecież, że Hieronimus to ostrożny i ludzki lekarz, najmądrzejszy ze specjalistów od chorób umysłowych.

Dziwne, jak zagadkowe zdawały się być te sprawy dla niewtajemniczonych.

## XXVII

Przed obiadem Else poszła wziąć kąpiel, odprowadzona przez pannę Ræder. Łazienka znajdowała się piętro niżej, tuż przy oddziale męskim, i była wielkim, straszonym pomieszczeniem z kamienną posadzką i niezachęcającą cynkową wanną. Przypominała piwnicę. Później Else musiała pójść do łóżka, podobno żeby się nie przeziębnić, i tam zjadła swój obiad.

Po południu, gdy zapalone zostały lampy, pani Kant szydełkowała, siedząc w korytarzu z celami razem z babcią i Mariane, która jak zawsze się zataczała, wydając z siebie jęki i głębokie westchnienia. Była jeszcze bardziej nerwowa niż zwykle, bo nazajutrz miała jechać do świętego Jerzego.

Panna Stenberg przyszła ze spokojnego korytarza.

— Bella Holm czeka — powiedziała Thorgren, która zajmowała się właśnie panią Fog.

— Znów coś z nią nie tak!

Else chciała zapytać, kim jest Bella Holm, ale w tej samej chwili rozległ się zgrzyt zamka; podwójne drzwi otworzyły się i wkroczyło przez nie dwóch salowych z noszami, na których siedziała wyprostowana kobieca istota. Pochylona, szukała czegoś, macając koc.

— I już jest — powiedziała panna Stenberg. — Niech Bóg się zlituje, jak ona wygląda! Tym razem musiało być naprawdę źle.

— Pytam, gdzie jestem... Tylko pytam. — Kobieta na noszach uniosła głowę i chwyciła jednego z salowych za rękę. — Nie pojmuję tego wszystkiego, powiedziałam to też pani Lund, gdy chcieli przestawić moją komodę.

Else, która zbliżyła się do noszy, gwałtownie się cofnęła. Ujrzała bochenkową twarz, spuchniętą tak, że prawie nie było widać oczu. Jeden policzek był sinoczarny, z otwartą, krwawiącą szramą. Taka twarz, a taki łagodny, kulturalny głos!

— Proszę siedzieć spokojnie i pilnować swoich robaczków — powiedział salowy, którego Bella Holm chwyciła za rękę.

Następnie odstawiono nosze przed ostatnią celą, która pozostawała pusta po samobójczyni, po czym salowi chwycili Bellę Holm razem z kocami i wnieśli ją do środka.

— Wzięła truciznę? — zapytała Else pannę Stenberg.

— Można tak powiedzieć. Ma *delirium tremens*<sup>28</sup>.

— Myśli pani, że ona umrze?

— Aż tak to nie. Za trzy, cztery dni wydobrzeje.

Kiedy salowi zniknęli, pani Kant podeszła do drzwi celi i zajrzała do środka. Bella Holm siedziała wyprostowana jak poprzednio na noszach i z zapalem badała koc, bez przerwy mówiąc swoim łagodnym, przyjemnym głosem.

— Nie ma tam pani kropelki piwa? — zapytała nagle, podnosząc wzrok.

— Prosi o piwo, panno Thorgren!

— Już ja jej dam piwo! — Pielęgniarka stanęła przed łóżkiem Belli Holm. — Niech się pani idzie położyć, ona i tak nic tutaj nie znajdzie.

Thorgren chwyciła ją za ramiona i zmusiła, by opadła na poduszkę.

— Chociaż białego piwa?

— Jeśli pani chce, może dostać mleko. Ale nic innego.

— Czego ona szuka? — zapytała Else.

— Much i rozmaitych robaków. Pacjenci z *delirium* zawsze tak robią.

— Biedaczka... — Panna Stenberg zakończyła swe odpowiedzi na skwapliwe pytania Else o Bellę Holm. — Z takiej dobrej pochodzi rodziny. Jej ojciec był chyba nauczycielem.

<sup>28</sup>*delirium tremens* — ostra psychoza występująca u osób uzależnionych w okresach abstinencji. [przypis edytorski]

I nieuleczalnym graczem; a kiedy przegrał wszystko, nawet pościel, strzelił sobie w czoło. Z matką też coś było nie tak.

— Ale jak mogła ją pani tak chłodno przyjąć? — zapytała Else wzburzona. — Nie okazała jej pani ani odrobiny współczucia.

— Taką osobą można przecież jedynie gardzić. Na początku, gdy tutaj była, mówiłam do niej przyjemnie. Ale teraz już nie.

Pani Kant życzyła dobrej nocy babci, która zawsze kładła się o szóstej. Kochana, stara babcia — jedyna radosna, spokojna dusza w tym piekle.

Jak zwykle, gdy Else u niej była, babcia, położywszy się do łóżka, przyciągnęła ją do siebie, objęła jej szyję i powiedziała kilka stale powtarzających się zdań, które zajmowały jej myśli.

— Tak — odparła Else — ale teraz muszę już iść. Dobranoc, babciu.

— Dobranoc — babcia, jak miała w zwyczaju, ucałowała ją w obie dłonie. — Jutro znowu dostanę kawy. Ona pomaga.

— Pani Kant! — zawołała pani Syverts, kiedy Else mijala jej drzwi.

— Dostałam obrączkę, niech pani zobaczy. — Potarła obrączkę chusteczką i pokazała swą prawą dłoń. — To nie Carl ją zabrał, miała ją panna Stenberg. Powiedzieli też, że jak tylko wstanę, muszę napisać do męża. Ale tej nocy byli też u mnie lekarze... Nie wiem, co pani myśli — ostatnie słowa pani Syverts wypowiedziała szeptem, po czym zaniósła się ochryplym, stłumionym śmiechem, ale takim serdecznym, że cała aż się trzęsła.

## XXVIII

W nocy panna Bøhn często zaglądała do Else. Bella Holm w celi obok miała konwulsje. Krzyczała i wyla, niekiedy coś ciężko spadało i rozlegał się dźwięk przypominający czkawkę.

— Czy ona pani przeszkadza? — zapytał głos Thorgren przy drzwiach.

— Tak, źle się zachowuje — odparła panna Bøhn, która stała przy łóżku Else.

— Co chwilę wskakuje do wody — powiedziała Thorgren i podeszła bliżej. — „Cii”, tak mówi. — Thorgren złożyła dłonie i uniosła je nad głowę, wychylając ciało po skosie. — Po czym daje nura na podłogę i dostaje czkawki. A właśnie, przyszedłam tu pojednać się z panią Kant i kolejny raz prosić ją, żeby okazała pokorę wobec profesora.

— Ja też jej to mówiłam — powiedziała panna Bøhn. — Pani Kant źle podchodzi do profesora.

— Przecież powiedziałam, że rozmowa z tym człowiekiem jest dla mnie *niemożliwa* — jęknęła Else.

— To może do niego napisać? Tak byłoby dla pani lepiej?

Pokręciła głową.

— *Nam* to obojętne — ciągnęła Thorgren. — Tu chodzi o pani własny interes. Efekt spadającej gwiazdy, wie pani. No ale w każdym razie znów się przyjaźnimy, prawda?

Else podała jej rękę i się uśmiechnęła.

— Pisząc, sama decyduje pani, co powiedzieć — ciągnęła panna Bøhn, gdy Thorgren wyszła. — Poza tym nie musiała pani aż tak się unosić. Gdyby pani wiedziała, jaki życzliwy potrafi być profesor.

Może powinna spróbować? Rozmyślała, leżąc na poduszce i słuchając Belli Holm, która wskakiwała do morza. Wyjaśnić mu, jak strasznie tu cierpi, poprosić, żeby ją stąd wypuścił. Od tamtej rozmowy w celi nie narzekała przed nim na swą sytuację. Może sądził, że jest już względnie zadowolona.

Rankiem panna Stenberg i panna Ræder też powiedziały, że musi wreszcie napisać do profesora.

Po śniadaniu Else poprosiła o przybory piśmiennicze i, leżąc na boku w łóżku — czuła się nazbyt wyczerpana, by wstawać — podparta na lewym łokciu, piersią dotykając stolika nocnego, napisała list, który zaczynał się następująco:

„Wielce szanowny Panie Profesorze! W stanie umęczenia i wyczerpania, w którym się znajduję, prawie nie mogę wyrazić ustnie, co leży mi na sercu”. Następnie opisała swój stan — nie taki, jakim był w rzeczywistości, ale o jakim, miała nadzieję, profesor mógłby

List

przeczytać, nie wpadając przy tym we wściekłość. Wspomniała o swej nieustępującej bezsenności i niemożności spania w tym miejscu, wśród hałasu chorych, licznych dźwięków i tak dalej. Na koniec poprosiła, by jej męża powiadomiono o jej gorącym pragnieniu, by jak najprędzej stąd się wydostać.

Gdy list był gotowy, panna Stenberg natychmiast zaniósła go profesorowi.

Później Else ubrała się i wyszła na korytarz z celami, gdzie uderzył ją nieprzyjemny zapach.

Woń dochodziła z ostatniego pomieszczenia, gdzie panna Suenson i Madonna-Hansen wśród żartów i śmiechu myły głowę Belli Holm. Szorowały ją jak dno garnka, które trzeba było wypucować na błysk.

Pani Kant podeszła bliżej. W wiadrze z wodą na podłodze leżało mnóstwo długich włosów.

— Obcięłyście ją? — zapytała.

— Byłyśmy zmuszone, aż roilo się jej na głowie. Ale teraz wszy dostaną za swoje. Ten zapach — Suenson wylała coś z butelki do miednicy z wodą na stoliku nocnym — powaliłby nawet byka.

Pielęgniarka kichnęła.

Bella Holm, której Madonna-Hansen przytrzymała kark i ramiona, siedziała niepokojnie, wymachując ręką. Powietrze przecinała jej zakrzywiona dłoń, której palce ruszały się, jakby miały coś złapać.

— Musicie, na Boga, pozwolić mi zabrać mojego kanarka — powiedziała tonem, jakim zarzucają coś sobie przyjaciółki. — Patrzcie! Tam leci.

Else stała i patrzyła. Bella Holm ciągle machała i coś łapała, mówiła o ptakach i białych kurach.

— Proszę — powiedziała panna Suenson i zabrała miednicę z wodą i wiadro. — Przebiorę się od stóp do głów. Zajmie to tylko chwilę.

Madonna-Hansen zdjęła koce z łóżka i zsunęła halkę Belli Holm. Else ujrzała parę chudych, ciemnych nóg, spiczaste kolana i płaskie, pełne zgrubień stopy.

— Chodźmy, proszę — powiedziała pielęgniarka.

Ale zanim dotarła wraz z panią Kant do drzwi, Bella Holm wyskoczyła z łóżka i już goniła pod ścianą kanarka.

Madonna-Hansen zamknęła drzwi celi na klucz, Else zaś poszła korytarzem przed siebie.

W celi pani Fog na krześle przed łóżkiem siedział jakiś pan. Trzymał w dłoni kapelusz i przyglądał się żółtej, nieruchomej twarzy mumii wzrokiem pełnym smutku i miłości.

— To jej syn — szepnęła Madonna-Hansen.

— A mówiła pani, że nikt na tym korytarzu nie może przyjmować odwiedzin.

— Zgadza się. Ale w życiu zawsze zdarzają się wyjątki. Posłano po niego.

— Czy ona umrze?

— Tak, już niewiele jej zostało.

Else weszła do pani Syverts, która, ku jej zaskoczeniu, stała przy oknie w białym bawełnianym szlafroku w niebieskie paski. Długi, brązowy warkocz zwisał jej na plecach.

— Och, to pani, pani Kant? — odezwała się radośnie, gdy Else dotknęła jej ręki. — Myślałam, że to ktoś inny. Stoję tu i wypatruję mojego męża. Nie mogę pojąć, że nie przychodzi.

— Pozwolono pani wstać. Cieszy się z tego pani?

— Tak. Ale marznę w tym cienkim szlafroku. Czy to prawda, że jest pani żoną pana Kanta?

— Tak.

— Wygląda na takiego, który mógłby mieć zupełnie inną żonę. Bo ja go znam. — Pani Syverts skinęła dziarsko głową.

— Jaką żonę?

— Śliczną blondyneczkę z aksamitną wstążką we włosach i kokiem. Taką, co to potarzałaby mu ciągle słodkie głupstewka. A teraz napiszę do mojego męża.

— Niech go pani poprosi, by przysłał pani cieplejszy szlafrok — powiedziała Else i wyszła na korytarz, po którym zaczęła spacerować.

Matka, Syn

Pan przy łóżku pani Fog wciąż siedział w tej samej pozycji, a twarz mumii zdawała się być pozbawiona życia.

Nieco później Else weszła do babci, która zapadła na bronchit<sup>29</sup> i musiała leżeć.

— Widzi pani, położyli mnie do łóżka — powiedziała babcia z uśmiechem, kiwając głową — ale to mnie nie zabije. Urodziłam się siedemnastego lutego. Ile minęło od tamtej pory?

— No, zależy, w którym to było roku — odparła pani Kant.

— To bez większego znaczenia, bo w zeszłym roku wyrosła taka bujna kapusta. Ale czy nie należy się cieszyć i dziękować Bogu za takie czyste i miłe miejsce?

Gdy Else w swej drodze przez korytarz mijala pacjentkę w połogu, ta pomachała do niej, siedząc na łóżku. Pani Kant do niej weszła.

— Dziecko — odezwała się pacjentka, chwytając się kurczowo ręki Else.

— Dziecko ma się dobrze. Mówiłam pani poprzednio.

— Ale lepiej byłoby, gdyby nie żyło.

— Mówi pani teraz od rzeczy. Chyba wołałaby pani, żeby pani słodkie dzieciątko żyło?

Kobieta nie spuszczała wzroku z Else, a w jej spojrzeniu pojawiła się jakaś twardość i złość:

— Tyle ich już mamy, a pastor mówi, że Pan Bóg zażąda każdej dziecięcej duszyczki z rąk naszych.

— Proszę o tym nie myśleć — odparła pani Kant. — Tylko skupić się na powrocie do zdrowia, a wszystko będzie dobrze.

— Ale ten kociol — szepnęła pacjentka w połogu — wielki, czarny kociol. Wystawało z niego tyle dziecięcych główek, a Knu'ssen nie miał pieniędzy.

— Już, już, proszę się ładnie położyć.

— Czy wróci pani niedługo?

— Tak. Wieczorem.

Gdy Else opuściła pacjentkę w połogu, zajrzała do celi pani Fog. Obcy pan siedział tam w tej samej pozycji co poprzednio. Nagle jednak cicho wstał, odłożył kapelusz na podłogę, ukląkł, zasłaniając oczy rękami, i schował twarz w białym wełnianym kocu na łóżku.

## XXIX

Podczas wieczornego obchodu zastępcy ordynatora Else poprosiła o więcej złotych zeszytów.

— Nie mogę ze względu na profesora.

— Boi się, że mi zaszkodzą? — zaśmiała się Else.

— Profesor chce, żeby najpierw stała się pani nieco przyjaźniejsza.

— No, to mi się podoba. Też bym tak zareagowała na jego miejscu. Dokładnie tak.

Nazajutrz rano obchód zjawił się później niż zwykle. Pani Kant, która szydełkowała, siedząc przy oknie, odłożyła robótkę i wyszła na korytarz z celami.

— Odpowiedziałam, że wołałabym nie mieszać się w sprawy pani Lund — oznajmiła Bella Holm, która, gdy weszła do niej Else, przerwała swe polowanie pod ścianą; była w halce i krótkim podkoszulku, a twarz miała jeszcze bardziej siną i spuchniętą niż wcześniej. — Bo trzeba trzymać się z dala od cudzych interesów — ciągnęła zwrócona do pani Kant. — Na co innym wiedzieć, ile sznapsów wypiałam do posiłku? Sznapsa nigdy nie piję inaczej niż do posiłku, a to przecież nie może zaszkodzić. Uważam też, że to wielce osobliwe ze strony pani Lund, iż chciała przestawić moją komodę.

— Przestawiła pani komodę? — zapytała Else.

— Tak, sama pani chyba widzi. Czy stoi tu jakaś komoda? — Bella Holm rozejrzała się na wszystkie strony. — Przecież nie oslepiam... Och, nie, proszę spojrzeć, kanarek!

Podbiegła do okna.

— Do łóżka! — zakomenderowała pielęgniarka, która właśnie przyszła.

— Tak, tak, już idę do łóżka — odparła Bella Holm tonem, który łagodnie wyrzucał pielęgniarce niedorzeczność jej nakazu.

— Od razu słyhać, że to kulturalna osoba — rzekła pielęgniarka.

<sup>29</sup>bronchit — nieżyłt oskrzeli. [przypis edytorski]

Else weszła do pani Syverts, która siedziała wyprostowana na łóżku i czesała włosy. Babcia pochylała się nad nią i mówiła coś szeptem. Pani Kant przyniosła z korytarza krzesło dla staruszki.

— Jakże pani podobna do mojego Norwega — powiedziała pani Syverts do Else z szerokim uśmiechem, zdejmując z grzebienia wyczesane włosy, które związała i starannie chowała w papierze gazetowym. — Zauważyłam to od razu pierwszego ranka. — Wytarła grzebień papierem, przedmuchała go i odłożyła na stolik nocny. — Gdybym tylko miała trochę wody do mycia — powiedziała, przyglądając się z niezadowoleniem swoim palcom.

— Szukałam pani w pani sali.

Else się odwróciła. Stała tam hrabina w swej czarnej sukni z koronkowymi wstawkami.

— A ona tu po co? — zawołała pani Syverts, wskazując na hrabinę. — Patrzcie ją!

— Dla Boga, wszystkie jesteśmy siostrami — odrzekła hrabina swoim łagodnym, cichym głosem i położyła dłoń na jej ramieniu. — Modlę się za panią do Jezusa. Zna pani Jezusa?

— Jestem ochrzczona i konfirmowana, proszę mi wierzyć — powiedziała pani Syverts. — Tylko niech mnie pani nie dotyka, mam otłuszczone palce.

— Och, tak, Jezus, Jezus — gaworzyła babcia, kręcąc głową w czepku nocnym.

— No proszę, jakąż tu sjesta.

Else i hrabina podskoczyły i zaraz się odwróciły. W celi stał Hieronimus w swym długim, białym kitlu. Światło ostrego lutowego słońca, które zaglądało przez okno, padało na jego twarz, a panią Kant uderzył czysty błękit jego oczu. A ona myślała, że są błędy i zimne jak woda. I taką łagodną i ujmującą potrafił mieć minę. Else była poruszona, niemal oszołomiona, jak podczas spaceru w lesie wczesną wiosną, gdy nagle wyczuje się w powietrzu przedwiośnie.

— Chciałbym z panią porozmawiać, pani Kant — powiedział z lekkim uśmiechem i prędko wyszedł z celi.

Else udała się za nim, myśląc o spadającej gwiazdzie, o której mówiła Thorgren.

— Otrzymałem pani list — rzekł, gdy siedzieli w jej sali — i przeczytałem go z uwagą. Mało to, lojalnie przedłożyłem go pani mężowi i lekarzowi domowemu. A więc zobaczmy.

— Dziękuję.

Pani Kant posłała mu spojrzenie wyrażające większą wdzięczność niż jej słowa.

— Zapewne wkrótce odezwie się pani mąż.

Else znów podziękowała.

— A czy nie chciałaby też pani spotkać się ze swoim lekarzem domowym? Nie ma przeciwwskazań, żeby panią odwiedził.

Pani Kant zwlekała z odpowiedzią. Chciała zobaczyć Knuta, niczym innym się nie przejmowała.

— Ma pani do niego zaufanie? — zapytał profesor.

— Tak. Jest moim lekarzem od dziesięciu lat. Ale nie czuję potrzeby, żeby się z nim spotykać.

— Ach tak? Mam wrażenie, że interesuje się pani pacjentkami...

— Tak. Babcia jest taka kochana.

— No cóż. Dobrego dnia.

Else wyczekiwała, pełna nadziei. Hieronimus przedłożył jej list Knutowi i Tvedemu. Nie było wątpliwości, co teraz się stanie. Jeszcze dziś Knut przyjdzie ją odebrać. A więc jednak profesor był człowiekiem, jakim być powinien. A jego wcześniejsze zachowanie? Cóż, nie rozumiała go, dlatego przekreśliła je w myślach.

Skończył się jednak ten dzień i następny, i nie wydarzyło się nic z rzeczy, na które czekała Else. Powoli zaczęła rozumieć, że znowu się pomyliła.

Trzeciego dnia wieczorem, kiedy Hieronimus siedział u niej chwilę podczas obchodu, powiedziała nagle:

— A więc mój mąż i doktor Tvede poszli za radą profesora i postanowili, że zostaną tutaj?

— Taak — odparł z wyraźnym zadowoleniem.

Else chwilę się zastanawiała, po czym rzekła:

Nadzieja, Rozczarowanie



— A więc zdaniem profesora jestem umysłowo chora.

— Taak.

To jego „taak”, wypowiedziane z bezwzględną radością, zadziało na nią jak uderzenie bicia, a zarazem poczuła, jakby straciła grunt pod nogami. Co dało się zrobić? Nic. Była zdana na jego łaskę.

— Tak — powiedziała, wstając. — Skoro profesor, mój mąż i doktor Tvede mówią, że jestem umysłowo chora, to *jestem* umysłowo chora. — Chodziła po sali. — Ale wobec tego byłam taka całe życie.

— Możliwe.

— Tak, możliwe — wymamrotała cicho pod nosem. — Kto wie? U większości ludzi da się pewnie wykrzyć coś, co w razie potrzeby można zaszufadkować jako chorobę umysłową — powiedziała głośno, patrząc na Hieronimusa.

— W ostatnich dniach zapoznałem się z pani twórczością — rzekł profesor. — Zainteresowanie nienormalnością, jakie zdradzają pani obrazy, nie jest zbyt przyjemne.

„Zainteresowanie nienormalnością”, pomyślała Else. Czy to nie dzięki zainteresowaniu nienormalnością profesor zbudował swój autorytet i znalazł się w tym miejscu?

— Pani obrazy są dla mnie absolutnym dowodem na to, że jest pani nienormalna. Bo zakładam, że usiłowała pani odzwierciedlić w pracach swe życie wewnętrzne?

Else nie odpowiedziała. Tylko na niego patrzyła.

— I jeszcze fakt, że nigdy pani nie śpi. To również wyraźny znak choroby umysłowej.

— Czy mój mąż nie poprosił o spotkanie ze mną?

— Nic na ten temat nie wspomniał.

Odpowiedź ukłuła ją jak cios nożem w serce. Znow zaczęła chodzić po sali, ale musiała usiąść z powodu silnego drżenia kolan.

— Nie rozumiem tego — odezwała się wreszcie, wycierając pot z czoła. — Powiedział mi, że spędzę tu osiem do dziesięciu dni.

— Hm.

Znowu to „hm”, które czyniło z niej kłamczuchę. Teraz jednak się nim nie przejęła. Jej myśli krążyły niczym palące płomienie wokół jednego: Knut nie chciał się z nią zobaczyć.

— Nie rozumiem tego — powtórzyła. — Czy stało się coś podczas mojego pobytu tutaj? Coś, o czym nie wiem?

— Nie. Ale odkąd jest pani z dala od męża, postrzega panią inaczej, spokojnie i właściwie.

— Czy on jest na mnie zły?

— Zły? Pyta pani, czy się na panią gniewa? Nie można gniewać się na tego, komu się współczuje — rzekł z łagodną i wzniosłą godnością.

Else się nie odzywała. Była to najtrudniejsza chwila w jej życiu.

— Niech się pani zastanowi — powiedział Hieronimus, wstając, po czym poszedł do kąta, gdzie stanął z łokciem opartym o ścianę i dłonią pod policzkiem. — Przecież zwykła pani rzucać się nago na podłogę, wrzeszczeć i wić się.

— Nigdy — odparła Else. — Nago? *Niemożliwe*, żebym coś takiego robiła.

— No cóż, może była pani zatem ubrana.

Knut nie chciał jej widzieć! Knut nie chciał jej widzieć! — krzyczało coś w piersi Else. Co wobec tego znaczyło wszystko inne? „To ostatnie, na co można się zdecydować: wysłać żonę na szósty oddział”, powiedział zastępca ordynatora. Czyżby Knut oszukał ją i zdradził?

— Sposób, w jaki się pani zachowywała, nie pozostawia wątpliwości co do pani stanu.

— Rozpaczałam, bo nie wychodziła mi praca.

— Ale sama pani tego nie wie — ciągnął Hieronimus. — Później nic pani przecież nie pamiętała.

— Owszem, pamiętałam. Czasem jednak udawałam, że jest inaczej, bo było mi wstyd.

— No proszę, to samo powiedziałem pani mężowi! — zawołał tryumfalnie profesor.

— Długo tutaj zostanę?

— Taak! Bardzo długo!

W głosie Hieronimusa znow zabrzmiało głębokie zadowolenie, które w oczach Else stawało go w jednym szeregu z katem, który cieszy się ze swego czynu.

— Nie można zabrać mnie gdzie indziej?

— Owszem, do świętego Jerzego! — odburknął.  
 — Ach tak. Wobec tego wołę, by przeniesiono mnie do świętego Jerzego. Im wcześniej, tym lepiej.  
 Hieronimus wyszedł.  
 — Profesor długo był dziś u pani.  
 Else, która siedziała pochylona, z twarzą schowaną w dłoniach, uniosła głowę i skinęła nią do hrabiny.  
 — Dobrze się z nim rozmawiało, tak?  
 Zrelacjonowała jej ich rozmowę.  
 — Ależ, dobry Boże! — zawołała hrabina z przerażeniem. — Skoro z pani robi umysłowo chorą, to samo może powiedzieć o mnie... Chociaż to nie do pomyślenia! — Przeszła się po sali ze skrzyżowanymi rękami, po czym znów stanęła przed Else i powiedziała: — Nie zażąda pani, by udowodnił jej, na czym polega pani choroba?  
 Else pokręciła głową.  
 — Nie interesuje mnie opinia tego człowieka. Poza tym w zupełności wystarcza mi to, co już powiedział.  
 — To oburzające — rzekła hrabina. — Zapytam go o to jutro.  
 — Niech pani tego nie robi — poprosiła Else. — Jeśli mogę coś pani doradzić, lepiej niech go pani nie pyta o siebie. Nie ma co strzępić sobie języka. Jeśli chodzi o mnie, pewnie z miejsca postanowił uznać mnie za umysłowo chorą. A przecież *byłam* chora, gdy tutaj trafiłam. Przy odrobinie dobrej woli można zapewne obronić twierdzenie, że to choroba umysłowa.  
 — Pani spokój jest nienaturalny — powiedziała hrabina.  
 — Nie obchodzi mnie zresztą ta choroba umysłowa — Else pokręciła bezradnie głową. — Ale że mój mąż nie chciał się ze mną zobaczyć...  
 — Proszę przyjść do mnie, to przeczytam pani rozdział *Biblij* — hrabina chwyciła ją za rękę.  
 A Else mimowolnie wstała i poszła za nią.

### XXX

Kolejna noc była dla Else najstraszliwszą ze wszystkich straszliwych nocy w tym miejscu. Tym razem nie czuła irracjonalnego strachu, który wcześniej doprowadzał ją do granic obłądzenia. Wściekłość pacjentów z *delirium*, krzątania i paplanina Belli Holm w celi obok zdawały jej się być czymś całkiem zwyczajnym. Nie chodziło też o oświadczenie Hieronimusa, że jest umysłowo chora. Dlaczego miała się tym przejmować? Przecież nie *była* umysłowo chora i nigdy w życiu nie będzie! Skoro jej umysł wytrzymał podczas pobytu w tym Hieronimusowym piekle, zważywszy na żalostny stan, w jakim tutaj trafiła, cóż miałyby doprowadzić ją do szaleństwa? Chodziło o to, że Knut nie chciał się z nią zobaczyć. Że chcąc się jej pozbyć, oszukał ją i nakłonił, by dobrowolnie tu przyszła. *Tego* doprawdy nie musiał zrobić.

Czuła się, jakby duszę łamano jej kołem. A wcześniej myślała, że osiągnęła już szczyt cierpienia! Dopiero teraz do niego dotarła.

Tage, jej synek, co z nim się stanie?

Ona też miała zostać wysłana do świętego Jerzego. Przypomniała sobie dreszcz, jaki przeszył ją, kiedy raz w celi panna Stenberg powiedziała, że jedna z pacjentek ma jechać do świętego Jerzego. Ale żeby tam? Boże drogi, jeśli *miała* już być trzymana pod kluczem, to wszędzie, byle nie tu, pod kontrolą Hieronimusa.

Ten Hieronimus, dziwny człowiek! *Na pewno* to stanowisko uderzyło mu do głowy, to ono go zamroczyło. Nie zadał jej ani jednego pytania o stan umysłu. Nie zagadnął nawet o przeczcucia z tyłu jej głowy, o to, jak się objawiają. Ani o to, jak było jej tutaj, jak strach, brak nadziei i destrukcyjny wpływ bezsenności niemal rozprawiły się z nią raz na zawsze; o tym nie miał bladego pojęcia. Jak staromodny nauczyciel, który biciem i surowym traktowaniem próbuje karać i ujarzmić zbuntowanych, nieposłusznych uczniów — tak właśnie Hieronimus traktował ją.

Zdrada

I wyobrażał sobie, że pozjadał wszystkie rozумы! Miał czelność powiedzieć krótko i zuchwale: „Jest pani chora umysłowo i będzie zamknięta u świętego Jerzego”. I to z taką nieskrywaną radością, z miną, jakby połknął właśnie jakiś smakołyk.

Ciekawe, czy nie próbował skrycie doprowadzić jej do wściekłości, wywołać u niej paroksyzm, który dałoby się wykorzystać jako kolejny dowód jej choroby umysłowej. Bo dowody, które posiadał, i jemu musiały zdawać się nieco mgliste: w swojej twórczości wykazywała zainteresowanie tym, co nienormalne, podobno rzucała się z wrzaskiem na podłogę i nie mogła zasnąć na szóstym oddziale.

Tak, tak, to wszystko jedno. Nie potrafiła rozgryźć tego Hieronimusa. Miał pewnie swoje teorie, na podstawie których działał. Biedny Hieronimus, któregoś dnia zostanie obnażony.

Ale Knut! Knut! Który nie chciał się z nią zobaczyć.

Gdyby mogła wkrótce się stąd wydostać! Będzie tęskniła za pielęgniarkami. Które, godzina za godziną, pomagały jej w niedoli. Pomysleć tylko, że nie będzie musiała oglądać Hieronimusa!

\*

— Chciałbym, żeby spotkała się pani ze swoim lekarzem domowym — dzień później powiedział Else Hieronimus. — Przekona się pani, że nie tylko moim zdaniem należy panią wysłać do świętego Jerzego, ale i zdaniem doktora Tvedego i pani męża. Dlatego dałem znać, żeby wpuścić do pani doktora, obojętnie, kiedy się zgłosi. Powinna też pani pójść pospacerować w ogrodzie — ciągnął Hieronimus. — Żeby przyzwycząć się do powietrza. U świętego Jerzego będzie pani wychodziła codziennie.

— Proszę iść ze mną — po południu powiedziała hrabina do Else; była już ubrana na spacer. — Człowiek jest to winien swojemu ciału, nawet gdy jest w takim miejscu.

Pani Kant, którą wiele razy wcześniej zachęcano do spaceru, tym razem zgodziła się towarzyszyć hrabinie.

Ale gdy po dwudziestu minutach wróciła na górę, obiecała sobie, że to pierwszy i ostatni raz. Chodzić tam i z powrotem po otoczonym wysokim parkanem skrawku ziemi, który nazywano ogrodem, po dwóch ścieżkach wśród nagich drzew, śledzona i pilnowana jak aresztantka, tak blisko gapiących się na nią okien budynków naprzeciw... O nie, była to kolejna kropla w czarze goryczy, którą codziennie musiała opróżniać.

Nazajutrz rano, gdy Else chciała wyjść na korytarz z celami, ujrzała, jak w jednej z nich znika nieznany mężczyzna w towarzystwie dwóch ubranych na biało stażystów. Else myślała tylko o tym, jak ukryć się przed tym obcym człowiekiem. Śpiesznie wróciła do swojej sali.

Ale cóż to znowu? Weszli tutaj? Usłyszała zbliżające się nieznajome kroki i uciekła, wiedzona lękiem i niepokojem, do okna, przy którym odwróciła się plecami do drzwi.

— Pani Kant, znajomy chciałby się z panią przywitać — powiedział jeden ze stażystów w wejściu.

Else nie ruszyła się z miejsca. Krew napłynęła jej do serca, musiała chwycić się ramy okiennej, by się podeprzeć.

— Dzień dobry, pani Kant — odezwał się obcy głos tuż obok.

Odwróciła się.

Stał tam tęgi, ciemnowłosy, szeroko uśmiechnięty mężczyzna.

— Przyszedłem na inspekcję oddziału i przy okazji chciałem się z panią przywitać. Chyba mnie pani poznaje?

— Nie — wyjąkała.

— Ależ owszem... To Anton Ringe, z którym tak często bywała pani u Hahnsów — wyjaśnił stażysta.

Teraz go rozpoznała.

— Bardzo się pan zmienił — powiedziała mocno skonsternowana.

— Oczywiście. Dziesięć, dwanaście lat, nic dziwnego.

A w jego spojrzeniu Else wyczytała: „Żeby pani wiedziała, jak się pani zmieniła”.

— Jestem medykiem, może pani pamięta — mężczyzna wciąż się uśmiechał, zapewne nie wiedząc, jak inaczej wyrazić swoją życzliwość. — Odwiedzam szpitale.

— Ach, tak — powiedziała Else, która wolałaby zapaść się pod ziemię.  
 — Jak się pani miewa?  
 — Och, dobrze.  
 Else miała wrażenie, że podłoga pod nią rozgrzała się do czerwoności.  
 — Cóż, pewnie pani przejdzie. Do widzenia, pani Kant — podał jej dłoń. — Miło było panią zobaczyć.  
 „Miło panią zobaczyć”. Rzuciła się z płaczem na fotel.  
 — Miała pani dziś odwiedziny — powiedział zastępca ordynatora, gdy przyszedł wieczorem.  
 Else popatrzyła na niego z oburzeniem.  
 — Cóż, pomyśleliśmy, że to panią ucieszy.  
 — Ucieszy mnie? No, oczywiście! Przecież *wszystko*, co tutaj się dzieje, wynika z troski o to, co *mnie* może ucieszyć! Mojego męża nie mogłam zobaczyć, skądże znowu, bo bym tego nie zniosła, ale tego obcego człowieka, którego poznałam w kręgach towarzyskich, gdy moje życie było takie jak innych, już tak!  
 Twarz drżała jej od powstrzymanego płaczu.  
 — Tak, był to błąd, pani Kant — odparł poważnie zastępca ordynatora — ale, jak już mówiłem, mieliśmy jak najlepsze intencje.  
 „Najlepsze intencje!”. Gdyby miała pod ręką armaty i proch, wysadziłaby w powietrze ten okropny zwrot, wymazała go z tego świata.  
 Następnego dnia Else znów brała kąpiel. Odprowadziła ją panna Bøhn, pełniąca dyżur zamiast panny Ræder.  
 — A więc jest tutaj tylko jedna łazienka na cały szósty oddział? — zapytała pani Kant, ubierając się. — I wszyscy się tutaj kąpią, obojętnie, na jakie cierpią choroby? Również przestępczynie, przebywające na obserwacji?  
 — Tak.  
 — A więc Konradi Schøller, która udusiła chłopca, kąpała się w tej samej wannie. Była tu z nią pani?  
 Panna Bøhn skinęła głową.  
 — I nie zauważyła pani, że tak naprawdę jest mężczyzną?  
 — Nie, bo w ogóle na nią nie patrzyłam. Kiedy leżała w łóżku, parę razy pomyślałam, że powyżej ramion przypomina mężczyznę. Ale kto mógł pomyśleć...  
 „To ostatni raz, kiedy biorę tu kąpiel”, powiedziała sobie Else w duchu.  
 Na górze Bella Holm chodziła po korytarzu z celami w szpitalnym stroju i co chwilę schylała się po coś na podłodze.  
 — Mówię pani, leżała tam jednokoronówka — powiedziała do pani Kant. — A kiedy widzi się jednokoronówkę na ziemi, to się ją, na Boga, podnosi.  
 — Jest z nią tak samo źle, jak wtedy, gdy przyszła — zauważyła Else, zwracając się do pielęgniarki.  
 — Tak, bo jeszcze nie spała. Długo to tym razem trwa.  
 W nocy Else leżała nieruchomo, przez kolejne godziny rozmyślając i smucąc się tym, że Knut nie chciał się z nią zobaczyć. Jej serce zdawało się być jedną raną. I Tage, słodki, cudny, maleńki Tage — czy i jego serduszko miało się od niej odwrócić?  
 Gdy przed południem wyszła na korytarz z celami, zajrzała do pani Fog, która leżała z zamkniętymi oczami i rękami sztywno wyciągniętymi na kocu. „Niemożliwe, żeby żyła”, pomyślała Else i schyliła się, aby posłuchać jej oddechu.  
 Wtedy pani Fog otworzyła oczy i posłała jej spojrzenie jak głośny krzyk. Else przeszedł zimny dreszcz. Kto by pomyślał, że ta mumia może tak patrzeć?  
 Wargi pani Fog wolno się poruszyły, a jej wzrok krzyczał i prosił, dłonie uniosły się i po omacku szukały siebie nawzajem.  
 — Tak — pani Kant szepnęła jej na ucho. — Mamy się razem pomodlić?  
 Oczy się zgodziły.  
 Else ujęła dłonie pani Fog i pomogła je złożyć. Następnie sama złożyła dłonie i odmówiła *Ojcze nasz*. A proszące oczy w twarzy mumii cały czas wpatrywały się w oczy Else.

Szaleństwo, Starość,  
 Modlitwa

Gdy modlitwa dobiegła końca, pani Fog wolno spuściła wzrok, zapadnięte usta zaś drgnęły, jakby w uśmiechu. Jej oddech był niemal bezgłośny. Pani Kant chwilę stała i na nią patrzyła.

Dziesięć minut później, gdy wracała do swojej sali, znowu zjrzała do pani Fog, która leżała jak wcześniej. Jej twarz nabrała odcienia wyraźnej żółci i lekko jaśniała.

— Aż można pomyśleć, że nie żyje.

— Bo nie żyje — powiedziała panna Suenson.

Śmierć

### XXXI

— Jeśli chce pani zobaczyć ciało, musi pani przyjść teraz, pani Kant.

Panna Suenson stała w drzwiach, machając i szepcząc do Else, która wstała, po czym wspólnie udały się do celi pani Fog, której drzwi zamknęła za sobą panna Suenson.

Ciało leżało na materacu z jutowego płótna, jak zwłoki samobójczyni, ciasno zawinięte w prześcieradło, wyraźnie zdradzające jego zarys; wydawało się Else tak małe, jakby należało do niewyrośniętego dziecka.

Panna Suenson odrzuciła na bok prześcieradło, a pani Kant odsunęła się ze strachu. Ciało pani Fog było samym szkieletem obciążonym ziemistą, przezroczystą skórą. Z czoła i głowy została czaszka, dolna szczęka zapadła się, przez co usta się otworzyły, podbródek spoczywał na piersi. Kości ramion i łokci zdawały się nienaturalnie duże, brzuch zaś był obkurczony i wklęsły. Na wysoko wystającej klatce piersiowej narysowano krzyżujące się, szerokie, niebieskie linie.

— Co to jest? — zapytała Else, wskazując na kreski.

— Lekarze rysują to ostatnio na ciałach. Nie wiem do końca dlaczego.

„Ileż musiała się nacierpieć, skoro wygląda na tak wycieńczoną”, pomyślała Else, chłonąc przerażający widok.

— No — powiedziała panna Suenson i odłożyła prześcieradło. — Zaraz przyjdą ją zabrać. Do celi zgłoszono już nową pacjentkę.

Else wróciła do swojej sali, gdzie rozmyślała o pani Fog. O ludzkim życiu, które dobiegło końca. Jakie było? Umarła w tym miejscu, wśród obcych, bez miłej dłoni, która mogłaby zamknąć jej powieki. A przecież miała syna, który patrzył na nią czule, ze smutkiem, i klęczał przy jej łóżku. Na pewno chciałby być przy niej w tych ostatnich chwilach. Jednak życie nie liczy się z tym, czego sobie życzymy.

Może i ona będzie kiedyś umierać sama, opuszczona w obcym miejscu, a jej syn, może jedyny człowiek, który zostanie jej na tym świecie, nie będzie mógł być wtedy przy niej. Jej syn — słodki, mały Tage. Skuliła się i zapłakała z tęsknoty za dzieckiem. Gdyby tylko mogła czegoś się o nim dowiedzieć. Mijało już osiemnaście dni, odkąd zostawiła go w domu.

Może niania mogłaby ją odwiedzić, skoro Knut nie chciał? Och, Knut, Knut... Dalej płakała.

Tak, raz jeszcze napisze do profesora, ukorzy się przed nim, jak jej radzono, i poprosi o pozwolenie na spotkanie z nianką.

Po południu dostała atrament i papier i napisała między innymi: „Ale choć *jestem* umysłowo chora, nie rozumiem, jak Pan, który sprawuje nade mną władzę, może mieć za zadanie zadawać mi jak najwięcej bólu i cierpień. Już samo pozbawienie mnie wolności osobistej jest nieznośną męką, do tego jeszcze nie mogę zobaczyć ani dowiedzieć się niczego o moim dziecku...”. Na koniec usilnie poprosiła o pozwolenie na wizytę nianki.

Panna Stenberg natychmiast zaniósła list i wróciła z wiadomością, że profesor go otrzymał, ale jutro wyjeżdża i wróci dopiero pojutrze.

Serce stanęło Else w piersi na myśl o tej zwłoce. Nic jednak nie mogła zrobić. W międzyczasie pozostawało jej żyć nadzieją. Wzięła swoją robótkę i usiadła przy oknie, ale nie mogła szydełkować przez ból głowy, który wciąż jej dokuczał. Ból zęba też utrzymywał się noc i dzień, mniej lub bardziej wyraźny, nadal dostawała zastrzyki z morfiną. Odłożyła robótkę i siedziała spokojnie z rękami na kolanach.

Nagle usłyszała podniesiony głos i przechodzący w krzyk płacz z korytarza z celami, a kiedy nań wyszła, ujrzała, jak panna Stenberg odciąga panią Syverts, która z wrzaskiem stawiała opór.

Trup, Ciało

Los, Kondycja ludzka,  
Tęsknota

List

— Co pani myśli, pani Kant? Zmuszają mnie znów do leżenia! — zawołała pani Syverts, kiedy weszły do celi. — Nie chcę, nie chcę! — Wyrzywała się i tupiała. — Oszaleję od leżenia na tym łożu boleści!

Panna Stenberg bez słowa chwyciła ją, przycisnęła do krawędzi łóżka i rozpięła jej koszulę.

Pani Syverts płakała i wyzywała, aż ucichła i, sztywno patrząc przed siebie, sama pomogła się rozebrać.

— Dlaczego ma się znowu położyć? — zapytała Else.

— Polecenie profesora.

— Jak długo mam znów tutaj leżeć? — wymamrotała pani Syverts już na łożku. Nagle zacisnęła pięści i krzyknęła: — Dlaczego po prostu mnie nie otrujecie? Przecież tego właśnie chcecie.

Zaniosła się szlochem i odwróciła do ściany.

— Napisała list do męża, który nie spodobał się profesorowi. Zdradzał obłąd.

— Biedna kobieta — powiedziała Else. — A przecież było jej już tak dobrze.

Do celi pani Fog wprowadzono nową pacjentkę. Pani Kant weszła, by na nią popatrzeć.

Była to czterdziestolatka o rumianej, pulchnej twarzy, grubych, popękanych wargach, z ciemnymi, krótko obciętymi włosach, wystającymi spod czepka nocnego. Na jednej skroni miała dużą białą bliznę. Leżała z zamkniętymi oczami, zdawała się spać.

Nagle błyskawicznie wyprostowała się na łożku i machnęła zaciśniętą, ziemistej barwy pięścią w stronę twarzy Else, wylewając przy tym strumień ordynarnych przekleństw. Pani Kant tak się przeraziła, że wypadła tyłem z celi.

Niedługo potem zajrzała do niej zaciekawiona, tym razem tylko wyglądając zza framugi. Kobieta leżała spokojnie na poduszce i znów zdawała się spać. Ale wtedy, równie niespodziewanie jak poprzednio, usiadła na łożku, grożąc Else i obrzucając ją wstrętnymi wyzwiskami.

— Co za straszna osoba — powiedziała pani Kant do panny Stenberg, śpiesznie odchodząc od drzwi.

— Tak. A nazywa się *madame From*<sup>30</sup> — zaśmiała się pielęgniarzka.

Pacjentka w pogłogu była zupełnie inna. Nie wspominając o babci. Else zajrzała do obydwu, zanim wróciła do swojej sali.

## XXXII

Else chodziła po swoim pokoju tam i z powrotem, niespokojna i pełna nadziei. Wieczorem Hieronimus miał przyjść na obchód. A wtedy ona pozna jego odpowiedź na list. Była czwarta. Za dwie i pół godziny mógł już tu być.

Och, ta dokuczliwa słabość! Zmęczona osunęła się na krzesło, oparła się, zasłaniając dłonią oczy i zapadła w drzemkę, z której niedługo później obudziły ją kroki wchodzącej osoby.

Stał przed nią Hieronimus w płaszczu i rękawiczkach.

Prędko wstała, drżąc na całym ciełe.

Profesor usiadł na szeszlongu, a Else zajęła swoje poprzednie miejsce.

— Znów napisała pani do mnie list — zaczął nieprzychylnym tonem. — Używa w nim pani nazbyt mocnych słów.

Else nie wiedziała, czy się nie przesłyszała. Przecież tak się trudiła, by dobrać *jak najłagodniejsze* określenia.

— Mówi pani o bólu i cierpieniach i że jest pani pozbawiona wolności — ciągnął Hieronimus drwiąco. — Ma pani więcej wolności niż wskazane jest dla pani dobra.

Else chciała odpowiedzieć, ale wtedy w sali zjawił się doktor Tvede.

— O, a oto i doktor — odezwał się Hieronimus.

Tvede przywitał się najpierw z profesorem, potem z Else.

— Dziękuję — powiedziała.

Więcej nie mogła z siebie wydobyć. Wargi drżały jej od płaczu.

— Jak pani sen?

Pokręciła głową.

<sup>30</sup>*From* (norw.) — potulny, pobożny. [przypis tłumacza]

— Nie mogę tu spać. Tak tu wszystko słycać.  
— Przesada. Wcale nie słycać — rzucił Hieronimus gniewnie.  
— Do tego chorzy hałasują — ciągnęła Else, nie spuszczać wzroku z Tvedego.  
— Zaraz tam hałasują — odezwał się profesor. — Ja uważam, że jest tu spokojnie — posłał Tvedemu spojrzenie, jakby szukał potwierdzenia. — Najwięcej hałasuje tu pani Kant — warknął.

Else głośno łapała powietrze, tak oburzyły ją słowa Hieronimusa. Czuli się, jakby miała zapaść się pod ciężarem tego kłamliwego zarzutu. Wtedy jednak w jej głowie zaświtała myśl: „On chce wywołać u ciebie wybuch, żeby Tvede przekonał się o twojej chorobie umysłowej”. Dlatego odparła spokojnie, choć drżącym głosem:

— Z wyjątkiem pierwszego wieczoru, kiedy płakałam i prosiłam w rozpaczy, bo niczego nie rozumiałam...

Musiła przerwać, słowa uwięzły jej w gardle.

— No, może pani porozmawiać z doktorem. — Hieronimus wstał i jak najprędzej, z roztargnieniem opuścił salę.

Tvede podszedł do Else i podał jej obie dłonie.

— Widzę, jaka jest pani umęczona — rzekł.

— Czy to prawda, że mają przenieść mnie do świętego Jerzego? — zapytała, gdy tylko odzyskała głos.

— Tak. Tam będzie pani dobrze.

— A więc pan i Knut zgadzacie się z Hieronimusem. Aż takie ma pan do niego zaufanie? Widział pan, jaki on jest.

— Darzę go zaufaniem jako lekarza. Jako człowieka go nie znam.

— Dlaczego Knut nie chce się z mną zobaczyć?

Małe oczy Tvedego nieco się powiększyły.

— Nie chce się z panią zobaczyć?! Profesor mu nie pozwala.

— Czy to prawda? — Else odetchnęła z niewypowiedzianą ulgą. — Nie *wolno* panu mnie oszukiwać.

— Zapewniam panią, pani Kant. Pani mąż rozpaczal, bo nie wolno mu było do pani przyjść.

— Och, Bogu dzięki, Bogu dzięki. — Else ścisnęła dłonie Tvedego, płacząc z twarzą przytkniętą do jego ramienia. — Dzięki panu kamień spadł mi z serca.

Tvede dalej zapewniał, jak bardzo Knut ubolewał nad tym, że nie mógł się z nią spotkać.

— A więc Hieronimus *kłamie* — odezwała się po chwili i wytarła oczy. — Oczywiście, że kłamie, prócz wszystkich innych podłości, których się dopuszcza! Jego słowa o moim hałasowaniu to bezczelny wymysł, coś, na co wpadł w tamtej chwili i uznał za stosowne powiedzieć.

Tvede milczał.

— Jak Knut zareagował na mój list?

— Jaki list?

— Który napisałam do profesora, a który on pokazał panu i Knutowi.

— Nie widzieliśmy żadnego listu, ani ja, ani pani mąż.

— Jest pan tego pewien?

— Tak, pani Kant.

— A więc to kolejne kłamstwo! I nadal chce pan zostawić mnie na łasce tego człowieka?

— Nie. Chcemy jak najszybciej przenieść panią do świętego Jerzego.

— Och, nie. Tylko nie do świętego Jerzego — prosiła Else. — Dlaczego mam zostać zamknięta wśród umysłowo chorych? Dość mam tego tutaj. I nie *jestem* aż tak chora, żeby koniecznym czy choćby właściwym było zamykać mnie, gdy sama tego nie chcę.

Tvede pokręcił głową. Wyglądał, jakby ta rozmowa sprawiała mu ból.

— Proszę mnie stąd jak najprędzej zabrać i dać mi wrócić do domu, choćby tylko, bym mogła zobaczyć synka i spakować walizkę — prosiła usilnie Else, zanosząc się płaczem. — A potem pojedę, dokąd tylko pan doktor i Knut zechcecie. Byle nie do kolejnego wariatkowa.

Lekarz, Kłamstwo

— Nie mogę pani zaufać — rzekł Tvede smutno. — Jeśli już wróci pani do domu, to... Nie dotrzymuje pani słowa. Kiedy mały był chory zimą, obiecała mi pani, że nie będzie wstawać w nocy i do niego zaglądać, a jednak to pani robiła.

„A co to ma z tym wspólnego?”, pomyślała Else z przykrością i dalej prosiła doktora. Opowiedziała też o wizycie obcego lekarza.

— Uważam, że nie powinno było do tego dojść — rzekł Tvede z dezaprobatą. — Pewnie czuła się pani zakłopotana, pani Kant.

— Zakłopotana! — Else zwróciła wzrok ku górze. — Jak pan myśli, jak czułam się, leżąc tu w celi, wśród samych wariatek, dzień i noc nie mogąc zmrużyć oczu? I jak pana zdaniem jest mi tu nadal?

Tvede popatrzył na nią współczującym wzrokiem, w którym Else wyczytała również zwątpienie i zdecydowanie, by nie dać się wzruszyć.

— Czy wobec tego przynajmniej obieca mi pan, że powie Knutowi, jak Hieronimus męczył mnie i okłamywał, utrzymując między innymi, że Knut nie chce się ze mną widzieć? — zapytała na koniec.

— Tak, pani Kant.

Tvede znów ujął jej dłoń.

— Powie mu pan, że byłam w celi i że wciąż tkwię wśród wariatek, że prawie w ogóle nie spałam, że wpuszczają do mnie obcych, którzy gapią się na mnie jak na jakieś dziwadlo. Zrobi to pan?

— Tak, tak. Wszystko przekażę.

— Czy nie mógłby też pan poprosić profesora, żeby pozwolił Knutowi tu przyjść?

— Niech sama pani o to poprosi.

Else usłyszała kroki Hieronimusa na korytarzu z celami.

— To on — szepnęła szybko. — Proszę mi pomóc, powiedzieć, że to nieprawda, że Knut nie chciał się ze mną zobaczyć, wyzwąć go...

— No — odezwał się profesor i patrzył uważnie to na jedną, to na drugą osobę.

Else posłała Tvedemu błagalne spojrzenie.

— Pani Kant bardzo chciałaby spotkać się ze swoim mężem — rzekł doktor takim tonem, jakby pokornie prosił profesora o wybaczenie.

— No cóż, jeśli pan Kant zechce się z nią zobaczyć, to jak najbardziej. Oczywiście. Choć sam odniosłem zgoła odmienne wrażenie.

— Owszem, bardzo tego chce — powiedział Tvede.

Ton miał tak niezdecydowany i minę tak niepewną, że Else wystraszyła się, iż ją oszukał.

— Nie chciałaby też pani zobaczyć małego? — zapytał Hieronimus, a jego spojrzenie i głos nagle się zmieniły.

Else musiała złapać powietrze, ale tym razem z radości.

— Bardzo dziękuję — powiedziała.

— Spróbujemy to zorganizować. Tymczasem może przyjść do pani niańka, którą tak bardzo chciała pani zobaczyć.

— Bardzo dziękuję — powtórzyła.

Tvede wyszedł z Hieronimusem. Gdy Else podała swojemu lekarzowi rękę na pożegnanie, uśmiechała się od ucha do ucha.

— Ten człowiek jest niemożliwy! — Hrabina weszła do niej, a na jej łagodnej twarzy pojawiło się wręcz podniecenie. — Pomyślałby kto... Być tak bezczelnym, by powiedzieć, że najbardziej hałasuje tu pani Kant! Stałam tam i wszystko słyszałam.

— Tak — przyznała panna Stenberg, która też się zjawiała. — Profesor musi mieć w tym jakiś cel, którego nie rozumiemy.

„Profesor jest łajdakiem i kłamcą”, pomyślała Else z pogardą. Ale co z tego? Skoro mieli tu przyjść — i Knut, i Tage... Rozpromieniona z radości przekazała im nowinę.

— Ale że dziecko, tego nie rozumiem — powiedziała panna Stenberg. — Do szpitala nigdy nie wpuszcza się dzieci, chociaż pewnie profesor sam o tym decyduje.

\*



W liście do Hieronimusa Else dała słowo, że jeśli niańka będzie mogła przyjść, ona nie wykorzysta jej jako tajnego posłańca czy też kuriera, co, jak wiedziała, było zakazane. Teraz jednak w myślach wycofała tę obietnicę. Człowiekowi, który, jak profesor, okłamywał ją i oczernił w obecności Tvedego, nie była zobowiązana dotrzymać słowa. Na wszelki wypadek do przyjścia Inger chciała mieć gotowy list i zamierzała poprosić ją o przekazanie go Knutowi. Może Hieronimus będzie odwlekał jego odwiedziny. Wyglądało na to, że męczenie jej sprawiło mu przyjemność. A nastawienie Tvedego nie wzbudziło w niej nadziei. Zdawał się być zanadto podporządkowany Hieronimusowi.

Na żółtym stoliku w korytarzu znalazła skrawek papieru. Atrament i pióro wciąż miała u siebie. Natychmiast zasiadła do pisania, ale ilekroć słyszała kroki, jak najszybciej chowała kartkę pod robótkę. Najlepiej jak potrafiła w pośpiechu, opisała swój stan, celowo nie używając mocnych słów, by Knut nie pomyślał, że przesadza. Mimo to list był wołaniem o pomoc potrzebującej duszy, żarliwą prośbą, żeby *natychmiast* przyszedł. Żeby przynajmniej — jeśli obstawał przy swojej decyzji, by wysłać ją do świętego Jerzego, której ona była zdecydowanie przeciwna — najpierw koniecznie z nią się zobaczyć. Często przerywając, zapisała cały papier. Następnie złożyła go i schowała na piersi.

Po raz pierwszy, odkąd tam przybyła, zniknął ból, ciężący jej w klatce piersiowej. Wyszła na spacer po korytarzu z celami. Ilekroć mijala drzwi *madame* From, ta podnosiła się i rzucała w jej stronę wściekle wyzwiska.

— Działa pani na nią jak płachta na byka — stwierdziła panna Stenberg, zamykając drzwi celi.

— Tamta tam jest brzydka — powiedziała babcia, wskazując na drzwi *madame* From, po czym się wzdrygnęła. Następnie uśmiechnęła się od ucha do ucha i *zaszczebiotała*, kiwając głową: — Babcia zaraz wyjeżdża.

— Wyjeżdża?

— Przechodzi na spokojny korytarz — odparła panna Suenson. — Jej miejsce w celi zajmie ktoś nowy.

Else pożegnała się ze wzruszeniem z babcią. Do spokojnego korytarza nie wolno jej było chodzić.

— Kto teraz będzie podawał ci kawę?

— Kawę, tak — zaśmiała się bezgłośnie babcia. — Nasza miła pani przyjdzie pewnie z kawą dla babci.

Skinęła ufnie głową.

Pani Syverts leżała w łóżku i głośno wyzywała.

— Komedianci z was wszystkich! — powiedziała, gdy weszła do niej Else. — Jeszcze żeby ta wasza komedia była zabawna! Ale nie chce mi się jej oglądać. Ona mnie nudzi, dosłownie mnie nudzi.

— Proszę tylko się uspokoić — powiedziała pani Kant i chwyciła jej dłoń. — A wkrótce znów pozwolą pani wstać.

— Nigdy nie wstanę! — krzyknęła pani Syverts i wybuchła płaczem. — Taka jestem nieszczęśliwa, taka nieszczęśliwa. Robią tu ze mnie wariatkę!

Else zajrzała przez okienko w drzwiach celi do Belli Holm, która spokojnie spała w łóżku.

Za to pacjentka w połogu siedziała wyprostowana na swoim posłaniu, a łzy płynęły jej ciurkiem po twarzy.

— Nie ma pani chusteczki? — zapytała Else, gdy kobieta wytarła je prześcieradłem.

Chwilę popatrzyła na nią bez zrozumienia, po czym znów zapłakała.

Pani Kant podała jej swoją chusteczkę.

— Ale szmata — powiedziała pacjentka w połogu, trzymając ją z dala od siebie.

Następnie zwinęła ją w dłoń i wetknęła pod poduszkę.

— Słyszałem, że ma do pani przyjść mąż — rzekł zastępca ordynatora podczas wieczornego obchodu. — Chyba pogodzi się pani z profesorem?

— Dziecko też — dopowiedziała radośnie Else.

— *Tak* powiedział profesor? — zapytał lekarz z powątpiewaniem.

— Tak. Proszę tylko nie myśleć, że uwierzę, nim to zobaczę — dodała.

Była tego wieczoru taka wesoła i pełna nadziei, że mogła udawać niedowierzanie. Nawet gdyby profesor ją oszukał, miała schowany na piersi list, który zamierzała przekazać Inger.

### XXXIII

Zanim Else poszła do łóżka, skorzystała z okazji, by napisać jeszcze więcej do Knuta na karteluskach, które dostała od hrabiny pod pretekstem sporządzenia listy drobiazgow, jakie chciała, żeby przysłano jej z domu. Stale powtarzała swą prośbę, by do niej przyszedł, dodała też: „Jeśli nie zjawisz się tutaj *najpóźniej* w piątek wieczorem, popadnę w bezgraniczną rozpacz”.

Tej nocy Else przespała sześć godzin — co prawda po swojej zwykłej dawce leków.

Następnego ranka pisała dalej, aż wreszcie uzbierała całkiem sporo karteczek. Z pewnością siebie owinęła je wszystkie w kawałek gazety i z powrotem schowała na piersi.

Nieco po jedenastej naprawdę przyszła Inger. Else rozplakała się na jej widok i poprosiła ją o wieści na temat Tątego.

Inger opowiadała o wszystkim po trochu, pani Kant zaś słuchała i wypytywała.

— To musi być dla pani straszliwe miejsce — powiedziała wreszcie Inger.

— Tak, w rzeczy samej. Proszę, przekaż to panu. A tu jest coś, co do niego napisałam. — Else wyjęła prędko zawiniątko i schowała je na piersi Inger. — Nikt nie może się o tym dowiedzieć — szepnęła. — Jeśli ktoś w drodze powrotnej zapyta, czy coś ci dałam, musisz zaprzeczyć. Inaczej spadnie na mnie nieszczęście.

Inger skinęła ze zrozumieniem głową.

— Może pani na mnie polegać.

Wtedy wszedł Hieronimus.

— O, czy to ta niańka? — zapytał życzliwie.

— Tak. Dziękuję — rzekła Else.

Chwilę u niej stał, po czym się oddalił.

Gdy Inger miała już iść, Else odprowadziła ją przez korytarz z celami.

— Widzisz, z kim tutaj jestem — powiedziała, zatrzymując się przed otwartymi drzwiami cel.

— Och, nie! — Niańka zasłoniła twarz ręką. — Okropny widok.

Po południu pani Kant usłyszała dobiegający z korytarza z celami dziwnie głuchy jęk, jakby komuś zabrakło tchu, a następnie rumor czegoś przewracanego i tłuczonego. Kiedy tam wyszła, po korytarzu w dzikim tempie biegała młoda kobieta w wełnianych skarpetach i sukni z jutowego płótna z rękawami zszytymi u dołu, bez przerwy krzycząc albo coś mówiąc. Na podłodze leżał przewrócony stolik z miednicą i stłuczony dzbanek.

— Och, Boże Ojczy — jęczała. — Och, Rasmussen, och, Jakobsen, och, Jezu Chryste, matko, matko, ciotko, Rasmussen. — Była czerwona na twarzy, a jej zrozpaczone oczy błyskały białkami ze strachu. — A oto Bóg Ojciec! — krzyknęła nagle i rzuciła się na kolana przed panią Kant. — Och, Boże Ojczy, och, Rasmussen!

Zwróciła twarz ku podłodze i chwyciła brzeg sukni Else.

Ona zaś odsunęła się wystraszona.

— Już, już — powiedziała panna Stenberg. Schyliła się i uniosła wyjąca kobietę. Następnie usiadła na krześle i wzięła ją na kolana.

— Kto to jest? — zapytała Else.

— Niejaka panna Foss. Lat dwadzieścia cztery.

Panna Foss wyła i wzywała Jezusa, Rasmussena, Jakobsena i Boga Ojca, matkę oraz ciotkę. Cały korytarz wypełniała swoim krzykiem. Co chwilę usiłowała się wyrwać, lecz panna Stenberg trzymała ją w żelaznym uścisku.

Cały dzień zachowywała się tak samo. Gdy tylko panna Stenberg puszczała ją, wezwana do kogoś innego, biegała w szalonym tempie tam i z powrotem. Zastrzyki z morfiną, które dostawała, nie działały.

Kiedy Else wieczorem położyła się do łóżka, słyszała głuche dudnienie panny Foss, chociaż była ona zamknięta w najodleglejszej celi. Mimo to pani Kant zapadła w sen. Myśl, że Knut otrzymał jej list, przynosiła jej spokój.

List, Sen, Nadzieja

Szaleniec, Szaleństwo

Nazajutrz był czwartek. Na dworze było oślepiająco jasno i bezchmurnie, na niebie świeciło poranne słońce. Else czuła jego blask w sercu. Hałas i zawrodość panny Foss, niezmiennie takie same, nie dosięgały jej zmysłów. Dziś na pewno zjawi się Knut.

Czyś widział kraj, gdzie nad Dnieprem srebrzystym  
Zbóż złotem ziemia rozkołysana?  
Gdzie znad niezmiernych stepów wiatr czysty  
Zapach niesie stokrotek i siana?  
Tam wrócić chce moje serce stęsknione,  
Gdzie młodo biło, tam przenieść się musi,  
By pieśni Hryčka słuchać z dni minionych  
I kwiaty wplatać w warkocz Marusi.

Zwrotkę tę przeczytała na oderwanym kawałku gazety, który rankiem znalazła na stoliku w korytarzu, a teraz te cudne wersy rozbrzmiewały w jej duszy, pierś zaś wzbierała z radości na myśl o wiosnie, która musiała teraz unosić się w powietrzu, i z tęsknoty za słońcem i wolnością.

W nieokreślonych, lekko umykających i z wolna powracających wspomnieniach, ukazywał się jej obraz letnich dni z młodości, gdzie sięgające chmur ośnieżone szczyty wznosiły się w blasku słońca, w dolinach zaś rzeki wartko płynęły wśród malutkich młynów wodników i omszałych, pochyłych pagórków. Gdzie słońce migotało ciepło i czarodziejstwo wśród pełnych listowia, delikatnych gałęzi brzoź o białych pniach. Czuła wokół siebie szum letniego wiatru, czuła woń świeżo skoszonego siana.

Tam wrócić chce moje serce stęsknione,  
Gdzie młodo biło, tam przenieść się musi...

Oczy zasły jej łzami, gdy tak stała przy oknie, wypatrując Knuta. W rogu wysokiego drewnianego ogrodzenia widniała furtka, którą dawała radę dostrzec. Przez nią wchodził i odwiedzał.

„Dziś prawdopodobnie zobaczy pani swojego męża”, powiedział zastępca ordynatora podczas obchodu. Od tamtej pory Else nie zeszła z posterunku przy oknie.

Było wpół do jedenastej. Rozpoczęła się pora odwiedzin.

Nastała jedenasta, a ona wciąż stała, desperacko czekając i wypatrując. Jej nadzieja zaczęła się kurczyć.

Minęło wpół do dwunastej, a Else nadal tam stała, niecierpliwa i rozgorączkowana. Co jakiś czas musiała się poruszać.

— Proszę już nie czekać na męża — powiedział głos panny Stenberg za nią. — Jest dwunasta.

Pani Kant usiadła w fotelu i zapłakała gorzkimi łzami zawodu. Zaraz jednak odzyskała nadzieję. Jutro też był dzień. Cierpliwie poczeka do jutra.

— Jednak nie wysłać mnie do świętego Jerzego — powiedziała do panny Ræder.

— Tak pani myśli?

Życzliwa, lecz zdradzająca powątpiewanie mina pielęgniarki wywarła na Else nieprzyjemne wrażenie. Po chwili jednak otrząsnęła się z niego i powiedziała:

— Tak, proszę tylko poczekać.

— Nigdy nie widziałam, by nie wydarzyło się coś, czego chce *profesor* — odparła panna Ræder.

„Gdybym tylko śmiała powiedzieć jej o moim liście do Knuta”, pomyślała Else. „Wtedy przestałaby się ze mną nie zgadzać”.

\*

— Jak ona to wytrzyma? — zapytała Else pannę Stenberg, gdy po południu siedziała na korytarzu z celami, patrząc na pannę Foss, której stan pozostawał bez zmian. Wargi miała krwiste i popękane, a na koniuszku języka wrzodzącą ranę. — Że też nie zemdleje?

Wspomnienia

Nadzieja, Rozczarowanie,  
Rozpacz, Konflikt  
wewnętrzny

— Dostała sześć zastrzyków z morfiną — odpowiedziała panna Stenberg. — Zaraz ją zabandażujemy.

Panna Suenson weszła z wiadrem wody i prześcieradłami przewieszonymi przez rękę. Panna Stenberg zaciągnęła pannę Foss do celi, gdzie Suenson odstawiła wiadro. Else przyglądała się, jak dwie pielęgniarki, walcząc z chora, zdejmują z niej ubrania.

Następnie pannę Foss położono na materacu na podłodze. Panna Stenberg przytrzymała ją, klęcząc, panna Suenson zaś wylewała wodę na prześcieradła poskładane w szerokie pasy, a następnie chora, której usta nie zamykały się ani na sekundę, pomimo oporu została owinięta od podbródka po stopy. Potem otulono ją kocami, które spięto sporymi agrafkami. Pot perlił się na twarzach obu pielęgniarek i lał się z panny Foss. Zostawiły ją i zamknęły na klucz drzwi celi.

Else stała na korytarzu i zaglądała do środka przez okienko w drzwiach. Panna Foss mówiła i jęczała jak wcześniej, a całe jej ciało czasem podskakiwało na ćwierć<sup>31</sup> od materaca. Wreszcie udało jej się z niego zsunąć i rzucała się na samej podłodze.

— Nie było tu dziś pani męża? — zapytał zastępca ordynatora podczas wieczornego obchodu.

— Chyba dobrze pan to wie — odparła Else.

— Może być pani spokojna, że przyjdzie, skoro obiecał to pani profesor.

Lekarz skinął głową.

— Obiecał też, że przyjdzie moje dziecko — powiedziała — a to wbrew regulaminowi.

Nazajutrz rano też było słonecznie, pani Kant znów patrzyła przez okno i nucila: „Czyś widział kraj, gdzie nad Dnieprem srebrzystym...”.

— Dzisiaj na pewno przyjdzie pani mąż — powiedział zastępca ordynatora.

„Na pewno”, pomyślała Else. Był piątek, a ona napisała, że poczeka do piątku.

Ale znów było jak wczoraj. Czekala aż do dwunastej. A potem odwróciła się od okna i usiadła w fotelu — chora, unicestwiona.

— Nie była dziś pani na korytarzu z celami — powiedziała panna Stenberg, oburącz podnosząc Else z fotela. — Proszę. Tęsknimy tam za panią.

Knut mógł jeszcze przyjść. „Najpóźniej do piątku wieczorem”, napisała. Och, Knut, Knut — byle tylko mogła z nim porozmawiać, wyjaśnić mu, że po prostu nie mogą wysłać jej do wariatkowa. Przecież nigdy, przenigdy nie zawiódł, gdy był potrzebny. Wysłała z panną Stenberg na korytarz z celami i zajrzała przez okienko do panny Foss.

Ta chodziła tam i z powrotem zupełnie naga, pochylona, wyjąc, jęcząc i wzywając Rasmussena, Boga Ojca i wszystkich innych. Na materacu leżały skrawki materiału.

W nocy wydostała się z bandaży. Dlatego dali jej jakieś ubrania, które podarła i wyrzuciła, jak dowiedziała się później Else.

Po południu pani Kant nie mogła usiedzieć na miejscu. Uciążliwy niepokój rozchodził się po jej ciele, napięcie boleśnie ścisnęło w piersi.

Dzień mijał, a Knut nie przychodził. Dopiero o szóstej Else straciła nadzieję.

#### XXXIV

A później po całym tym napięciu i niepokoju nie został ani ślad. Pojawiła się za to lodowata bezwzględność, która przyniosła jej spokój. A zatem *było* prawdą, że Knut nie chciał jej widzieć. Skoro nie przyszedł po przeczytaniu listu, który wysłała, to... Zupełnie nic z tego nie rozumiała — ale było jej już wszystko jedno.

Kiedy Hieronimus przyszedł na wieczorny obchód, Else zapytała, czy jej mąż dowiedział się, że może ją odwiedzić.

— Nie — odparł profesor radosnym tonem. — Nie ma pośpiechu.

— A zresztą wszystko to jedno — odpowiedziała. — Nie mam już chęci widzieć mojego męża.

— Ta chęć jeszcze wróci.

Hieronimus wypadł z jej sali.

Nazajutrz rano podczas obchodu zastępca ordynatora znów zaczął mówić o tym, że wkrótce przyjdzie pan Kant. Bo profesor dotrzymuje słowa.

— Nie chcę już widzieć się z mężem — rzuciła Else gwałtownie. — Nigdy w życiu!

<sup>31</sup>ćwierć (daw.) — tu: dawna miara. [przypis edytorski]

— Nieladnie tak — powiedział lekarz.  
— Zostawił mnie tutaj, ani razu mnie nie odwiedził. To nie *jego* zasługa, że nie straciłam rozumu.

— Trochę rozsądku, pani Kant — zastępca ordynatora ujął dłoń Else i spojrzał na nią stanowczo — Nie wie pani przecież, pod jaką presją żył pani mąż.

— Ale skąd ta jego nagle wiara w autorytet? I to w tak zbląkanego człowieka jak Hieronimus?

— Trzeba wierzyć lekarzom, prawda, pani Kant? Dobrze wychowani ludzie są już tak nauczeni.

— Ale żeby narażać najbliższych na zgubę tylko przez dobre wychowanie?! — zawołała ze złością.

Około piątej po południu przed Else nagle stanął doktor Tvede. Siedziała wtedy przy oknie i szydełkowała.

Przyjęła go z lodowatym spokojem. Przekazał moc pozdrowień od jej męża.

— A więc *pójdę* do świętego Jerzego? — zapytała po prostu.

— Tak, pani Kant.

— Nie mamy o czym ze sobą więcej rozmawiać. Znakomicie przekazał pan moją wiadomość dla męża.

Doktor Tvede jąkał się, poważny i zasmucony. Jego wizyta okazała się krótka. Wycho-  
dząc, podał jej rękę.

— Żegnam — powiedziała Else, wstając. — Możliwe, że rozmawiam z panem po raz ostatni, bo kiedy wyjdę od świętego Jerzego, już do pana nie wrócę.

Wtedy Tvede odszedł.

Godzinę później zjawił się Hieronimus. Else ponownie spytała, czy jej męża poinformowano, że może ją odwiedzić.

A wtedy ponownie zabrzmiało tak samo radosne „nie” i to samo „nie ma pośpiechu”.

— Miałem zresztą przekazać pani to — na stoliku przed nią Hieronimus położył list.

Od razu poznała, że napisał go Knut i że rozdarło go jak poprzednio.

— Nie przeczytam listu od męża, który został otwarty przez *pana* — rzekła Else i pośpiesznie wstała.

— Żal mi pani męża — odparł profesor.

Else oddaliła się na kilka kroków, po czym stanęła, na wół odwrócona.

— To zresztą wielce chybione oburzenie — powiedział Hieronimus kpiąco. — Jako osoba wcześniej internowana wie pani przecież, że listy umysłowo chorych pacjentów zawsze są otwierane.

— Tymi, którzy wtedy do mnie pisali, w ogóle się nie przejmowałam — odparła. — Teraz jest inaczej. Poza tym moich listów nie otwierano.

— Hm. Chyba źle pani pamięta.

Else zmierzyła go zimnym spojrzeniem.

— Powinna pani wciąż starać się zachowywać panowanie nad sobą — ciągnął szycerco Hieronimus. — Będzie też pani miała ku temu okazję, kiedy na dłuższy czas trafi do świętego Jerzego.

Pani Kant nie odpowiedziała ani słowem.

Hieronimus nie śpieszył się, wychodząc.

Gdy zniknął, Else ujęła list kciukiem i palcem wskazującym i rzuciła go na stół na korytarzu.

„Jako osoba wcześniej internowana”. Również to musiał wytknąć jej ten „lekarz” od chorych umysłowo.

Wtedy. Jakże spokojnie i dobrze było jej w zakładzie u tamtego ludzkiego, miłego, starego ordynatora, który od dawna leżał już w grobie. Wtedy także jej chorobę spowodowała długotrwała bezsenność, wywołana niepokojem duszy. Wówczas było jej gorzej niż teraz. Nie rozpoznawała najbliższych, a małeńki, szary, gruby człowieczek bezustannie skakał po stole, zawsze z lampą między nogami. Ale natychmiast, gdy trafiła do zakładu, zasnęła. Gruby, szary człowieczek zniknął i ogarnął ją uzdrawiający spokój. A gdy po zaledwie dwóch miesiącach miała opuścić zakład, poprosiła, by pozwolono jej pobyc tam nieco dłużej. Jednak stary, miły ordynator z uśmiechem pokręcił swą siwą głową i powiedział, że nie może uzasadnić dalszego jej przetrzymywania, bo zajmowała miejsce

Wiadomość,  
Rozczarowanie, Lekarz

List

Wspomnienia, Lekarz

komuś, kto był naprawdę chory. Właśnie wspomnienie spokojnego, błogosławionego pobytu u starego, miłego ordynatora sprawiło, że tak chętnie udała się po pomoc do Hieronimusa.

Do Hieronimusa! Człowieka, który napisał kilka głośnych rozpraw, który prowadził wykłady tak ciekawe dla młodych medyków! Nic innego o nim nie wiedziała. No, było też wiadomo, że ma dolegliwości żołądkowe i że jest raczej zręczliwy.

Następnego ranka to profesor zjawił się podczas obchodu, w towarzystwie młodego stażysty.

Kiedy przyszedł, Else chodziła tam i z powrotem po korytarzyku przed swoją salą. Usłyszała jego kroki, ale zawróciła dopiero na końcu korytarza.

— Dzień dobry — przywitał się Hieronimus.

— Dzień dobry — mruknęła.

— Jak się pani miewa?

— Jak zwykle. — Else minęła go i weszła do swojej sali, aż do okna, przy którym stanęła, odwrócona plecami do profesora.

— Doktor Tvede był tutaj wczoraj? — usłyszała jego głos z korytarza.

— Tak — odparła panna Stenberg.

— Zrobiła scenę?

— Nie. Żadnej sceny nie było. Siedziałam tu na korytarzu, było całkiem spokojnie. Ale doktor Tvede był tutaj tylko przez chwilę, wychodząc zaś powiedział, że pani Kant była zła.

— Proszę zanotować, że pani Kant okazała złość doktorowi Tvedemu — zarechotał Hieronimus.

„Zapewne zwrócił się do stażysty”, pomyślała Else.

— *Tego* już mogła mi pani oszczędzić, panno Stenberg — powiedziała, gdy obchód się skończył.

— Doktor Tvede prosił, żebym to powiedziała. A więc musiałam.

— Naprawdę? Poprosił panią?

— Proszę mi wierzyć, że w przeciwnym razie nie zrobiłabym tego, droga pani Kant.

— W tonie głosu panny Stenberg pobrzmiwał łagodny wyrzut. — Myśli pani, że narażałabym panią na nieprzyjemności, gdy mogę tego uniknąć?

Else stała jak wryta. Tvede, człowiek, którego tak poważała, który był jej przyjacielem... Cóż miało to wszystko znaczyć? „Gdy jest się na tym oddziale, nikt nie zważa na to, co się mówi”. No tak, pilnowano jej i spoglądano na nią jak na dziwne zwierzę.

## XXXV

List Else zadziałał na Knuta niczym wybuch granatu, który rozsadził mu myśli na wszystkie strony. Nie miał pojęcia, że tak to może wyglądać. Drżał ze współczucia, a w piersi czuł kłującą obawę, że całe to wysłanie Else do szpitala było błędem. Ale w tej sprawie *nie śmiał* działać na własną rękę. Natychmiast udał się z listem do doktora Tvedego.

— Co mamy zrobić? — zapytał Knut ze skrywaną nadzieją, że Tvede będzie tak samo niepewny i gotów zarzucić tę sprawę jak on.

— Musisz wytrzymać — odparł poważnie Tvede. — Przerwanie kuracji w tej chwili może *tylko* zaszkodzić.

— Ale skoro ona w dalszym ciągu doznaje duchowych i cielesnych *cierpień*...?

— Tak, nie rozumiem, dlaczego Hieronimus trzyma ją na swoim oddziale. To widać niewłaściwe miejsce.

— Albo on jest niewłaściwą osobą. Zaczynam myśleć, że między nim a Else toczy się walka i że Hieronimus zaczął w niej przegrywać. A teraz przetrzymuje Else, żeby ją złamać.

Tvede pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Napiszmy wspólnie do ordynatora u świętego Jerzego — powiedział — tam musi być lepiej.

— A czy *ty* z nią porozmawiasz? Mnie przecież nie wolno... Zresztą teraz pewnie i tak by to nie pomogło.

— Tak.

List

Tego samego dnia Tvede zachorował. Wysłał do Knuta parę słów o tym, że dopiero za kilka dni będzie mógł odwiedzić Else. Knut poczuł żal przez to odroczenie. Napisał do żony list. Jego kwieciste zwroty miały przynieść pocieszenie, przynajmniej do wyznaczonego przez Else terminu. List jednak, mimo uporczywych próśb Knuta, tymczasowo pozostawał w kieszeni Hieronimusa.

W końcu w niedzielę rano usłyszał oświadczenie profesora, że mogą odbyć się przenosiny do świętego Jerzego. Ale stan jego żony się pogorszył. Była bardzo chora, a rozmowę, którą obiecał jej przed przenosinami, teraz zdecydowanie odradzał. Doprowadziłaby tylko do dramatycznej sceny, która by jej zaszkodziła.

Poza tym po raz pierwszy w tonie Hieronimusa była jakaś otwartość i życzliwość.

— Nie musi pan oddawać żony do części szpitala o wyższym standardzie — powiedział między innymi. — Korzystają z niego tylko bogacze. U świętego Jerzego zwyczajny oddział odpowiada wyższemu standardowi u nas.

Knut podziękował za wiadomość. Nie wiedział wtedy, że była nieprawdziwa.

### XXXVI

Och, jakże wlokła się ta żalosna niedziela! Else większość dnia przeleżała na szezlongu, spokojna, pozbawiona nadziei, skamieniała.

Po południu weszła panna Stenberg i usiadła przy niej, by nieustannie głaskać ją po włosach i ramieniu. Nagle Else się odezwała:

— Czy to teraz mam jechać?

— Tak, pani Kant — odparła panna Stenberg łagodnym, czułym głosem. — Jutro rano.

Else rzuciła się jej z płaczem na szyję.

— Niedawno przyszedł posłaniec z informacją, że pani rzeczy zostały przyszykowane.

Wysłano też paczkę z pani domu.

„Pani domu” — określenie zakłuło Else w piersi. Przecież nie miała już domu.

— Proszę się nie smucić, pani Kant — pocieszała panna Stenberg. — U świętego Jerzego nie zostanie pani długo. Proszę mi wierzyć.

— Tak — mruknęła tępo w odpowiedzi. — Przynajmniej nie będę oglądać Hieronimusa.

Wtedy przyszła hrabina; siedziała z nią i płakała. Straciła nadzieję tak samo jak Else.

Minęły godziny, a wieczorem przyszedł zastępca ordynatora.

— Widzi pan, że mój mąż się nie zjawił — powiedziała pani Kant.

— Tak, nie rozumiem tego.

— Słowny człowiek z tego profesora Hieronimusa.

— Pójdziemy na obchód razem — powiedział lekarz i wziął Else pod ramię, po czym wspólnie zaglądali do cel.

Serdeczność i wdzięczność, które na początku czuła do zastępcy ordynatora, wróciły ze świeżą mocą.

Bellę Holm przeniesiono; w jej celi leżała teraz stara chłopka, której koń zmiażdżył kopniakiem biodro. Jęczała i narzekała głośnym, przeszywającym, co chwilę łamiącym się falsetem na przeklęty karcer, do którego trafiła, i żądała, by odesłano ją do domu. Zamierzała ugotować coś mężowi.

— Niech pani wstawi się za mną u profesora, paniusiu! — zawołała za Else.

— Zwraca się do właściwej osoby — powiedziała pani Kant i prawie się roześmiała.

\*

Nadszedł ostatni poranek i Else spakowała swoje rzeczy. Następnie w szalonym tempie napisała list do Hieronimusa, w którym dała upust całej swojej pogardzie oraz niechęci i wypunktowała wszystkie swoje zarzuty. Na koniec obiecała, że gdy tylko wyjdzie od świętego Jerzego, profesor zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za to, jak ją potraktował, i podpisała list: „Pana szczyry wróg, Else Kant”.

Właśnie skończyła pisać, gdy przyszedł zastępca ordynatora.

List

Lekarz, Choroba, Prawda,  
Prawo

— Czy mogę z panem chwilę porozmawiać na osobności? — zapytała Else. — I czy odpowie mi pan na moje pytanie, jak odpowiada się człowiekowi, który nie przebywa w domu wariatów? Zrobi to pan? — dodała, gdy lekarz zamknął drzwi.

— Tak — powiedział lekarz. — Zrobię.

— Niech mi pan powie, czy przez ten czas, jaki tutaj spędziłam, kiedykolwiek dostrzegł pan u mnie jakiś objaw choroby umysłowej?

— Nie — odpowiedział poważnie.

— I czy mimo to uważa pan za właściwe, że mam być wysłana do świętego Jerzego?

— Jest to sprawa, która mnie nie dotyczy.

— Czy mąż ma prawo zamknąć żonę w zakładzie dla umysłowo chorych *wbrew* jej woli, gdy jakiś lekarz razem z nim stwierdzi, że jest obłąkana?

— Tak. I *vice versa*<sup>32</sup>.

— Łatwo w ten sposób o nadużycia — spostrzegła Else.

— Tak. I dochodzi do nich dość często — padła odpowiedź zastępcy ordynatora.

— I nie mam żadnych praw? Nie wolno mi porozmawiać z prawnikiem czy przyjacielem?

— Nie, dopóki jest pani tutaj. A ordynator świętego Jerzego może zatrzymać tam panią na lata, jeżeli zechce. — W oczach zastępcy ordynatora pojawił się tryumfalny uśmiech, jakby delectował się lekarską władzą. — Ale nie zrobi tego — dodał po chwili. — To taki życzliwy człowiek.

— A więc to *od tego* ma zależeć, jak długo trzyma się w zamknięciu pacjentkę: czy ordynator jest życzliwy czy nie?

Lekarz wzruszył ramionami.

— Cóż, to już wszystko — powiedziała Else. — Ale choć dam się odprowadzić do świętego Jerzego, będę stanowczo protestować. Biorę pana za świadka. Bo *błędem* jest decyzja, że mam tam jechać.

— Do widzenia — zastępca ordynatora wyciągnął rękę. — Będzie pani miała świetną pogodę na podróż.

— Już lepiej byłoby mieć brzydką pogodę — odparła.

— Ależ z pani pesymistka. Zawsze niezadowolona.

— Naprawdę nie rozumie pan, że brzydka pogoda lepiej pasowałaby do mojego nastroju? — zapytała.

— Och, tak. Oczywiście. A zatem do widzenia.

— Do widzenia — Else uściśliła serdecznie dłoń lekarza. — Bardzo dziękuję, że był pan wobec mnie taki przyjazny.

— Och, drobiazg. Powodzenia.

Pani Kant włożyła płaszcz. Pożegnała się z hrabiną i pielęgniarkami, które wszystkie wycalowała i podziękowała za ich dobroć. Była też u pacjentek. Pani Syverts podała jej apatycznie dłoń na pożegnanie i wypowiedziała kilka gniewnych słów o odpychającej komedii.

Kiedy weszły na spokojny korytarz, Else zapytała o babcię. Ona jednak leżała w łóżku, a czasu było mało.

Wtedy otwarto drzwi na końcu spokojnego korytarza. Else przypomniała sobie dzwonienie kluczy pierwszego wieczoru, gdy przybyła tu z Knutem. Odwróciła się za siebie, by spojrzeć na długi korytarz, gdzie pojedyncze pacjentki siedziały na żółtych krzesłach — wśród nich Bella Holm, z głową pochyloną nad sporą robotką i zawstydzonym wyrazem twarzy. I nagle Else ogarnął żal, przez który oczy zasły jej mgłą. Tu przecież wszystko znała, czuła się prawie jak w domu. Tutaj cierpiała, walczyła i wygrywała. Co czekało ją w nowym miejscu?

Panna Stenberg odprowadziła ją na sam dół i na schody. W myślach pani Kant znów pojawił się tamten wieczór, gdy szła tędy z Knutem. Spędziła tam dwadzieścia pięć dni i nocy. Dwadzieścia pięć dni i nocy, które ciążyły jej jak dwadzieścia pięć lat.

Przed schodami czekał powóz zaprzęgnięty w dwa konie, na koźle siedziało dwóch sanitariuszy. Obok stała przyjazna starsza kobieta, która miała być strażniczką Else podczas długiej podróży do szpitala świętego Jerzego.

<sup>32</sup>*vice versa* (łac.) — wzajemnie. [przypis edytorski]



Gdy pani Kant weszła na schody, odwróciła się do panny Stenberg i objęła ją, serdecznie dziękując za całą jej dobroć. Po czym wsiadła do powozu, a za nią wsunęła się starsza kobieta.

Słońce świeciło jasno na zadbanym dziedzińcu szpitala. Else wyjrzała przez okno i pomyślała jakby z zazdrością o pani Fog i samobójczyni, które także zostały stąd zabrane.

Wreszcie wyruszyła w drogę do swojego nowego więzienia.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/skram-profesor-hieronimus/>

Tekst opracowany na podstawie: Amale Skram, Profesor Hieronimus, tłum. Katarzyna Tunkiel, wyd. Fundacja Wolne Lektury, Warszawa 2025.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl)). Projekt dofinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jednak wyłącznie poglądami autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury. Ani Unia Europejska, ani organ przyznający dofinansowanie nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Monika Kępska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7933-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).